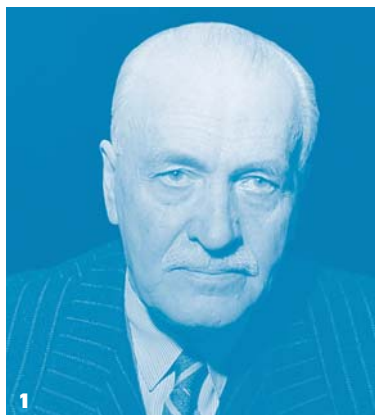


# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



# 4

(68) 2011

Boże Narodzenie niegdyś w naszych stronach ♦ Rozmowa z prof. Grodzikiem ♦ Rocznicą Harcerstwa Polskiego we Lwowie ♦ O lwowskim szpitalu w Krakowie ♦ Poeta krakowski, który kochał Lwów ♦ Jan Parandowski o prof. Łempickim ♦ Słownik polskich miast za Zbruczem ♦ Fundacja Instytut Lwowski

## O tym i o owym

Dobrnęliśmy do końca siedemnastego roku istnienia naszego kwartalnika (1995–2011). Rok był bogaty w wydarzenia, dobre i złe – pisaliśmy o tym w poprzednim numerze. Teraz biegą kolejne sprawy, o których warto pokrótce wspomnieć.

We wrześniu br. odbyły się w Warszawie dwa ciekawe wydarzenia. Pierwsze to powołanie do życia *Fundacji Instytut Lwowski*, która staje się kontynuacją i rozwinięciem działalności Instytutu Lwowskiego, prowadzonego od lat przez Janusza Wasylkowskiego. Drugie, tego samego dnia, to uroczystość jubileuszu „Rocznika Lwowskiego”, który wydaje od lat 20 tenże Instytut Lwowski. Oba wydarzenia omawiamy szerzej w tym numerze.

W trzeciej dekadzie października, z okazji Dni Kultury Kresowej w Brzegu, zaproszono tam na spotkanie redaktorów czterech czasopism kresowych: „Semper Fidelis”, „Cracovia–Leopolis”\*, „Na Rubieży” oraz „Kuriera Galicyjskiego” (z za kordonu niestety nikt nie przyjechał), a wszystko to przy udziale prof. S.S. Nicieji. Redaktorzy opisali swoje pisma, Profesor mówił szeroko o wadze problemu utrzymania pamięci. Postawiliśmy w końcu pytanie: co potem? Wskazaliśmy instytucje, na które liczymy (a może liczyliśmy?) – Ossolineum, Muzeum Niepodległości, ale także muzeum-archiwum, które chce tworzyć przy TMLiKPW w Częstochowie prezes Baczyński. Byłaby to jedyna taka placówka w obrębie Towarzystwa. Sądzimy więc, że powinna stworzyć odpowiedni program swoich zbiorów, inny niż np. Muzeum Niepodległości i zawarta w nim (doskonała) Kolekcja „Leopolis”. Może tu właśnie byłoby miejsce na historię działalności Towarzystwa (w skali kraju), inaczej wszystko się rozproszy...

Oczywiście znowu poruszyliśmy temat Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich. Całych Kresów...

Były jeszcze doroczne Dni Kresowe w Poznaniu (te cenimy sobie szczególnie, ale z zaproszenia nie udało się w tym roku skorzystać, szkoda), w Warszawie i zapewne w paru innych miastach.

Kolejna seria wydarzeń to niezwykle wysyp książek o kresowej tematyce. Będziemy je kolejno omawiać (z a m i e r z a m y – jeżeli będzie gdzie; Czytelnicy domyślają się zapewne, o co chodzi), ale już teraz warto niektóre wymienić: tom referatów z sesji o UJK (Kraków 2011), praca zbiorowa o ekspatriantach na Opolszczyźnie, opowieść o muzykach Sołtysach, wspomnienia zebrane przez Z. Wawszczaka, historia Lwowa Czarnowskiego itd. Itd.

W najbliższym czasie czekają nas kolejne wydarzenia. Najbliższe, w listopadzie '11, to XI Konferencja Naukowa na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie o książkach, czasopiśmie i bibliotekach, potem grudniowe spotkanie organizowane przez Krakowskie Towarzystwo Lekarskie – przy udziale naszego Towarzystwa – a poświęcone postaci niezjącego już znakomitego piłkarza lwowskiej „Pogoni” – Józefa Garbienia. Z zawodu był lekarzem, po II wojnie – dyrektorem szpitala w Chrzanowie. Do tych tematów chcielibyśmy wrócić w następnych numerach.

\* \* \*

Parę słów o naszym *Słowniku geograficzno-historycznym*. Jak Czytelnicy zauważyli, już w poprzednim numerze rozpoczęliśmy druk haseł dotyczących kilku najważniejszych (dla nas) miast spoza Zbrucza, z obszaru niegdyś I Rzeczypospolitej, a od końca XVIII w. w posiadaniu Rosji carskiej i sowieckiej oraz Ukrainy\*\*. Są to miasta, a także rozciągające się wokół nich tereny, które przez kilka wieków były związane z historią i kulturą Polski, zamieszkałe w dużym procencie przez Polaków. Dziś tych Polaków coraz mniej – z różnych powodów, ale są. I tu powstał dla nas problem: pomimo starań nie udało się dowiedzieć, jaki procent tamtejszej ludności uważa się jeszcze dziś za Polaków. Prosimy więc o wyrozumiałość.

Redakcja

\* W imieniu naszej Redakcji w spotkaniu wzięli udział red. nac. Andrzej Chlipalski oraz członek ZO TMLiKPW Edward Adles.

\*\* Oczywiście tej serii nie mamy zamiaru kontynuować.

# Wiele do zrobienia

Literatura historyczno-krajoznawcza ma w Polsce piękną tradycję, sięgającą połowy wieku XIX. Wykreowane przez romantyzm zainteresowania narodową przeszłością owocowały licznymi wydawnictwami przynoszącymi bogaty materiał do polskiej historii, geografii, etnografii i historii sztuki. Praca, zapoczątkowana przez Ambrożego Grabowskiego, Macieja Bogusza Stęczyńskiego, Michała Balińskiego, Tymoteusza Lipińskiego, Leonarda Chodźkę i wielu innych, z czasem zyskiwała coraz wyraźniejszy charakter działalności naukowej, a jej najcenniejszym owocem był monumentalny, do dziś aktualny *Słownik geograficzny*.

Podobne podejście i dziś nie jest całkowicie przestarzałe. Świadczą o tym wznowienia XIX-wiecznych publikacji, rosnąca popularność coraz lepszych przewodników turystycznych oraz historyczno-krajoznawczych rubryk w wielu czasopismach codziennych i tygodniowych. Rola takich popularnych opracowań jest dziś oczywiście inna niż przed 150 laty. Nie gromadzą one danych dla nauki, ale czerpią z jej ustaleń dla potrzeb szerokiej publiczności.

Szczególnie wiele do zrobienia jest w dziedzinie popularyzacji wiedzy o terenach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, zwanych potocznie (choć nie zawsze słusznie) kresami. Przez niemal pół wieku ich problematyka była właściwie nieobecna w świadomości czytelników krajowych. W ciągu ostatnich lat pojawiło się sporo opracowań na ten temat, a niektóre z nich przynoszą dane wyczerpujące i rzetelne. Niestety, spotyka się wypowiedzi, których autorzy nie odróżniają Kamieńca od Krzemieńca, Dniepru od Dniestru, a Podola od Polesia i Pokucia. Bez wiedzy o tych terenach, o ich przeszłości i zabytkach, o działających tam ludziach, nasza wiedza o polskiej kulturze jest niepełna, wręcz kaleka. [...]

Jan K. Ostrowski, *Kresy bliskie i dalekie*  
(fragment wstępu), Kraków 1998

Na pierwszej stronie okładki

## UCZENI LWOWSCY XIX/XX WIEKU

1. Ignacy Mościcki (1867–1946); chemik o kierunku chemii fizycznej; specjalizował się w związkach azotu. Na bazie jego osiągnięć naukowych powstawały zakłady chemiczne w Szwajcarii i Polsce (Jaworzno, Chorzów, Mościce). W 1912 powołany jako profesor na Politechnikę Lw., gdzie utworzył Instytut Elektrochemiczny, dla którego ofiarował aparaturę i maszyny; dziekan i rektor. W 1920 przeniósł się do Warszawy, gdzie zaangażował się politycznie po stronie Piłsudskiego. W 1926 wybrany prezydentem RP, ponownie w 1933. W XI 1939 wyjechał do Szwajcarii, tam zmarł.
2. Jan Czekanowski (1882–1965); antropolog, twórca polskiej szkoły antropologicznej; od 1913 profesor UJK, rektor; jego dziełem było wyjaśnienie antropologicznej struktury Polski. W 1919–1920 ekspert w sprawie granic Polski na Konferencji Pokojowej w Paryżu. Po II wojnie profesor KUL oraz uniwersytetów w Poznaniu i Wrocławiu.
3. Rudolf Weigl (1883–1957); histolog i bakteriolog; twórca szczepionki przeciw tyfusowi płamistemu; od 1920 profesor UJK. W czasie okupacji niem. w swym lwowskim instytucie uchronił przed represjami kilka tysięcy Polaków jako karmicieli wszy i in. Odmawiał kolaboracji z okupantami, był fałszywie oskarżany, co przeszkodziło mu w uzyskaniu Nagrody Nobla. Po II wojnie profesor UJ i Uniw. w Poznaniu.
4. Wilhelm Mozer (1889–1941); inżynier-mechanik, specjalista budowy maszyn kolejowych, profesor PLw, dziekan. Konstruktor polskiego pociągu pancernego w 1918 r.

Stanisław Świtniewski

## Boże Narodzenie we wschodniej Galicji

Poniższy tekst stanowi omówienie pracy opublikowanej w tomie XLIX Sprawozdań Akademii Umiejętności, Kraków 1948.

Praca ta, napisana w 1939 r., tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, jest zbiorem materiałów uporządkowanych i zaopatrzonych w 128 map. Obejmuje wiadomości z obszarów dawnych województw: lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego i dotyczy zwyczajów ludowych w okresie Bożego Narodzenia. Materiał do pracy zaczęto zbierać w r. 1934. Podstawę jej stanowił zbiór ankiet rozesłanych do nauczycielstwa szkół powszechnych za pośrednictwem i za pomocą Kuratorium Okręgu Szkolnego we Lwowie, a nadto własne zapiski zebrane w latach 1937 i 1938 oraz prace drukowane różnych autorów.

bardzo ogólnie postawione zagadnienie (Jak obchodzi się dzień wigilijny?). Skutkiem tego mapy, przedstawiające rozmieszczenie poszczególnych wigilijnych wróżb i praktyk magicznych, nie dają wyraźnych zasięgów.

Na podstawie pracy można stwierdzić, że na obszarach przez nią objętych najpowszechniej występują następujące praktyki obrzędowe, potrawy i zwyczaje:

Obwiązywanie łańcuchem czy słomą stołu wigilijnego, praktykowane zazwyczaj w okolicach górskich. Wiązanie łyżek po wili i naśladowanie głosu zwierząt w noc wigilijną. Stawianie *dziada*, inaczej *dziaducha* (snop słomy w kącie izby) – w części środkowej i wschodniej obszaru. Niekiedy *dziaduchem*, rzadziej *babą*, nazywają także słomę rozścieloną na podłodze. Ryby jako potrawa wigilijna są powszechne w powiatach, gdzie jest wielka obfitość rzek, w pozostałych powiatach zostały one zastąpione przez śledzie. Do napojów, oprócz znanych przez śledzie, należy tzw. *war*, to jest sok z gotowanych owoców, dalej herbata kminowa, lipowa itd.; omastę stanowi konopny olej. W zakończeniu daje autor wykaz wszystkich potraw wigilijnych z 25 miejscowości tego obszaru, stwierdzając, iż według tradycji wieczerza wigilijna musiała składać się dawniej z 12 potraw.

Popularnym zwyczajem jest *chodzenie z szopką*. Szopkę z ruchomymi figurkami spotyka się znacznie częściej w powiatach zachodnich i środkowych. *Gwiazda* jest również powszechna jak szopka. Zwyczaj *chodzenia z Herodem* występuje wszędzie. Tak samo *chodzenie z kozą*, najwięcej jednak opisów uzyskano z powiatów środkowych i wschodnich. Podobnie chodzą wszędzie z *konikiem noworocznym*. Nie widać tego zwyczaju w pasie południowym.

Szereg praktyk i zwyczajów tworzy mniej albo więcej wyraźne zasięgi w obrębie opracowanego obszaru. I tak na zachodzie występują:

Ozdoba świąteczna *święt*. Obrzucanie *owsem* w Nowy Rok czy w dzień św. Szczepana. *Zapraszanie do wili i zwierząt*, np.



Z turoniem po koleędzie

Cały materiał podzielono na cztery części: *Praktyki magiczne*, *Potrawy wigilijne*, *Wróżbiarstwo* i *Zwyczaje widowiskowe*. Z tych najobszerniej została potraktowana część IV, dotycząca zwyczajów widowiskowych. Wyczerpująco opracowany jest również rozdział traktujący o potrawach wigilijnych. Natomiast dane zawarte w I i III rozdziale, jakkolwiek bardzo obfite i ciekawe, nie dają pełnego obrazu wróżb i praktyk magicznych na całym obszarze, gdyż zostały zebrane nie w odpowiedzi na konkretne, sprecyzowane pytania, ale w odpowiedzi na

wilka. W szeregu potraw wigilijnych pierwsze miejsce zajmuje barszcz, po nim kutia (często podawana jako pierwsza potrawa) i ryba. Zamiast barszczu pierwszą potrawą bywa niekiedy zupa grzybowa. Mówiąc o barszczu, trzeba wspomnieć o mapie statystycznej buraków, a także o wykresie ich rocznej produkcji. Zasięg kaszy jęczmiennej w potrawach wigilijnych widoczny jest w zachodnich obszarach, co pokrywa się znowu z mapką zasiewu tego zboża. Także zaznaczają się na mapie w zachodnich powiatach takie zwyczaje jak *bicie kop*, tj. rzucanie słomy o stragasz, *wróźby z oplatka* (przyklepienie do miski), *wróźby z głosu zwierząt* niczym nie spowodowane, *chodzenie z Rajem*, czyli *Adamem i Ewą*, *chodzenie na śmieci*, czyli *draby*, *chodzenie po szczodrakach*, zwyczaj noworoczny, *chodzenie z turoniem* (z głową nie kozy, lecz byka).

W pasie północnym widoczny jest zasięg kaszy jaglanej, ustępujący miejsca kaszy hreczanej i wskazujący, że jest zakończeniem zasięgu idącego od północy z Wołynia i Lubelszczyzny. Niektóre z tych elementów wykazują wyraźne nawiązanie do odpowiednich praktyk i zwyczajów obserwowanych w rdzennej Polsce, skąd też najprawdopodobniej pochodzą.

W zasięgu południowym (karpackim) wyraźnie zaznaczają się: *kadzenie* w wieczór wigilijny, *taczanie* magicznym chlebem i *mycie się* obrzędowe w potoku oraz *zanurzanie chleba* w strumieniu. Charakterystyczną potrawą dla wschodu jest tzw. *kutia* (gotowana pszenica zaprawiona miodem i makiem). W południowo-wschodnich stronach nazywają ją tylko *pszenicą*. W zasięgu południowym występuje w bardzo charakterystyczny sposób *bób* jako potrawa obrzędowa. *Skakanie przez ogień* przy paleniu *dziada*, obchodzenie ze światłem domu i zapraszanie do willi ptaków i mrozu – widoczne w odcinku południowo-wschodnim.

We wschodnim obszarze występuje zwyczaj *młócenie dziada* (tj. snopka słomy na *pokuciu*) przez tzw. siewaczy, tj. małych chłopców, oraz zwyczaj zostawiania potraw dla zmarłych. Typowymi potrawami dla powiatów wschodnich są gołąbki i pierogi. Te ostatnie najczęściej nierzadkie kapustą, czasem kaszą, śliwkami, a nawet tzw. *wurdą*, nadziewką (miażdż) z makucha konopnego (znaną także i na Ukrainie).

*Z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku 2012 składamy naszym Czytelnikom, Dobrodziejom, Autorom i Współpracownikom oraz ich Bliskim najlepsze życzenia wszelkiej pomyślności w życiu osobistym, rodzinnym i narodowym.*



## *Kołęda*

W dzień Bożego Narodzenia lwowskie niesiemy wspomnienia – i choinkę z tamtych lasów, dobrych czasów...

Barszczu dziś nam nie zabraknie, uszek ile dusza łaknie i gołąbków z hreczką kaszą, z miodem, z makiem kutię naszą, kutię naszą...

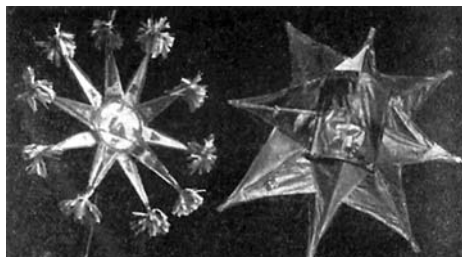
Wszystko pachnie i smakuje, lecz na stole dziś króluję chleb oplatka biały, święty, kroplą miodu razem spięty, biały, święty...

Tato już zapala świece, dzieci z dziadkiem przy choince, mama z babcią z kuchni biegiem, a za oknem sypie śniegiem, sypie śniegiem...

Podnieś rączkę Boże Dziecie i lwowiakom w całym świecie – choć niejedyn z nas się śmieje – daj dziś miłość i nadzieję, daj nadzieję...

Bogdan St. Kasprovicz, Bytom 2010

Gwiazdy noszone przez kolędników: po lewej z Krzywczy pod Lwowem, po prawej z okolic Kopyczyniec w Tarnopolskiem. Oba zdjęcia wg „Zbliża i zdaleka” [pisownia oryginalna], nr 1/1936.



Charakterystyczną wróżbą dla powiatów wschodnich jest *rzucanie kutii* do sufitu. Przeważają tu wróżby z głosu zwierząt, wywołane trzaskaniem łyżek. Interesującym zwyczajem wschodniego obszaru są *szczerdrowki*, tj. pieśni śpiewane na Trzech Króli i święto Jordanu przez dziewczęta i osobno przez chłopców. Zwyczaj *chodzenia z Małanką* panuje w południowo-wschodniej części obszaru (zob. K. Moszyński, *Obrzędy i zwyczaje, okolice Brzeżan*, MAAE, 1907, XIII).

Sporadycznie, tzn. nie formując wyraźnych geograficznych zasięgów, zaznaczyły się na badanym obszarze obrzędów Bożego Narodzenia: umieszczanie różnych rzeczy z *krzyżkami* z drzewa, ze słomki albo papieru, wosku, ciasta lub gliny (zwyczaj ten występuje więcej w powiatach wschodnich). *Grożenie siekierą* drzewom owocowym, *klódka* na stole, przemilczanie nazw, *chodzenie z banią*.

Ogólnikowym sformułowaniem jednego z pytań kwestionariusza można tłumaczyć sporadyczność i jak gdyby przypadkowość występowania niektórych elementów.

W końcowym omawianiu zagadnień w obrębie pomyślanych rozdziałów autor próbował przedstawić je na ogólnym tle etnografii polskiej.

Na wstępie części drugiej poruszono znaczenie kierunku wędrówek pewnych typów kultury oraz warunki geograficzne, mające wpływ na osiedlanie się ludności, a w dalszym ciągu na sposób żywienia się ludu.

Część trzecią podzielono na 3 grupy wróżb. Do pierwszej zaliczono te, których interpretacja w znacznym stopniu zależy jest od wróżącego, np. wróżby za pomocą snów, wpatrywania się w wodę itp. Grupa druga obejmuje wróżby, w których interwencja wróżbiarza jest mniejsza, np. rzucanie przedmiotów na ziemię, wybierania na oślep różnych przedmiotów, wyciąganie rozmaitych rzeczy z wody, liczenie polan, kołków, chwytanie po ciemku zwierząt, odlewanie z wosku, taczanie itd. Do grupy trzeciej zaliczono wróżby zupełnie niezależne od interwencji wróżbiarza, np. wróżenie z ciał niebieskich, z ognia, dymu, ruchu przedmiotów rzuconych do wody, z położenia rzeczy, np. łyżek, noży, roślin, zachowania się zwierząt, podśluchów itd.

## LIST OD PROBOSZCZA

*Ze Lwowa nadszedł list w związku ze składką, jaką członkowie Oddziału Krakowskiego złożyli podczas spotkania w dn. 6 września '11 na rzecz kościoła św. Marii Magdaleny.*

PARAFIA RZYMSKOKATOLICKA  
pw. Świętej Marii Magdaleny  
Lwów, 12 października 2011  
Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów  
Południowo-Wschodnich, Kraków

Szanowni Państwo,  
pragnę poinformować, że ofiara w wysokości 752 zł, którą Towarzystwo złożyło na rzecz parafii św. Marii Magdaleny we

Lwowie, została mi przekazana. Okazała się bardzo potrzebna. W ubiegłym tygodniu złożyliśmy oficjalne podanie do Sądu Gospodarczego w Kijowie o unieważnienie prawa własności Rady Miejskiej Lwowa na nasz kościół i przyznania prawa własności parafii rzymskokatolickiej. Zapłaciliśmy przy tym państwowy czynsz w wysokości 25821 hrywien (czyli ok. 10 760 zł). Prowadzenie tego procesu jest możliwe tylko dzięki wielkiej ofiarności parafian i przyjaciół naszej parafii.

Bóg zapłać za wsparcie! Teraz modlimy się i zawieramy Panu Bogu sprawę naszego kościoła. Wdzięczną modlitwą obejmujemy wszystkich ofiarodawców.

Ks. Włodzimierz Kuśnier, proboszcz

Danuta Trylska-Siekańska

# POWRÓT DO ŹRÓDEŁ

**Sto lat temu na ziemiach polskich, rozdartych przez trzy zabory, powstawał nowatorski ruch skautowy zapoczątkowany przez gen. Roberta Baden-Powella w Anglii. Za datę powstania światowego skautingu przyjęto dzień 1 sierpnia 1907, tj. początek obozu dla chłopców, prowadzonego przez twórcę nowego systemu wychowania R. Baden-Powella i równocześnie autora książki *Scouting for boys*. Wiadomości o nowym systemie wychowawczym bardzo szybko dotarły do Polski. Nowa idea znalazła podatny grunt, przygotowany przez działania różnych organizacji i grup młodzieżowych jawnych i niejawnych.**

W latach 1910–1911 na ziemiach polskich w trzech zaborach powstawały spontanicznie pierwsze zastępy skautowe. Dzięki autonomii Galicji stosunkowo najlepsze warunki dla rozwoju nowego ruchu były w zaborze austriackim, gdzie np. było szkolnictwo polskie. Skauting stał się syntezą działań jawnego „Sokoła” propagującego ćwiczenia fizyczne, abstynenckiego „Eleusis”, niepodległościowego „Zarzewia” i innych tajnych organizacji. Dzięki ich współpracy zaczęły powstawać we Lwowie zastępy i oddziały skautowe korzystające z bazy w „Sokole”.

Według legendy harcercskiej, pierwszy podręcznik R. Boden-Powella Andrzej Małkowski przetłumaczył za karę. Jednak po zapoznaniu się z treścią stał się gorącym propagatorem nowej metody wychowawczej. Swoją pasją zaraził grono najbliższych przyjaciół. Na wiosnę 1911 r. we Lwowie odbyły się już pierwsze szkolenia instruktorskie. W siedzibie „Sokoła-Macierzy” 21 maja 1911 r. zawiązała się pierwsza Naczelna Komenda Skautowa, a następnego dnia 22 maja Andrzej Małkowski wydał pierwszy rozkaz powołujący trzy pierwsze polskie drużyny skautowe. Tę datę przyjęto jako początek polskiego harcerstwa ujętego w formalne ramy organizacyjne.

Powstały wówczas:

I Lwowska Drużyna Skautów im. Tadeusza Kościuszki pod komendą H. Bażyńskiego,

II Lwowska Drużyna Skautów im. Jana Karola Chodkiewicza,

III Lwowska Drużyna Skautek im. Emilii Plater pod komendą Olgi Drahonowskiej (później Małkowskiej).

Wkrótce powstała IV Lwowska Drużyna Skautów.

Andrzej Małkowski wszedł w skład Naczelnej Komendy Skautowej. Równocześnie od kwietnia do lipca tego samego roku ukazywało się w arkuszach jego tłumaczenie książki R. Baden-Powella pod polskim tytułem: *Skauting jako system wychowania młodzieży* – pierwszy przejaw polskiej literatury skautowej. Termin „harce” i „harcerstwo” pojawił się rok później.

W 1912 r. ukazała się książka *Harce Młodzieży Polskiej* autorstwa Eugeniusza Piaseckiego i Mieczysława Schreiberera, w której zastąpiono angielskie terminy polskimi. I tak zamiast *patrol skautowy* wprowadzono nazwę *zastęp*, zamiast *pluton* – *drużyna*, zamiast *zawołania bądź gotów* – *czuwaj*. Wprowadzono terminy *hufiec*, *chorągiew*, pochodzące z polskiej tradycji rycerskiej. Wprowadzono nazwy stopni i funkcji, obowiązujące w harcerstwie do dzisiaj. W tym czasie wszedł do użytku zaprojektowany przez ks. Kazimierza Lutosławskiego krzyż harcercski wzorowany na krzyżu *Virtuti Militari*. Napisany przez Ignacego Kozielskiego w 1911 roku wiersz *Wszystko co nasze...*, wraz z refrenem ułożonym przez Olę Drahonowską rok póź-

Przemysław Harcerzy ulicami Lwowa





niej, stał się hymnem harcerskim. W lipcu 1912 r. w Skolem nad rzeką Stryj odbył się pierwszy obóz instruktorski.

Po przełamaniu wstępnych oporów ze strony władz szkolnych, na wiosnę 1912 r. Rada Szkolna Krajowa wyraziła zgodę na działanie drużyn skautowskich w szkołach. To nadało niezwyklej dynamiki nowemu ruchowi młodzieżowemu. Do wybuchu I wojny światowej było już kilkanaście tysięcy harcerzy. Co kilkanaście dni lub tygodni powstawały nowe drużyny. Zgodnie z krótką definicją A. Małkowskiego – *harcerstwo to skauting plus niepodległość* – harcerze i harcerki byli wszędzie: na polach bitew, w szkołach, szpitalach, na odpowiedzialnych stanowiskach w tworzącym się Państwie Polskim, w konspiracji, w niesieniu pomocy potrzebującym.

**Wydarzenia z lat 1910–12, decydujące o powstaniu polskiego harcerstwa i dające mu trwale podstawy, zostały przypomniane i uhonorowane we Lwowie sto lat później przez obecne pokolenia harcerskie.**

20 maja 2011 r. wieczorem wyruszył specjalny nocny pociąg z Warszawy przez Kraków, Rzeszów, Przemyśl do Lwowa, wiozący Instruktorską Wyprawę do Lwowa „Powrót do Źródeł”. Tym samym urzeczywistniało się marzenie grupy instruktorów z Harcerstwa Polskiego *na Ukrainie* i ze Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej, którzy jesienią 2010 r. zawiązali komitet organizacyjny obchodów 100-lecia Harcerstwa. Swój akces do obchodów zgłosili także: Stowarzyszenie Harcerstwa Katolickiego „Zawisza”, Federacja Skautingu Europejskiego, Zwią-

zek Harcerstwa na Litwie, Stowarzyszenie Harcerskie. Przez ponad pół roku trwały przygotowania organizacyjne, techniczne, programowe. Konsultowane były wszystkie szczegóły i uzyskiwane stosowne pozwolenia władz.

21 maja 2011 r. o godzinie 9 rano na lwowski dworzec podmiejski wjechał pociąg specjalny, przywożąc setki harcerek i harcerzy. Oprócz instruktorów z organizacji wymienionych powyżej przyjechała też ponad 10-osobowa delegacja ze Związku Harcerstwa Polskiego, działającego poza granicami Kraju. Przygotowane tramwaje przewiozły przybyszów na Rynek. W czasie jazdy, a także potem podczas pieszych wędrówek, korzystając z objaśnień miejscowych harcerzy, poznawali miasto i jego zabytki.

Przed godziną 12 harcerskie tłumy wypełniły wnętrze Katedry Najświętszej Marii Panny. W stallach miejsca zajęli goście honorowi. Wprowadzono sztandary. Wśród dostojnych gości rozpoznani zostali:

- Karolina Kaczorowska – wdowa po Prezydencie Kaczorowskim,
- Krystyna Małkowska-Żaba – wnuczka założycieli Harcerstwa,
- ks. Marian Sedlaczek – syn jednego z założycieli Harcerstwa,
- Jacek Żur – konsul RP we Lwowie,
- Emilia Chmielowa – prezes Federacji Organizacji Polskich na Ukrainie,
- kombatancki Szarych Szeregów – uczestnicy Powstania Warszawskiego.

Zagrały organy i do ołtarza pośpieszyli księża koncelebranci, którym przewodniczył ks. biskup Marjan Trofimiak, ordynariusz z Łucka. W jego homilii padły słowa:



*Harcerstwo przetrwało tyle lat dlatego, że było budowane na skale. A tą skałą jest Chrystus.* W procesji z darami ofiarowano między innymi: dar ZHR na oświetlenie obrazu Najświętszej Marii Panny, angielską kopię wotum harcerskiego za 100-lecie od ZHPpGK, chleb wileński od ZHnL. Na stopniach ołtarza stała tablica pamiątkowa z okazji 100-lecia, przeznaczona na budynek dawnego „Sokoła” (po nabożeństwie została w Katedrze, ponieważ zabrakło pozwolenia na jej wmurowanie). Podczas mszy św. śpiewał chór z ZHR, który zaintonował m.in. modlitwę „Baranku Boży” na melodię pieśni „Płonie ognisko”. Na zakończenie odśpiewano *Modlitwę Harcerską*, a także wysłuchano kilku krótkich przemówień zaproszonych gości. Pod tablicą pamięci Olgi i Andrzeja Małkowskich, umieszczoną w katedrze w 1991 r., złożono wieniec.

Harcerze opuszczający Katedrę ufurmowali długą kolumnę, na której czele szły sztandary, werble i sygnałówki. Zatrzymano się przy pomniku Adama Mickiewicza i złożono kwiaty. W tym miejscu 22 listopada 1920 r. Marszałek Józef Piłsudski udekorował herb miasta Lwowa orderem *Virtuti Militari*. Dalej kolumna przemaszerowała przed budynek, w którym dawniej mieściło się Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” i w którym zapadły decyzje o powstaniu Harcerstwa ważne przez 100 lat. Tu także złożono kwiaty. Dalszy przemarsz przerwano na obiad w jadalni Akademii Medycznej i na chwilę odpoczynku, którą niektórzy przeznaczyli na zwiedzanie Cmentarza Łyczakowskiego.

Wczesnym wieczorem uczestnicy zlotu zgromadzili się na Cmentarzu Obrońców Lwowa na uroczystym apelu. W Apelu Poległych wspomniano założycieli Harcerstwa, pierwszych harcerzy-żołnierzy, którzy walczyli o niepodległość, wszystkich służących Polsce do ostatka. Na grobach zapłonęły setki zniczy, a chwilą milczenia oddano cześć tym, którzy na tym cmentarzu spoczęli. Uczestnicy Wyprawy Instruktorskiej „Powrót do Źródeł” w ilości około 700 osób uwiecznieni zostali na zbiorowej fotografii.

Zgodnie z harcerską tradycją, na zakończenie świątecznego dnia na polanie na Pohulance rozpalono wielkie ognisko, wokół którego amfiteatralnie zasiedli uczestnicy zlotu. Na dole na specjalnym metalowym pojemniku płonęło ognisko, a w niebo pły-

nęły tradycyjne pieśni harcerskie. Gawędę o wydarzeniach sprzed stu laty prowadził druh hm. Stefan Adamski, komendant Harcerstwa Polskiego *na Ukrainie*, dołączyła do niego druha phm. Krystyna Małkowska-Żaba, wspominając trudne dzieje swoich dziadków Olgi i Andrzeja Małkowskich, a później ks. Marian Sedlaczek, syn jednego z twórców harcerstwa Stanisława Sedlaczka, który zakładał drużyny w Kijowie w drugiej dekadzie XX wieku.

W przerwach między piosenkami miały miejsce drobne niespodzianki, jak płyty, inscenizacje zbiorów harcerki z Litwy, rozdawanie kamyczków z rzeki Stryj (nad którym leży Skole) przez harcerki z miasta Stryj. Na pamiątkę uczestnicy pobrali węgielki z ogniska i odśpiewali pieśń pożegnalną. Modlitwa i bratni uścisk dłoni w wielkim kręgu zakończyły spotkanie polskich harcerzy z różnych stron.

Przy Cmentarzu Obrońców Lwowa czekały tramwaje, którymi dojechano do dworca podmiejskiego, gdzie czekał pociąg powrotny. Ponieważ była już godzina 1 w nocy (a więc niedziela), na pustym o tej porze peronie odprawiona została msza św. polowa. Dopiero po jej zakończeniu o godzinie 2<sup>40</sup> odjechał pociąg specjalny do Polski, uwożąc zmęczonych, ale zadowolonych uczestników Wyprawy Instruktorskiej „Powrót do Źródeł”. Zakończył się wyjątkowy i jedyny dzień, kiedy Lwów przez kilkanaście godzin należał do polskich harcerzy.

Według słów kapelana Wyprawy, o. hm. Michała Gutkowskiego SJ, które skierował do instruktorów przed wyjazdem z Warszawy, Wyprawa „Powrót do Źródeł” była pielgrzymką bo:

- była powrotem do miejsca, z którego wyszliśmy na cały świat, i przypomnieniem, dokąd idziemy: do domu Ojca, do którego odeszły przed nami całe pokolenia harcerskie,
- była okazją do okazania wdzięczności za minione 100 lat i powierzenia naszych ideałów i przyszłości harcerstwa na następne stulecie.

Informacje do powyższego artykułu czerpałam z osobistych relacji uczestników wyprawy do Lwowa, artykułów prasowych („Kurier Galicyjski”, „Ognisko Harcerskie”), literatury. Zdjęcia są autorstwa 15 PDH Ingonyama im. Traugutta, przesłała je p. Urszula Kret.

# Patriotyczny obowiązek pamięci

Politechnika Gdańska, mimo że jest uczelnią techniczną, przywiązuje, jak rzadko która polska uczelnia, dużą wagę do historycznych wydarzeń, rocznie mających istotne, nieprzemijające znaczenie w dziejach naszego Państwa i Narodu. Takim wydarzeniem, szczególnie tragicznym, przemilczanym przez dziesiątki lat, jest ponad wszelką wątpliwość eksterminacja (ludobójstwo) kresowej ludności polskiej II Rzeczypospolitej, dokonana przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów i jej zbrojną formację tzw. Ukraińską Powstańczą Armię.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat w murach Politechniki Gdańskiej czterokrotnie godnie i uroczysto przypomniano i uczczono pamięć co najmniej 150 tysięcy naszych Rodaków, bestialsko wymordowanych od niemowlęcia do starca przez OUN-UPA. Przypomnijmy: mordów pojedynczych, grupowych i masowych dokonano w latach 1939–1947 na Wołyniu, południowym Polesiu, w Małopolsce Wschodniej (Tarnopolskie, Stanisławowskie, Lwowskie) i wschodnich powiatach Lubelskiego i Rzeszowskiego. Ze względu na brak danych i świadków dokładniejsza liczba ofiar pewnie już nigdy nie zostanie ustalona.

W 60. rocznicę największego nasilenia rzezi, jakie miało miejsce w lipcu 1943 r., Politechnika włączyła się w ogólnokrajowe obchody tej tragicznej rocznicy godnie czcąc pamięć kresowych Rodaków. W Bibliotece Głównej została zorganizowana 4 września 2003 r. sesja naukowa, na której dla liczного audytorium referaty wygłosili mgr Ewa Siemaszko, współautorka monumentalnego dzieła „Ludobójstwo...” i prof. dr hab. Czesław Partacz. Należy podkreślić, że sesja została zorganizowana przy dużym, życzliwym zaangażowaniu dyr. Biblioteki inż. Bożeny Hakuć i jej personelu. W następnym roku, dzięki pomocy prof. dra inż. Aleksandra Kołodziejczyka, 18 maja, w 60. rocznicę utworzenia i walk 27. Wołyńskiej Dywizji AK, również w 60. rocznicę zdobycia Monte Cassino przez II Korpus Polski – odbył się w Audytorium Novum uroczysty

koncert artystów Akademii Muzycznej im St. Moniuszki. W słowie wstępnym mgr Feliks Budzisz podkreślił, że 27. WD AK, zanim przystąpiła do walk z frontowymi jednostkami Wehrmachtu, jej oddziały w desperackich walkach obroniły przed zagładą ze strony OUN-UPA dziesiątki tysięcy ludności polskiej Wołynia. Mimo odległych teatrów walk obie formacje, 27. WDAK i II KP walczyły o tę samą sprawę – wolną i niepodległą Polskę. Patriotyczny program wokalnemu muzyczny, zaprezentowany przez artystów Akademii Muzycznej, prowadzony przez prof. Andrzeja Zawilskiego, wywarł na liczonym audytorium, głównie kombatanckim, głębokie wrażenie.

Również w ramach Politechniki Otwartej prof. dr hab. inż. Eligiusz Mieloszyk zaprosił prof. Czesława Partacza, który 9 czerwca 2009 r. wygłosił świetny wykład dla liczного audytorium o tragicznych losach ludności polskiej na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. Wykład był kontynuacją obchodów 65. rocznicy eksterminacji ludności polskiej przez OUN-UPA. Trzeba podkreślić, że ta rocznica była szczególnie uroczysto obchodzona w licznych miejscowościach Kraju i środowiskach polonijnych. Żywa, spontaniczna dyskusja po wykładzie prof. Cz. Partacza, fragmentami dość kontrowersyjna, potwierdziła powszechną opinię o żenującym braku wiedzy u znacznej części naszej inteligencji o największej tragedii ludności polskich Kresów i, niestety, o braku dla niej należnego szacunku i współczucia. Zupełnie inaczej jest z wiedzą o zbrodniach hitlerowskich i stalinowskich (katyńskich) na naszym Narodzie.

Uwieńczeniem gdańskich obchodów rocznic eksterminacji ludności polskiej przez OUN-UPA była wzruszająca uroczystość w Auli Politechniki, zorganizowana 6 maja '10. Złożyły się na nią słowo wstępne prof. A. Kołodziejczyka, deklamacje wierszy i część wokalnemu muzyczna. Na wstępie Profesor złożył hołd Ofiarom katastrofy smoleńskiej, wymieniając Prezydenta Rzeczypospolitej Lecha Kaczyńskiego i Jego małżonkę Marię. Sala uczęcała

pamięć Ofiar chwilą ciszy. Następnie przy użyciu aparatury multimedialnej Profesor wygłosił obszerne, doskonale osadzone w literaturze przedmiotu, słowo wstępne, rzucając na duży ekran tekst ilustrowany zdjęciami zwłok Ofiar rzezi. Doskonale skonstruowany tekst wywarł na widzach głębokie wrażenie. Sala z napiętą uwagą wysłuchiwała słowa wstępnego o najokrutniejszej tragedii Narodu, o której w polskich szkołach trwa ciągle milczenie. Milczą programy, podręczniki, milczą nauczyciele w obawie przed administracją szkolną, uległa dziwacznej *poprawności politycznej*. Większość ostatnio wydanych encyklopedii i leksykonów historii zakłamuje tamte wydarzenia nobilitując sprawców banderowskiego ludobójstwa. Na zakończenie swego wystąpienia Profesor przywołał świetlaną postać dra Wiktora Poliszczuka, Ukraińca, prawnika i politologa, zmarłego w ubiegłym roku w Toronto, gdzie mieszkał od kilkudziesięciu lat. Był szczerym przyjacielem Polaków, całą swoją działalność naukowo-badawczą poświęcił wyjawianiu prawdy o eksterminacji ludności polskiej, ukraińskiej, żydowskiej i czeskiej przez zbrodniczą OUN-UPA. Jego dewizą było: *Nie ma zbrodniczych narodów, są zbrodnicze ideologie*. Wystąpienie prof. A. Kołodziejczyka sala przyjęła rześzystymi oklaskami. Chwilą uroczystej ciszy uczciła pamięć Pomordowanych.

Silne wrażenie na obecnych zrobiły wiersze poetów wołyńskich, deklamowane z niezwykłym kunsztem przez uroczą panią Wandę Skórny, aktorkę Teatru Wybrzeże. Poetyckie słowo wzruszało do łez, zwłaszcza byłych Kresowian. Oto strofy niektórych wierszy:

*Kiedy go z wami nie będzie  
Usypcie mu kurhan stepowy  
Aby słyszał, jak burzan pieśni gędzie  
I wiatr stepem przewala się płowy...*  
(Z. Rumel, *Na śmierć poety*)

*Wiesia – blada jak Hostia  
– widzi każdego dnia tłum dzieci i matek  
Z kościoła w Ostrówkach.  
Patrzyła na głowy padające  
Jak makówki pod Sokołem.  
Czterysta – więcej...  
Wstała skrwawiona spod trupów,  
Błąkała się lasem...*  
(K. Kołtun, *Panny z Wołynia*)

*Matko Boża Bezdomna idąca przez kresy  
Matko spalonych domów popiołu i krwi  
Z wiatrem we włosach i luną na twarzy  
Matko tamtych tragicznych dni*  
(K. Węgrzyn, *Matko Białego Orła*)

Widzowie, zwłaszcza młodzież licealna i studenci nagrodzili Aktorkę niezwykle rześzystymi, głośnymi oklaskami, podkreślając siłę ekspresji poetyckiego słowa.

Część wokalnemu-muzyczną *Stabat Mater* D. Pergolesiego wykonali młodzi artyści Akademii Muzycznej: Monika Cichocka – sopran, Sławomir Bronk – kontratenor z towarzyszeniem sekstetu instrumentalnego „Concitato” pod kierunkiem prof. Małgorzaty Skotnickiej. Perfekcyjne wykonawstwo, piękne głosy dostarczyły widowni mocnych estetycznych doznań, kojąc u wielu głębokie wzruszenie. Uroczystość była głęboko wzruszająca, godnie uczciła pamięć Ofiar straszliwej narodowej tragedii – kresowej i smoleńskiej.

Po koncercie większość uczestników pozostaje w Auli i w hallu. Przyjechali nawet ze Słupska, Sztumu, Tczewa, Gniewu. Są poruszeni piękną podniosłą uroczystością. W odświętnej atmosferze prowadzą w grupach ożywione rozmowy. Wokół prof. A. Kołodziejczyka gromadzi się wielu uczestników – wymieniają się informacjami o tragicznych przeżyciach i wydarzeniach na Kresach. Dziękują za uroczystość, którą na pewno będą pamiętać z satysfakcją, że o ich tragicznych kresowych losach żywą pamięć kultywuje Politechnika, ciesząca się dużym autorytetem naukowym i moralnym. Wyrazy wdzięczności za pomoc w zorganizowaniu pięknej uroczystości należą się Magnificencjom Rektorom Politechniki Gdańskiej i Akademii Muzycznej, a przede wszystkim prof. A. Kołodziejczykowi i prof. A. Zawilskiemu, również Jego podopiecznym – Wykonawcom koncertu. Szczególnie gorące podziękowanie Organizatorzy kierują do sponsorów Uroczystości: inż. Jana Michalewskiego i prof. dra hab. Witolda Rakowskiego – Rektora Wyższej Szkoły Rozwoju Lokalnego w Żyrardowie.

Kresowianie ze środowisk Trójmiasta pragnęliby, żeby obchody 70. rocznicy Kresowej Tragedii, która przypada w 2013 r., zorganizował Uniwersytet Gdański, z jednoczesnym odstonięciem godnego znaku pamięci o Ofiarach OUN-UPA w pięknym mieście Gdyni.

Jan Perkowski

## MOJE WSPOMNIENIA Z PIERWSZYCH MIESIĘCY WOJNY

Lwów zaistniał w mojej – jako 5-letniego chłopczyka – świadomości po raz pierwszy, gdy wieczorem około 13-15 września 1939 r., gdzieś między Tomaszowem, Sokalem, Porzyckiem lub pod Brodami, zobaczyłem żołnierzy polskiego oddziału – nie wiem – plutonu czy kompanii, stojących w szyku pod drzewami wysokopiennego lasu obok drogi, którą przejeżdżał wiozący mnie z Mamusią i niespełna 2,5-letnim braciszkiem samochód, wypełniony ponad miarę wojennymi uciekinierami. Żołnierze stali w połowym rynsztunku, wydaje mi się – jestem prawie pewny, że byli w hełmach. Chyba odpoczywali. Widać ich było w resztkach dziennego światła, a może padł na nich przyciemniony promień reflektora samochodu na jakimś skrawku drogi? Mama zapytana o zaobserwowaną scenę odpowiedziała, że są to żołnierze idący na odsiecz Lwowa. Obraz ten i nazwę Miasta zapamiętałem na zawsze.

Potem były następne dni ucieczki, aż na południe do Trembowli do miejscowości Zwiniacz, do której dotarliśmy wczesnym rankiem w sobotę 16 września. Zatrzymaliśmy się w należącej do Stanisława Reya okazałej leśniczówce, znajdującej się na skraju rozległej przyleśnej polany. Na niej oraz na łąkowym płaskowyzu koło pobliskiego folwarku Antonówka między Zwiniaczem a Budzanowem, niespodziewanie wylądowało po południu kilka polskich samolotów myśliwskich P-11<sup>1</sup>. Prawdopodobnie były to 3 eskadry. Samoloty kołowały na brzeg lasu, gdzie niezwłocznie zostały przez lotników okryte gałęziami dla zamaskowania. Przyczyną lądowania było kończenie się paliwa. Przybyłym do leśniczówki pilotom, obecni tam cywile – głównie kobiety z dziećmi – spontanicznie dały absolutne pierwszeństwo w wyżywieniu i wypoczynku.

**17** września 1939 r. nastąpił zbójcecki napad bolszewicki na Polskę. Wiadomo, że był to tamtego września pierwszy dzień niepogody. Było pochmurno i padał deszcz. W chmurach nad leśniczówką od rana słychać był przeloty samolotów ze wschodu na zachód! Nasi

piloci lornetowali niebo i w końcu wypatrzyli na skrzydłach rozpoznawcze znaki – czerwone, pięcioramienne gwiazdy. Telefonistka z Czortkowa także przekazała wiadomość o bolszewickiej agresji. Lotników ogarnęło przerażenie. Pozlewali resztę benzyny ze wszystkich samolotów do wybranych maszyn. Zdaje się, że zdecydowali lecieć po dwóch w samolocie, o ile to było w ogóle możliwe w kabinie myśliwców P-11? Jeszcze dzisiaj widzę ten start, chyba dwóch samolotów, po rozbiegu wznoszących się nad łąką, a następnie ciągnących nisko nad lasem i niknących na zachmurzonym niebie. O ile mi wiadomo, 5–6 pilotów, którzy nie odlecieli, jakimś zdobytym samochodem próbowało ucieczki, aby nie dostać się w ręce agresorów. Nie powiodła się ona i słyszeliśmy potem, że jednak zgarnęli ich sowieci<sup>2</sup>. Wzięci do niewoli znaleźli się zapewne w Kozielsku lub Starobielsku, dzieląc los jeńców tych obozów na wiosnę 1940 r. Co stało się z lotnikami, tymi którzy odlecieli, nie wiadomo. Jeżeli udało im się dolecieć do Rumunii, to następnie prawdopodobnie dotarli do Francji, a potem do Anglii, gdzie walczyli w polskim lotnictwie. Zapewne nie przeżyli, ponieważ z *latającego personelu lotnictwa polskiego ocalał zaledwie jeden na pięciu w latach wojny*<sup>3</sup>.

Po wtargnięciu do leśniczówki w Zwiniaczu, bolszewicy napastnicy omal nie rozstrzelali natychmiast mojego wuja Włodzimierza Skarbak-Borowskiego, ponieważ miał przy sobie broń. W czwartym dniu po sowieckiej agresji, 20 września przenieśliśmy się ze Zwiniacza do niedalekiego Budzanowa nad Seretem, gdzie pozostaliśmy 10 dni. Mieszkaliśmy najpierw u państwa Reperowiczów, a potem koło zamku u pp. Gumowskich. W tym czasie na skrzyżowaniu szos w miasteczku zobaczyłem wolno sunące czołgi z ponuro wyglądającymi załogami. Przeląknęłam się i uciekłam do Mamy. Z Budzanowa wczesnym rankiem w niedzielę 1 października, wyjechaliśmy furmankami zapewne do odległej o około 12 km stacji w Dereniówce, a może do oddalonej o 20 km Trembowli. Pamiętam ten przejazd przez

rozświetlone porannym słońcem, mieniające się rosą i szronem, łąkowo-stepowe równiny Podola, z rozsnutymi na nich nitkami babiego lata. Stamtąd pociągiem, w towarowych wagonach, trawersem na południe od Tarnopola przez Chodorów, dojechalśmy o godzinie 6-tej rano, w poniedziałek 2 października, do Lwowa. Pociąg nie dojechał do stacji. Zatrzymał się na torach, wydaje mi się, że około kilometr od widocznego w poświacie zamglonego poranka, ciemnego masywu dworca. W oczach mam, widziane z oddali, pewno od strony wjazdu pociągów, zarysy krytej hali peronów i może kopuły dworcowego budynku. Szliśmy do niego piechotą przez zryte lejami po lotniczych bombach i artyleryjskich pociskach torowisko z powyginanymi, skręconymi przez wybuchy szynami. Dotarcia do zabudowań dworcowych i przejścia przez nie, nie pamiętam. Obchodząc zapewne z zewnątrz stacyjne budynki, wyszliśmy do miasta. W mieście zobaczyłem wtedy kościół z wielką dziurą, wybitą armatnim pociskiem w jednej z bocznych ścian. Zrobiło to na mnie bardzo przykre, wstrząsające wrażenie. Czy był to, znany z pieśni, kościół św. Elżbiety? Wtedy, we Lwowie pierwszy raz usłyszałem *Marsz strzelców lwowskich – W dzień deszczowy i ponury z cytadeli idą z góry szeregami lwowskie dzieci, idą tulać się po świecie ...* i pieśń ta zapadła mi w serce i w pamięć na całe życie.

**W**e Lwowie przyjęli nas do siebie i inne jeszcze osoby z rodziny Ludwikowie Horochowie. Mieszkali oni przy ulicy Adama Chmielowskiego, ówczesnie pod 9-tym numerem. Izabela Horochowa była cioteczną siostrą mojej Matki.

Jako dziecko mało wychodziłem z domu do miasta będącego pod sowiecką okupacją. Przemawiały za tym względy bezpieczeństwa i moje wylęknienie, gdyż drugiego dnia wojny przeraziło mnie zbombardowanie w Przecławiu przez niemieckie samoloty pobliskiego mostu na Wisłoce. Pewnego więc razu, gdy szliśmy z Mamą ulicą i nisko przelatował wielki sowiecki samolot transportowy, wyrwałem się z maminej ręki, uciekłem i w panice wpadłem do piwnicznego zejścia w podwórzu któregoś z domów. Mama jakoś mnie tam odnalazła. Z tych powodów miasto mało pamiętam. Przypominam sobie jednak, że w którejś, chyba znajdują-

cej się na wzgórzach dzielnicy, ogromnie podobały mi się poprzeraśnane białymi żyłkami kwarcytów różowe kamienne płyty, którymi tam wyłożone były uliczne chodniki.

Już podczas październikowej bytności we Lwowie docierały do nas informacje i mówiło się o heroizmie wrześniowej obrony Polski. Pamiętam bezimienną wieść o żołnierzu – zapewne artylerzyście, który zniszczył w walkach kilkanaście, mówiono zdaje się, że 11 a może więcej niemieckich czołgów. Widzę także sylwetkę wuja Antoniego Jaroszyńskiego, ubranego jeszcze w polski wojskowy płaszcz już bez dystynkcji, bo ukrywającego się przed NKWD, żeby uniknąć aresztowania przez bolszewików.

Po ustaniu wrześniowych walk, we Lwowie znalazła się ogromna liczba przybyłych zewsząd uciekinierów z terenów ogarnianych niemiecką, a potem także sowiecką agresją. Poznałem wtedy córkę Henryka Sienkiewicza, Jadwigę Kornilowiczową i także jej czternastoletnią wówczas córkę Marię, zwaną w rodzinie Medzią. Były same. Mąż – zięć pisarza, pułkownik Tadeusz Kornilowicz już wtedy znajdował się w sowieckiej niewoli, o ile wiem pod specjalnym nadzorem z powodu, bezzasadnego zresztą, podejrzania o przynależność i funkcje w polskim wywiadzie wojskowym. Był rodzonym bratem ks. Władysława Kornilowicza, znanego m.in. z podwarszawskich Lasek. Więziony następnie w obozie w Kozielsku, płk Kornilowicz od początku podlegał z wymienionych powodów szczególnemu represjonowaniu i odizolowaniu od pozostałych jeńców w oddzielnej części obozu. Został prawdopodobnie zamęczony lub zamordowany już wcześniej, jeszcze przed dokonaniem zbrodni katyńskiej.

Z córką i wnuczką Henryka Sienkiewicza jesteśmy spokrewnieni. Z tego powodu obie panie odwiedzały nas w mieszkaniu przy ul. Chmielowskiego. Wtedy, w październiku we Lwowie dojrzewały piękne kasztany i mnóstwo ich leżało wśród liści na ulicach. Był to jeden z nielicznych, dostępnych wówczas dla nas przedmiotów zabawy. Bardzo chciałem je mieć. Umówiliśmy się więc z Medzią, że pójdziemy wspólnie nazbierać dla mnie



kasztanów. Gdy jednak trzeba było wyjść z domu na ulicę, przeważał mój wojenny lęk i nie odważyłem się na wyprawę z panienką. Więc wymyśliłem nie bardzo elegancką propozycję, aby poszła sama po kasztany i mi je przyniosła. Ona jednak, zapewne kierując się pedagogiką, odmówiła zebrania ich dla mnie bez mojego w tym udziału. Zostałem więc bez upragnionych do bawienia się kasztanów.

Inną spotkaną we Lwowie rodziną byli państwo Krzysztoporscy. Pan Zygmunt Krzysztoporski do końca 1938 r. był polskim Najwyższym Inspektorem Celnym w Wolnym Mieście Gdańsku. Mieli oni dwie córki, starszą Annę i moją rówieśniczkę Jadwigę – „Dzigę”, dziecinną partnerkę zabaw w Gdańsku, ponieważ nasze rodziny utrzymywały przyjacielskie kontakty. W 1939 r. pp. Krzysztoporscy przenieśli się do Lwowa. Z początkiem lata urodziło im się trzecie dziecko – synek Wojtuś. We Lwowie zastała ich wojna. Chyba dwa razy odwiedziliśmy rodzinę Krzysztoporskich w ich lwowskim mieszkaniu. Pamiętam, że bardziej niż zabawa z dziecinną przyjaciółką zauroczył mnie leżący w wózku maleńki, około 3-miesięczny chłopczyk, swoimi drobniutkimi paluszkami chwytający mnie za palec. Te jego paluszki tak mi się podobały i mnie wzruszały! Państwo Krzysztoporscy zostali w okupowanym Lwowie. W czerwcu 1940 r. sowieci wywieźli ich na Ural. Uwolnieni, przez Orsk i Buzułuk, dotarli do Bucharu. W wyniku deportacji, jesienią 1941 r. zmarli najpierw w październiku Wojtuś, a potem w grudniu Anna. Córka Jadwiga ocalała dzięki odstępowaniu dla niej przez Jana Piłsudskiego racji żywnościowych i z rodzicami wydosłała się w 1942 r. z Armią Polską do Persji (Iranu)<sup>4</sup>. Po wojnie osiedlili się w Anglii i Jadwiga została tam lekarzem.

**B**ardziej niż samo miasto, pamiętam epizody pobytu w okupowanym przez Sowietów Lwowie. Już w październiku 1939 r. okupacja ta budziła grozę. Przypominam sobie jak moja Mama paliła w piecach wspaniałe, pięknie oprawne książki z domowej biblioteki Ludwika Horocha. Wiele lat potem Mama mówiła mi, że czyniła to ze ściśniętym sercem na prośbę gospodarza, obawiającego się nieobliczalnych represji za posiadanie tych „wrogich”, pewnie istotnie krytycznych względem komunizmu i bolszewizmu książek. Widać już wtedy odbywały się w pol-

skich domach sowieckie najścia, rewizje i aresztowania bez możliwości ratunku.

Mieszkając prawie do wojny w zniemczonym wówczas Gdańsku, nie stykałem się z ludnością żydowską. Na podwórzu kamienicy, w której mieszkaliśmy we Lwowie, jedyny raz w życiu słyszałem nawoływania podwórkowych handlarzy żydowskich: *handefe, handefe, handefe*. Ich, akcentowane przeciągłym zaśpiewem na pierwszej sylabie brzmienie, nagle milknące, gdy dochodziło do jakiejś transakcji, pamiętam do dzisiaj.

Wojna, napływ uciekinierów, a zwłaszcza działania sowieckiego okupanta niezwłocznie spowodowały coraz dotkliwsze braki żywności i trudności aprowizacji. Pamiętam, że gdy z bratem budziliśmy się rano, często wywoływała w nas lęk nieobecność Mamy, która znając miasto, wczesnym rankiem wychodziła do otaczających Lwów wsi po mleko dla nas i dla innych przebywających w gościnie u wujostwa Horochów wojennych lokatorów, zwłaszcza dzieci. Mama przynosiła mleko w bańkach czy dzbankach – nie pamiętam już, ale bywała wracała z pustymi naczyniami. Przypominam sobie także przygotowywanie zapasów na „czarną godzinę” – sucharów z chleba oraz jaj konserwowych, zdaje się przez zatopienie w roztworze szkła wodnego.

Na ulicach przed sklepami ustawiały się kolejki kupujących, o których mówiło się wtedy „ogonki”. W sklepach mało było spożywczych produktów. Pamiętam worki z białą, czerwono-brązową i pstrokatą czerwono-czarnobiałą fasolką. Stojąc przy Mamie, usiłującej kupić potrzebne, czy raczej jeszcze dostępne produkty żywnościowe, ukradkiem podbierałem – podkradałem te fasolki, zwłaszcza pstre, bo mi się bardzo podobały i można było się nimi pobawić. Miałem jednak z tego powodu wyrzuty dziecięcego sumienia.

Mijał październik. Dni stawały się zimne i dżdżyste. Zauważałem, i jako zjawisko frapowało mnie pojawianie się na ulicznych kałużach tęczowo lśniących interferencyjnych pierścieni, tworzonych przez pokrywające wodę cienkie warstewki ropy i smarów obficie wyciekających z krasnoarmijnych pojazdów. Co raz częściej ulicami przechodziły w brudnych szarych szynelach, budzące niepokój oddziały żołdatów, nieodmiennie śpiewających ponurą sowiecką pieśń *Jeśli zawtra wajna ...*

**C**zuając narastające zagrożenie, Mama wraz z resztą rodziny postanowiła jak najszybciej uciekać spod sowieckiej okupacji do części kraju zajętej przez Niemców, mimo czyhających także i tam wielkich niebezpieczeństw. Tropiony przez NKWD wuj Antek Jaroszyński przedostał się najpierw sam pod okupację niemiecką, przepływając gdzieś wezbrany i zimny już, „graniczny” San. Był przy tym przez bolszewików ostrzeliwany. A my ponurym rankiem, w sobotę 28. października wynajętą skądś, roztrzęsioną ciężarówką wyjechaliśmy wszyscy na zawsze ze Lwowa. Jechaliśmy na zachód przez Janów i Jaworów. Samochód dowiózł nas do miejscowości Surowców na prawym brzegu Sanu, na wschód od Jarosławia. Przejście stąd do niemieckiej strefy okupacyjnej było niemożliwe. Zbrodniczy okupanci już uszczelniali linię podziału. Przenosząc się kolejno przez Sobiecin (30 X), Szówsko (31 X – 3 XI), 4 listopada dotarliśmy do Mołodycza. Między nim a odległym o około 10 km na północ Cewkowem biegła w leśnym terenie lądowa granica rozbioru Polski. Przekroczyliśmy ją w niedzielę 5 listopada po północy, jakoś między 4 i 6-tą godziną, całkowicie po ciemku, przeprowadzeni przez tę „zieloną granicę” przez umówionych miejscowych ludzi – przewodników, znających dobrze ukryte w lesie dukty. Mama niosła na rękę 2,5 letniego brata – jak się okazało już chorego na szkarlatynę, mnie prowadząc za rękę. Chwilami niósł mnie jeden z przewodników. W trakcie przeprawy była chwila, kiedy przewodnicy nakazali nam całkowitą ciszę. Szczęśliwie sowieckie straże nas nie spostrzegły i nie złapały. Do przysiółka Wola Cewkowska koło samego Cewkowa przyszli-

śmy dobrym już ranem, około 8-mej godziny. Po odpoczynku, następnego dnia dojechaliśmy wozem do Kuryłówki, napotykając w drodze pierwszych niemieckich żołnierzy. Z tej miejscowości podjechaliśmy w pobliże częściowo zwałonego mostu na Sanie pod Leżajskiem. Uzyskawszy po kilku godzinach zgodę posterunków niemieckiej żandarmerii, przeszliśmy na zachodnią stronę mocno wezbranej, gliniasto zabarwionej rzeki po drewnianej kładce, zastępującej dla pieszych zerwane przęsła. Dotarliśmy na dworzec kolejowy w Leżajsku. Z niego pojechaliśmy pociągiem do Przeworska, z którego w towarowym wagonie odbyliśmy podróż przez Rzeszów do Dębicy, i tam spędziliśmy noc w ogrzewanej rozpalonym żeliwnym piecykiem budce dróżników. W końcu, 9. listopada przybyliśmy do Ocicki koło Przecławia. Obaj chorowaliśmy na szkarlatynę. Tam też, w pierwszych miesiącach okupacji, bezpiecznie obchodziliśmy Boże Narodzenie 1939 r. wśród dobrych, serdecznych ludzi w ich istniejącym jeszcze wtedy dworze. Również tam, w grudniu 1939 r. znalazły nas pierwsze listy Ojca, który po katastrofie wojennej dotarł na Litwę i przebywał w swoim rodzinnym domu w Dziuginianach koło Telsz na Żmudzi.

**S**pisana przeze mnie relacja jest całkowicie prawdziwa. Wszystkie zdarzenia i doznania wy dobyłem po 61 latach z własnej pamięci, nic do nich obecnie nie dodając. Jedynie ściśle daty i nazwy niektórych miejscowości zaczerpnąłem z robionych wtedy na gorąco przez moją heroiczną Matkę codziennych zapisów w zeszycie, który jest po dzień dzisiejszy w naszym posiadaniu. ►

## ZAMEK W GRZYMAŁOWIE

Zdjęcie przedstawia zamek – budynek mieszkalny i baszty – w Grzymałowie k. Skalatu. Powstał z końcem XVI w., był gniazdem kilku kolejnych rodów, a od połowy XIX w. Pinińskich i Wolańskich (pisał o tym w CL 1 i 2/08, tam także znalazło się parę zdjęć). W czasie wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 r. bomba zamieniła zamek w ruinę, po czym został rozebrany, a materiał użyty na budowę gościńca. Zdjęcie – wykonane w 1939 r. – przysłała nam z Warszawy Pani prof. Anna Komornicka z Wolańskich, za co bardzo dziękujemy.



- Moje kontakty ze Lwowem nie ograniczyły się tylko do epizodu bytności w mieście zajętym przez sowietów po katastrofie 1939 r. Związki ze Lwowem i jego mieszkańcami, a było ich wiele, dotyczą dalszej i bliższej przeszłości.

### Przypisy

<sup>1</sup> Uzyskana w 2004 r., uzupełniająca relacja naoczego świadka opisywanego epizodu, pana Mieczysława Rogowskiego, ur. w Budzanowie w 1932 r. i zamieszkałego w nim do lutego 1945 r. Po ekspatriacji, a następnie za konspiracyjną i niepodległościową działalność ojca, doznaniu represji przez wcielenie w latach 1950. do wojskowego batalionu górniczego, pan Rogowski mieszkał i żyje obecnie na emeryturze w Kędzierzynie-Koźlu.

<sup>2</sup> Z datowanego 5 marca 2004 r. listu dra Czesława Medeckiego, mieszkańca Budzanowa, świadka wydarzeń we wrześniu 1939 r.:  
Odnosnie do naszych pilotów, którzy z powodu braku benzyny zmuszeni byli wylądować na polu, w miejsce wykoszanej koniczyny hrabięgo ze Zwiniacza. Po wylądowaniu spuścili paliwo ze wszystkich samolotów do jednego, żeby dać możność jednemu odlecieć. Byli w Budzanowie, szukali transportu, lecz nikt nie mógł im pomóc. Benzynę miał tylko Niedzielski ze Skoromosza, administrator gospodarstwa rolnego ks. Ufryjewicza. Odmówił im pomocy, ponieważ benzyna będzie mu potrzebna do młócenia zboża. Po przyjsciu sowietów nakazano młócić i odwieźć do skupu. W dniu 17 IX 1939 r. wkroczyły wojska sowieckie i w tym samym dniu uciekła nasza policja. Nasi piloci byli w Budzanowie, szukali pomocy, lecz nikt im nie pomógł. Niedzielski miał beczkę benzyny, lecz im odmówił. Nikt z Polaków nie chciał jechać, ponieważ na rogatkach miast stali ukraińscy nacjonaliści, którzy rozbrajali naszych żołnierzy. Było to 18–19 września, stojąc przy moście widziałem jak prowadzono naszą policję i pilotów ze Zwiniacza. Znałem naszą policję doskonale, ponieważ nasza szkoła była zbudowana naprzeciw budynku sądowego, gdzie mieściła się policja. W pierwszej czwórce na przedzie szedł plut. Markiewicz, następnie kom. Kierepka, Kozerski, Kropidłowski, Gościło. Następnie w czarnych beretach szli nasi piloci, których nazwisk nie znam; pamiętam, że dwóch było niskiego wzrostu.

... *Opowiedziałem to co wiem, ponieważ czas zaciera naszą przeszłość, ale tyle pamiętam, starałem się odpisać.*

Czesław Medecki (zamieszkały: 58-260 Bielawa k. Wałbrzycha, ul. Wolności 159/13)

<sup>3</sup> W. Urbanowicz: *Początek jutra*, wyd. Znak, Kraków 1966

## Aleksandra Garlicka

# Ex oriente lux (2)

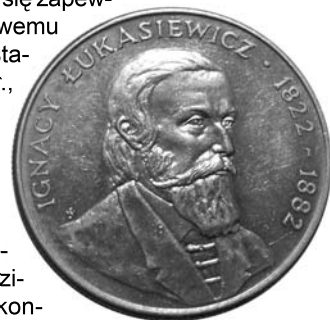
## Kultura i nauka we Lwowie 1772–1939

Rozkwit badań chemicznych na Politechnice Lwowskiej wiązał się z naftą, jedynym bogactwem naturalnym tej części Galicji (poza urodzajną ziemią). Ignacy Łukasiewicz zdobył wprawdzie wyższe wykształcenie aptekarskie w Krakowie, ale to on w 1853 r. zapalił pierwszą lampę naftową w lwowskiej aptece Piotra Mikolascha, co umożliwiło m.in. oświetlenie Szpitala Powszechnego na Łyczakowie i przeprowadzenie pierwszej operacji chirurgicznej wieczorem.

Łukasiewicz starał się zapewnić przemysłowi naftowemu w Galicji solidne podstawy rozwoju. W 1877 r., a więc w roku otwarcia Politechniki, zorganizował we Lwowie kongres naftowy, w wyniku którego powstało Towarzystwo Naftowe z siedzibą w Gorlicach. W kongresie wziął udział Stanisław Szczepanowski, przemysłowiec, publicysta, polityk, który związał swą działalność gospodarczą z naftą galicyjską<sup>1</sup>.

W tym samym roku odbyła się we Lwowie w ogrodach Jabłonowskich pierwsza wystawa rolniczo-przemysłowa, której okazji umieszczono potem w powstałym w tym czasie Muzeum Przemysłowym.

Od 1899 r. przy Szkole Politechnicznej istniała Krajowa Stacja dla Przemysłu Naftowego do której przyjeżdżali praktykanci z zagranicy<sup>2</sup>. W okresie międzywojennym, od 1924 r., chemik Stanisław Pilat, profesor na wydziale technologii nafty i gazów ziemnych Politechniki Lwowskiej, prowadził badania nad składem polskiej ropy naftowej i technologią jej przeróbki. Opracował nowe metody przeróbki ropy naftowej, które znalazły zastosowanie w Polsce, Rumunii i Meksyku.





Blisko związana z Wydziałem Lekarskim Uniwersytetu Lwowskiego była założona w 1881 r. szkoła weterynaryjna, przekształcona w 1895 r. w Akademię Weterynaryjną.

Powstała w 1856 r. staraniem Towarzystwa Gospodarczego Galicyjskiego średnia szkoła rolnicza w Dublanach pod Lwowem, zamieniona kolejno w Wyższą Szkołę Rolniczą, otrzymała w 1901 r. tytuł Akademii Rolniczej. Od 1899 r. działała we Lwowie Akademia Handlowa.

Szczególną rolę pod niepozorną, a ciągle zmieniającą się nazwą odegrała lwowska Szkoła Przemysłowa. Miała ona w założeniu nauczać rzemiosła czyli przemysłu rękodzielniczego, w rzeczywistości stała się akademią sztuk pięknych. Jej początki sięgają 1875 r., kiedy to utworzono przy Muzeum Przemysłowym szkołę rysunków i modelowania. W 1892 r. szkoła przeniosła się do własnego gmachu. Stała się Państwową Szkołą Przemysłową, kształcąca głównie w budownictwie, a więc związaną z Wydziałem Architektury na Politechnice. Posiadała równocześnie publiczne sale „rysunku i modelowania”. Językiem wykładowym był zawsze polski. W końcu XIX wieku i na początku XX nauczali w niej m.in. malarze Edward Pietsch i Tadeusz Rybkowski. W okresie dwudziestolecia międzywojennego grafiki uczył tu Ludwik Tyrowicz, rzeźby Marian Wnuk, rzemiosła artystycznego wybitny intrologator Aleksander Semkowicz.

Była to jedyna wyższa uczelnia, która ostała się w czasie II wojny światowej w czasie okupacji niemieckiej. Miała status szkoły zawodowej, a Niemcy dopuszczali wykształcenie zawodowe Polaków. W rzeczywistości prowadzono tam tajne nauczanie.

W 1894 r., w stulecie Powstania Kościuszkowskiego, w czasie trwania wielkiej Powszechnej Wystawy Krajowej otwarto Panoramę Raclawicką pędzla Wojciecha Kossaka i Jana Styki. Było to wielkie wydarzenie kulturalne i patriotyczne. Na wystawie, prócz dokonów przemysłowych, prezentowano także sztukę polską i to nie tylko lwowską. W specjalnym pawilonie Jana Matejki pokazywano jego twórczość. W Pałacu Sztuki, który przetrwał II wojnę światową eksponowano retrospektywną wystawę sztuki polskiej do czasów ówczesnych. Na wystawie pokazywano też kolekcje tkanin buczackich i sztukę huculską.

W 1903 r. odbyła się we Lwowie pierwsza retrospektywna wystawa dzieł Jacka Malczewskiego<sup>3</sup>. W 1907 r. otwarto Lwowską Galerię Malarstwa i Rzeźby. W końcu tego roku nakładem drukarni Altenberga ukazał się pierwszy zeszyt wydawnictwa „Sztuka Polska”<sup>4</sup>.

We Lwowie tworzyli malarze: Artur Grottger, Henryk Rodakowski, Stanisław Batowski-Kaczor, Kazimierz Sichulski, Teodor Axentowicz. Rzeźbiarze: Cyprian Goddebski, Antoni Popiel, Tadeusz Barącz. Już przed 1866 r. działało tu Towarzystwo Sztuk Pięknych.

Nic też dziwnego, że właśnie w tym mieście narodziła się polska fotografia artystyczna. W 1891 r. powstał we Lwowie Klub Miłośników Sztuki Fotograficznej. W zebraniu założycielskim uczestniczyli między innymi inicjator Klubu Tadeusz Barącz – twórca pomnika Jana Sobieskiego usytuowanego na Wałach Hetmańskich, Teodor Szajnok – właściciel jednego z najstarszych zakładów fotograficznych we Lwowie oraz przyszły prezes Klubu mecenas Karol Strommenger. W 1895 r. staraniem Klubu ukazało się we Lwowie pierwsze na ziemiach polskich fachowe czasopismo fotograficzne „Przegląd Fotograficzny”.

Lwów aż do czasów I wojny światowej był jedynym ośrodkiem na ziemiach polskich, w którym uprawiano fotografię artystyczną. Tu powstawały fotogramy w tzw. technikach szlachetnych, tu na wzorach wiedeńskich (pod wpływem wiedeńskiego klubu tzw. „Trójlistka”) kształcili się mistrzowie przetłoku, gumy i bromoleju. Wydawano podręczniki fotografii. W 1898 r. w miejsce „Przeglądu” zaczęło wychodzić nowe pismo, także pod redakcją Stanisława Lachowskiego – „Kronika Fotograficzna”. W 1903 r. Klub przeistoczył się w Lwowskie Towarzystwo Fotograficzne, które z dziesięcioletnią przerwą, między 1914 a 1924 rokiem, działało aż do wybuchu II wojny światowej. Najznakomitszymi mistrzami lwowskiej fotografii byli Henryk Mikolasch i Józef Świtkowski. Pozostawili znakomite dzieła w technikach szlachetnych, obaj nauczali; Mikolasch był wykładowcą i kierownikiem Zakładu Fotografii na Politechnice



Aleksander Semkowicz

Janina Mierzecka, autoportret fotograficzny (bromo-  
lej, 1928). J. Mierzecka była matką autorki nin. artykułu



Lwowskiej, Świtkowski był lektorem fotografii na Uniwersytecie Jan Kazimierza. Wykształcili grono wspaniałych fotografów. Byli to Władysław Bednarczuk, Zbigniew Bieniawski, Zofia z Trzemeskich Huberowa, Rudolf Huber, Aleksander Krzywobłocki, Bronisław Kupiec, Adam Lenkiewicz,

Norbert Lilien, Władysław Markocki, Janina Mierzecka, Jan Alojzy Neuman, Stefan Pazirski, Witold Romer – twórca izohelii, Jarosław Stoniewski, Ludwik Zaturski.

W okresie międzywojennym Lwowskie Towarzystwo Fotograficzne urządzało wystawy także ogólnopolskie i międzynarodowe, w 1929 r. było inicjatorem powołania Polskiego Towarzystwa Fotograficznego.

4 października 1900 r. otwarto miejski Teatr Wielki we Lwowie wzniesiony wedle projektu Zygmunta Gorgolewskiego. Bryła teatru, znana z wielu pocztówek i ilustracji wzorowana była na gmachach opery paryskiej i wiedeńskiej. Nie był to pierwszy teatr lwowski<sup>5</sup>.

W 1842 r. sumptem Stanisława hr. Skarba wzniesiono zwany od jego nazwiska Teatr Skarbkowski. Na jego deskach grywali Jan Nepomucen Nowakowski i Witalis Smochowski, Helena Modrzejewska, Jan Królikowski, Bolesław Ładnowski. Dla tego teatru, a szczególnie dla Nowakowskiego i Smochowskiego pisał sztuki Aleksander Fredro.

Prawdziwy rozwój teatru lwowskiego nastąpił po otwarciu Teatru Wielkiego. Były tu sceny dramatu, opery i operetki. Był to teatr Tadeusza Pawlikowskiego (1900–1906), Ludwika Hellera (1906–1918), a w dwudziestoleciu międzywojennym Wilama Horzycy i Leona Schillera. Grywali tu Ludwik i Irena Solscy, Gabriela Zapolska, która również pisała sztuki dla tych teatrów, Władysław Roman, Karol Adwentowicz, Ferdynand Feldman i inni. Wystawiano sztuki Wyspiańskiego i Rydla, publiczność lwowska zachwycała się dramatami Ibsena i muzyką Griega.

W dwudziestoleciu międzywojennym Wilam Horzyca i Leon Schiller wprowadzili na lwowską scenę polskich wieszczów. Oprócz dawnych aktorów grywała tu odkryta przez Horzycę Irena Eichlerówna.

Życie muzyczne Lwowa „koncentrowało się” wokół założonego jeszcze w 1858 r. Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego, przemianowanego po 1918 r. na Polskie Towarzystwo Muzyczne, które w latach międzywojennych przeżywało okres świetności pod dyrekcją Mieczysława i Adama Sołtysów. Od 1902 r. Lwów posiadał Filharmonię w olbrzymiej sali przy ul. Chorążczyzny. Działały też Konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego i Związek Muzyków we Lwowie. W 1913 r. powstał pierwszy na ziemiach polskich Zakład Muzykologii przy wydziale filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego, stworzony i prowadzony przez profesora Adolfa Chybińskiego. Z jego szkoły wyszli najwybitniejsi muzykolodzy lat międzywojennych: Jan Józef Dunicz, ks. Hieronim Feicht, Stefania Łobaczewska, Zofia Lissa, Józef Chomiński<sup>6</sup>.

15 stycznia 1930 r. uruchomiona została stacja nadawcza lwowskiej rozgłośni Polskiego Radia. Studia i biura rozgłośni mieściły się w gmachu przy ul. Batorego 6, zaś stacja nadawcza na terenie Targów Wschodnich. Dyrektorem był Juliusz PeTRY, kierownikiem muzycznym Adam Sołtys, a „Wesoła Fała” stworzona przez Wiktora Budzyńskiego zabawiała całą Polskę. Lwów w 1939 r. był najlepiej zradowizowanym miastem w Polsce, z 45 tysiącami abonentów radiowych.

Lwów będący przez długie lata stolicą autonomicznej Galicji i siedzibą Namiestnictwa, a w latach 1890–1914 właściwie stolicą kulturalną Polski po odzyskaniu niepodległości, spadł do rzędu jednego z miast wojewódzkich. Nie przestał być jednak ważnym ośrodkiem kulturalnym, naukowym i literackim. Jego wkład do Niepodległej był ogromny. Zasiłił warstwę urzędniczą nowopowstającego państwa. Parlamentaryzm polski kształcił się na doświadczeniach posłów galicyjskich. Kazimierz Bartel, profesor geometrii wykreślnej Politechniki Lwowskiej od 1913 r., został trzykrotnie premierem, Ignacy Mościcki wykładowca na Politechnice Lwowskiej, gdzie w 1925 r. wybrany został jej rektorem, 4 czerwca 1926 r. zo-





stał zaprzysiężony na prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.

We wrześniu 1939 r. wojska radzieckie zajęły Lwów. Mury miasta ocalały w czasie II wojny światowej, ale największe straty ponieśli jego mieszkańcy. Ci, którzy ocalili z pożogi wojennej, nie zostali wywiezieni na wschód, ani nie zgi-

nęli od niemieckiej kuli, w latach 1945–1947 w wagonach towarowych drogą żelazną kierowali się na zachód.

Zasilili ośrodki naukowe Krakowa i Głiwic, uniwersytetów warszawskiego i poznańskiego. 9 i 10 maja 1945 r. do zburzonego Wrocławia przybyła sformowana na Uniwersytecie Jagiellońskim grupa naukowo-kulturalna. Zadaniem jej było zabezpieczenie mienia przedwojennych uczelni i instytutów naukowych Wrocławia. Na jesieni tego roku profesor Stanisław Kulczyński, ostatni rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza, na rozpoczęcie roku akademickiego wygłosił wykład inauguracyjny połączonych na razie uczelni – Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu.

W budowie stosu atomowego w dalekim Los Alamos brał udział lwowski matematyk Stanisław Ulam.

Światło poszło na zachód.

## Przypisy

- <sup>1</sup> Leszek Kuberski: *Stanisław Szczepanowski 1846–1900*. Opole 1997 ss. 214
- <sup>2</sup> Józef Wiczkowski; Tamże s. 167
- <sup>3</sup> *Polskie Życie Artystyczne w latach 1890–1914*. Praca zbiorowa pod redakcją Aleksandra Wojciechowskiego. Zakład Narodowy im. Ossolińskich 1967 s. 67
- <sup>4</sup> Tamże s. 69
- <sup>5</sup> Teatr lwowski w latach 1890–1918 w: *Dzieje teatru polskiego 1890–1918*. Warszawa 1987 s. 199–310; Stanisław Marczak-Oborski: *Teatr w Polsce 1918–1939*, rozdział Teatr lwowski s. 302–370; *Polski teatr we Lwowie* pod redakcją Lidii Kuchtówny. Warszawa 1997 ss. 294
- <sup>6</sup> Zofia Ottawa-Rogalska: *Lwy spod ratusza słuchają muzyki*. Ossolineum 1987 ss.156; L. Mazepa: *Konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie, w: Lwów – miasto, społeczeństwo, kultura*. Studia z dziejów Lwowa pod red. H. W. Żalińskiego i K. Karolczaka. Tom II, s. 403–423

## Nie tylko martyrologia

Z rozmowy z prof. S.S. Nicieją „Mit Lwowa” („Polityka” 22/99)

– Red. M. Urbanek: Dla kogo ten mit Lwowa jest dziś ważny?

– S.S. Nicieją: Myślę, że mit, a bardziej wzór Lwowa jest ważny dla wszystkich Polaków. Nasza historia jest bardzo ponura. Studenci odwracają się od historii XIX w., łudząco podobnych do siebie powstań, kończących się za każdym razem tak samo: tragedią ludzi więzionych, wywieszonych na Syberię, pozbawionych korzeni. Na tym tle Galicja jest swoistym rajem. W historii Lwowa nie ma wiele z martyrologii. Przeciwnie, jest to miejsce, do którego poobijani w powstaniach ludzie uciekają. Jedyna zwarta kwatera powstańców listopadowych jest właśnie na Cmentarzu Łyczakowskim, co nie było możliwe w Warszawie. Tam także jest najwięcej grobów

powstańców styczniowych. Tymczasem piszemy w życiorysie człowieka, że stracił w powstaniu ucho, ale nie odnotowujemy, że żył jeszcze 40 lat we Lwowie, zbudował fabrykę konserw czy czekolady, fundował stypendia, muzea, biblioteki. To trzeba zmienić. Historia Lwowa jest swoistą alternatywą dla historii powstańczej i także dlatego jest to historia tak atrakcyjna i łatwo poddająca się mitologizowaniu.

– Chce pan drastycznie zmienić sposób patrzenia na historię Polski?

– Chciałbym, aby obok martyrologii zaczęto cenić także inne doświadczenia. Kiedy w edukacji narodowej przestaniemy tylko przypominać wodzów, którzy przegrali powstania i bitwy, a zacniemy pokazywać ludzi, którzy próbowali budować szczęście swej rodziny, miasta, narodu inaczej i którym w dodatku się udało, to model Lwowa może okazać się modelem bardzo atrakcyjnym. Po prostu historia Lwowa jest historią bardziej pogodną.

# Lwowski teatr J.N. Kamińskiego w Krakowie

## I

Dla ożywienia teatru starosta brzegowski Jacek Kluszewski – podobnie jak dawniej – sprowadzał do Krakowa w sezonach letnich obce zespoły. W początkowych latach istnienia Wolnego Miasta odnotować przyjdzie dwa takie wydarzenia. Pierwsze z nich, to występy francuskich aktorów z Warszawy (latem 1818) z komediami Marsolliera, Chatillona i Pigault-Lebruna. Cieszyły się one powodzeniem głównie wyższych warstw społeczeństwa, które tłumnie zapępniały salę teatralną, po trosze z ciekawości, po trosze ze zwykłego snobizmu. Drugim wydarzeniem o ważkiej wymowie artystycznej (choć i ryzykownym w skutkach dla Kluszewskiego) były pierwsze gościnne występy w Krakowie lwowskiej trupy Jana Nepomucena Kamińskiego.

Prasa krakowska 6 sierpnia 1820 roku uprzedzała publiczność Wolnego Miasta o rychłych gościnnych występach lwowskich aktorów następującymi słowami:

*Kompania aktorów narodowych pod przewodnictwem JPana Kamińskiego, autora opery „Nowe Krakowianki”, przez jedenaście lat z zaszczytem w Teatrze Lwowskim grająca, w tym miesiącu przybędzie do Krakowa i na Teatrze Narodowym reprezentacje nowych sztuk i oper dotąd nie wystawionych rozpocznie.*

Zapowiedź ta, lakoniczna w formie i pozbawiona właściwie podtekstu reklamowego, stała się nie byle jaką sensacją, która spowodowała, że pomimo okresu wakacyjnego *wiele osób zwykle wyjeżdżających w tej porze*, pozostało, aby naocznie sprawdzić, czy relacje o wysokim poziomie lwowskiego teatru znajdują pokrycie w rzeczywistości.

W istocie była to sława zasłużona, teatr bowiem utworzony i kierowany we Lwowie przez Jana Nepomucena Kamińskiego był zaprzeczeniem tego wszystkiego, co Kraków przywykł był oglądać ostatnio na własnej scenie. Kamiński – mimo dużych trudności materialnych (z którymi borykał się

zresztą do końca życia), na przekór niechęci władz i konkurencji teatru niemieckiego, mimo braku zrozumienia i poparcia ze strony społeczeństwa – zdołał zorganizować stałą scenę polską we Lwowie, zdołał wzniesić ją na odpowiednio wysoki poziom artystyczny i ugruntować jej istnienie na przyszłość. Teatr rozumiał na swój własny sposób, nie tylko jako rozrywkę, ale – w konkretnych warunkach politycznych, wobec germanizatorskich tendencji władz zaborczych – widział w nim szkołę polskość i ośrodek kultywowania rodzimego języka, wyrugowanego zupełnie z innych instytucji publicznych. Długoletnia walka Kamińskiego o teatr polski we Lwowie była zatem równocześnie walką o prawo do publicznego przemawiania w języku polskim. Dążył do tego wytrwale, uciekając się niejednokrotnie do pochlebstw i wiernopoddańczych oświadczeń wobec władz austriackich, do podstępów i perswazji wobec urzędowej cenzury.

We Lwowie Kamiński potrafił zgromadzić, wyszkolić i – co najważniejsze – utrzymać przez długie lata zespół wybitnych i wszechstronnie utalentowanych aktorów, którzy umożliwiali mu realizację różnorodnego repertuaru, a także wprowadzenie na scenę lwowską wielu cennych pozycji światowej dramaturgii.

Sam Kamiński – aktor rutynowany ale niezbyt doskonały w swym zawodzie, ceniony jednak i lubiany przez publiczność – przede wszystkim był znakomitym deklamatorem i wybitnym pedagogiem. Ponadto potrafił właściwie docenić rolę muzycznej i plastycznej oprawy przedstawień, nie szczędząc wysiłków i wydatków na dobrą orkiestrę oraz na okazałe kostiumy i dekoracje. Był wreszcie Kamiński płodnym autorem, tłumaczem i adaptatorem utworów scenicznych, wśród których naczelną rolę odgrywał wówczas jego *Zabobon czyli Krakowiaczy i Górale*, napisany do muzyki Karola Kurpińskiego, a inspirowany przez wcześniejszą „śpiewogrę” Wojciecha Bogusławskiego i pomyślany



jako jej kontynuacja. W Krakowie łączono z wizytą Kamińskiego i jego zespołu nadzieje na ożywienie życia teatralnego w Wolnym Mieście; Kamiński natomiast, choć myślał oczywiście i o artystycznym sukcesie, bardziej jednak oczekiwał finansowych zysków. Po krótkim bowiem okresie powodzenie materialnego, właśnie poczynszy od roku 1820, popadał coraz bardziej w długi na skutek wyraźnego spadku frekwencji i wygórowanych żądań aktorów.

Przyznać jednak trzeba, że do gościnnych występów w Krakowie przygotował się Kamiński bardzo starannie. Przywiózł z sobą cały zespół aktorski, na czoło którego wybijali się: Antoni Benza, znakomity odtwórca ról bohaterskich i tragicznych; jego żona Józefa – wówczas jeszcze specjalizująca się w rolach subrettek; Apolonia Kamińska – pierwsza tragiczka sceny lwowskiej i żona jej dyrektora; Tekla Kostrzewska – obsadzana w tym czasie w rolach naiwnych i komediowych; Jan Nepomucen Nowakowski – aktor o wybitnym talencie charakterystycznym; Aniela Rutkowska – pierwsza amantka; Anna Salowa – której powierzano role komiczne i charakterystyczne; Witalis Smochowski – występujący jeszcze wówczas pod pseudonimem Mieczysława Sosnowskiego i specjalizujący się w odtwarzaniu czarnych charakterów i intrygantów; wreszcie Szczęsny Starzewski – grający podówczas w lekkim repertuarze komediowym. Oprócz

aktorów w krakowskiej podróży towarzyszył Kamińskiemu również dyrygent lwowskiej orkiestry teatralnej, utalentowany kapelmistrz i skrzypek – Stanisław Serwaczyński, który okazał się także świetnym pedagogiem w pracy z członkami krakowskiej orkiestry teatralnej, doprowadzając ją – poprzez liczne próby i ćwiczenia – do nieznannej przedtem doskonałości. Przywiózł wreszcie Kamiński z sobą do Krakowa również bogaty zestaw własnych dekoracji i kostiumów.

Na gościnne występy przygotował oczywiście starannie dobrany repertuar, który swą różnorodnością mógł zaspokoić nie tylko wybitną publiczność, ale także i bywalców przysłowiowej galerii; usiłował więc zaspokoić *potrzeby zarówno dobrego smaku, jak i zapewnić sobie dochody* przez wystawianie w Krakowie utworów „kasowych”, choć mniejszej (lub zupełnie małej) wartości artystycznej – nie odstępując w tym zresztą od lwowskich tradycji. Dla ogółu zaś widzów przygotował liczne pozycje operowe, które w Krakowie mogły liczyć na szczególne powodzenie, gdyż niejednokrotnie skarżono się na brak ich w dotychczasowym repertuarze miejscowego teatru.

Długa i uciążliwa, z górą tydzień trwająca podróż zespołu (brykami i furmankami) ze Lwowa do Krakowa przypomniawszy Kamińskiemu dawne jego wędrowki, kiedy to „rzemiennym dyszlem” przemierzał za młodu ukraińskie szlaki. Tym razem jechał do krainy, która – obok Królestwa Polskiego – uważana była w oczach współczesnych za ostatni skrawek wolnego kraju, gdzie rozbrzmiewała nieskrępowanie mowa polska, gdzie działały szkoły polskie i polski uniwersytet. Czy jechał tylko z nadzieją na poratowanie nadszarpniętego budżetu? Czy wobec trudności napotykanych ostatnio we Lwowie nie myślał o nowym – na stałe – terenie swojej artystycznej działalności?

## II

9 sierpnia 1820 roku aktorzy byli już w Krakowie i zawiadomiali mieszkańców miasta o swym przybyciu oddzielnym ogłoszeniem prasowym. Po kilkudniowych przygotowaniach i próbach – 13 sierpnia – rozpoczęli występy przedstawieniem komedii Goldoniego *Zona jakich mało*. Odtąd przez blisko dziesięć tygodni (aż do 25 października) lwowianie wystawili trzydzieści cztery

Dawny kościół Franciszkanów, zamieniony na Teatr po kasacji zakonu po I rozbiore (zburzony w 1848 r.) przy ul. Teatralnej (potem Rutowskiego). To stąd wyjechał J.N. Kamiński ze swym zespołem na gościnne występy do Krakowa w 1820 r.



*sypać Kopiec Bohaterowi  
spod Raclawic.*

Burzliwe oklaski, wywoływania poszczególnych aktorów i całego grona wykonawców z reguły kończyły każde widowisko. Entuzjazmowi publiczności towarzyszyły pochlebne oceny recenzentów. Powszechnie domagano się przedłużenia występów Kamińskiego w Wolnym Mieście, na co Kluszewski – mimo nacisku sfer rządowych – nie zgodził się,

utwory, w tym trzynaście komedii (m.in. Żółkowskiego, Etienne'a, Kotzebuego i Duvala), osiem oper (m.in. Boieldieua *Jan z Paryża*, Elsnera *Wiśliczanki* oraz Kurpińskiego *Łaska imperatora* i *Zamek na Czorsztynie*), pięć dramatów, cztery komediooper, dwie tragedie (*Ludgarda* Kropińskiego i *Cyd* Corneille'a) oraz jedną scenę liryczną (Majeranowskiego *Pierwsza miłość Kościuszki*), którą połączono z żywymi obrazami, zaczerpniętymi z życia Naczelnika.

Publiczność przyjmowała aktorów entuzjastycznie, na każdym przedstawieniu widownia była pełna. Rekord jednak powodzenia pobiły *Wiśliczanki*; mimo podwyższonej ceny biletów, tak na premierze jak i kolejnych trzech powtórzeniach opery sala nabita była po brzegi, ławki trzeszczały na paradyzie i galerii, a parter był tak przepelniony, iż obawiano się, czy stropy nie runą pod nadmiarem obciążenia.

Warto zwrócić uwagę na fakt, że gościnne występy Kamińskiego w Krakowie zbiegły się w czasie z inauguracją wznoszenia „mogiły” Tadeusza Kościuszki. Właśnie z tej okazji, 16 października, wystawiono ową „scenę liryczną” i żywe obrazy, również przy ogromnym natłoku widzów, którzy ścignęli licznie do miasta także spoza granic Rzeczypospolitej Krakowskiej, z Galicji, a także z pogranicznych terenów Królestwa Polskiego. Przypadła więc wizyta Kamińskiego na okres szczególnego nasilenia uczuć patriotycznych. Wprawdzie nie ma na to dowodów źródłowych, ale wydaje się pewne, że aktorzy lwowscy – razem z rzeszami krakowian i obcych przybyszów – ciągnęli z taczkami ziemi na wzgórze św. Bronisławy

choć w lwowskim teatrze nieźle zarabiał, trzecia bowiem część dochodów z gościnnych przedstawień zasilala jego prywatną kieszeń; był przecież właścicielem gmachu teatralnego i posiadał przywilej wyłączności w dawaniu przedstawień.

Upór Kluszewskiego był jednak uzasadniony. Odkąd luminarze krakowskiej literatury i nauki, Paweł Czaykowski i Jerzy Samuel Bandtkie – być może z upoważnienia Senatu Wolnego Miasta – podjęli z Kamińskim rozmowy o objęcie dyrekcji teatru w Krakowie, lwowski antreprenier urósł nagle do roli niebezpiecznego rywala. I chociaż przetargi te skończyły się niczym, dla starosty brzegowskiego stały się one ostrzeżeniem na przyszłość, tym bardziej groźnym, że znowu pojawiły się głosy o potrzebie budowy rządowego gmachu teatralnego, co pozwoliłoby władzom na pełne uniezależnienie się od Kluszewskiego.

Lwowianie opuścili więc Kraków i już 10 listopada wznowili działalność u siebie. Epizod krakowski należał do przeszłości. Kamińskiemu przyniósł on poważny zysk materialny, zwrócił pełne koszty wyprawy, w trudnym okresie zezwolił na utrzymanie rodziny i zespołu, przysporzył nawet sporo czystego dochodu. Korzyści były jednak obustronne, dla Krakowa nawet nieporównanie większe; pozostawili tu bowiem lwowianie po sobie jak najlepszą pamięć, a także potrafili rozbudzić w miejscowej publiczności chęć oglądania w przyszłości – u siebie, na „miejscowym teatrze” – również dobrze zrealizowanych przedstawień.

Dość należy, że Kamiński dwukrotnie jeszcze odwiedził ze swym zespołem Rzec-

pospolitą, zawsze witany z wielkim entuzjazmem; raz w roku 1824, kiedy starosta brzegowski – znalazłszy się w krytycznej sytuacji personalnej i finansowej – chciał, przy pomocy lwowskiej trupy salwować resztki swojego autorytetu wobec władz i publiczności; po raz drugi natomiast w roku 1829, gdy Kraków miał stać się dla lwowian tylko etapem przydrożnym w dalekiej wędrówce do Poznania, do którego zresztą ostatecznie zespół nie dotarł. I chociaż w roku 1824 Kamiński przedstawił krakowskiej publiczności daleko bardziej wartościowy repertuar z dziełami Schillera (*Dziewica Orleańska*, *Maria Stuart*) i Calderona (*Otwarta tajemnica*), a nade wszystko z komediami Aleksandra Fredry (*Cudzoziemczynna*, *Nowy Don Kiszot*); chociaż w roku 1829 wystawił *Zbójców* Schillera i *Króla Leara* Szekspira (w przeróbce Ducisa) – to jednak pierwsze występy Kamińskiego w Krakowie uznać trzeba za najważniejsze. W życiu teatralnym Krakowa stały się one bowiem wydarzeniem, które wzmogło i ugruntowało – jawną już teraz – niechęć krakowskich widzów i władz do Kluszewskiego. Zanosilo się wręcz na bojkot teatru, do którego publiczność *słowo sobie dała nie chodzić* i słowa tego dotrzymywała przez kilka następnych miesięcy, narażając Kluszewskiego na poważne straty finansowe.

W ślad za tym poszły rychło postanowienia władz Rzeczypospolitej Krakowskiej, które w grudniu 1820 roku postanowiły wystąpić na drogę sądową o wcześniejsze rozwiązanie dziesięcioletniego kontraktu ze starostą brzegowskim.

Sytuacja stała się więc wyjątkowo groźna i jedynym sposobem na odwrócenie niebezpieczeństwa mogło być wzmoczenie trojski o teatr, podniesienie ogólnego poziomu przedstawień, zdobycie widzów właściwie dobranym repertuarem i dobrym wykonawstwem, przekonanie wreszcie czynników rządowych o tym, że możliwości antreprenera nie wyczerpały się i że stać go jeszcze na próbę odnowienia życia teatralnego w Wolnym Mieście.

Do realizacji tych zadań przystąpił Kluszewski w sezonie 1820/1821 wspólnie z nowym „dyrektorem” krakowskiej sceny, Kazimierzem Skibińskim i jego wileńskim zespołem aktorów.

Magazyn Kulturalny (Kraków) 4/1975

**Aleksander Świstun\***

## WSPOMNIENIA PODOLSKIE (4)

### *Moje prywatne sprawy*

Babka z Żerebek miała ośmioro dzieci, cztery córki, w tym moją matkę i tyleż synów, a wśród nich dwóch moich ukochanych wujów – Włodzimierza i Bolesława. Wuj Włodzimierz wysoki, bardzo przystojny brunet, atletycznie zbudowany mężczyzna, służył we Wiedniu, w arystokratycznym pułku białych dragonów<sup>1</sup>. Oficerowie tego pułku byli odkomenderowani na bale dworskie, cesarskie, gdzie stali pod ścianą, a różne młodsze i starsze arcyksiężniczki posyłały swoich adiutantów do wskazanych przez siebie delikwentów i kazały sobie prosić do tańca. Taka hiszpańska etykieta obowiązywała na dworze Habsburgów. Wuj wychowany na wsi, od dziecka świetnie jeździł konno, był nauczycielem jazdy w wiedeńskim instytucie konnej jazdy „Reitlehreinstitut”. Absolwenci tej uczelni rozjeżdżali się po całej Austrii i jako nauczyciele byli zatrudniani. Widziałem go nieraz jeżdżącego konno. Z surowego konia po godzinie musztry robił konia na pokaz. Wuj kupował sobie konie, jednak konie miał średnie, skromne środki nie pozwalały mu na zakup bardzo drogiego.

Brat stryjeczny Włodzimierza – Władysław Fedorowicz jedynak, syn Adriana z Okna, magnat, mieszkał w pałacu i miał 10 tys. morgów ziemi oraz 4 tys. lasów, dał w prezencie Władysławowi wspaniałego konia, kupionego za niestychaną, jak na owe czasy, cenę 4 tys. guldenów, tj. 2 tys. dolarów, aby ród Fedorowiczów mógł godnie reprezentować. Władysław Fedorowicz należał do Austriackiej Izby Panów<sup>2</sup>, gdzie należeli świetnie prezentujący się, wybierani przez cesarza, przedstawiciele najwyższej arystokracji. Podarowany koń był rzeczywiście wspaniały, na wyścigach bywał pierwszy, na przeszkodzie też pierwszy, a w ogóle cud! Pewnego razu, na polowanie wyjechał Cesarz Franciszek Józef (1830–1916), na wspaniałym, specjalnie ujeżdżonym koniu. Do cesarskiej asysty wybrano 10-ciu naj-

Wspomnienie

lepszych na koniach oficerów, w tym wuja Włodzimierza. Cesarz jechał na przedzie, a za nim w odległości 10-ciu metrów oficerowie i pod żadnym warunkiem nie wolno było wyprzedzić Cesarza. Raptem wyskoczył lis, Cesarz wspiął konia i ruszył galopem za nim. Wówczas wuj poczuł, że koń jego zaczyna ponosić i mimo swej atletycznej siły nie jest w stanie zatrzymać go. Dopełdził Cesarza, który oglądając się zdziwiony, co to za śmiełek tak blisko jedzie, ale zorientował się w sytuacji i wolno zatrzymał swego konia, a koń wuja leci dalej i dalej aż w pełnym galopie wpadł na podwórze koszarowe na przedmieściu Wiednia. Zatrzymał się dopiero w stajni przed żłobem i kiedy zmęczony zszedł z konia, nadjechał Cesarz ze świtą. Wszedł do stajni, poklepał konia i z miną znawcy powiedział „Dumkolter” (koń, który dostaje szału i jest nie do powstrzymania). Wszystko skończyło się dobrze, bez raportu karnego, a wieczorem na balu wuj był rozchwytywany przez różne arcyksiężniczki i musiał mniej lub bardziej udane odrośla rodu Habsburgów obtańcowywać. Temu nauczycielowi konnej jazdy też przytrafił się przykry wypadek. Wuj w 1910 roku przeniesiony został do Lwowa jako rotmistrz ułanów. I kiedy wracał z niedzielnego spaceru do domu, w centrum miasta, pod hotelem George’a, koń przestraszył się chmary wróbli, która raptem frunęła z pod kopyt. Koń skoczył w jedną stronę, a wuj zwałił się w drugą, wprost do kałuży. Publikę zaśmiewała się, ale flegmatyk wuj, wstał poklepał konia po szyi, podał mu wyciągnięte z kieszeni kostki cukru i przy oklaskach widzów wsiadł na konia i odjechał dalej. Świadkowie tego zdarzenia spodziewali się, że wuj ze złością będzie ćwiczył konia, a nie takiego dżentelmeństwa. W 1939 roku wuj zginął tragicznie na Łyczakowskiej we Lwowie. Zaczepili go Rosjanie, wuj zaczął się z nimi szarpać, ale było ich kilku, obrabowali i pobili go tak dotkliwie, że po paru dniach w szpitalu zmarł.

Drugi wuj – Bolesław, był zupełnie innym typem człowieka. Kiedyś, gdy miał 7 lat przypatrywał się w Żerebkach jak chłopcy robili zapasy lodu na lato. Do głębokiej jamy, wykopanej w cieniu drzew, korytem zsuwano duże bryły lodu, a po napełnieniu jej, przykrywano grubą warstwą słomy. W ten sposób lód trzymał się całe lato. Jesienią jamę

czyszczono, wyścielano gałęziami i w ziemie wkładano nowy lód. Obaj wujowie Bolesław i Włodzimierz przyglądali się jak to się odbywa. Ich domowym nauczycielem był Ignacy Daszyński<sup>3</sup>, wówczas biedny student prawa lwowskiego uniwersytetu. Ignacy Daszyński, aby lepiej widzieć wszedł do koryta i zaglądał do środka lodowni. Wtedy Bolek i Włodzio chwycili bryłę lodu i spuścili po pochylni koryta. Bryła podcięta nogi nauczycielowi i była szalona frajda. Gdy dziadek dowiedział się o tym zdarzeniu, sprzął ich obu, a panu Daszyńskiemu kupił nowe spodnie. Wuj Bolesław po latach pokazywał mi ten długi cybuch, którym dostał lanie. Cybuch ten ustawiony na specjalnym steżaku, wraz z ukochaną własnej roboty laską i obok starej strzelby jednorurki nabijanej od góry, dla tradycji po śmierci dziadka, stał na honorowym miejscu. Strzelby tej nikt wcześniej nie ruszał, bo nie wiadano, czy w środku jest nabój z prochem czy nie. Była ona marzeniem każdego z nas – małych chłopców. Kiedyś jeden z kochanych wnuczków chwycił strzelbę i straszył nią babcię, na co ona powiedziała, aby nie mierzył do niej, ale by strzelał sobie do pieca. Posłuszny wnuczek skierował długą jednorurkę w kierunku pieca, pociągnął za cyngiel, huknął strzał i piec rozleciał się na drobne kawałki. Babka zemdląła, wnuczek pchnięty siłą odrzutu upadł, a jednorurka z tryumfem dymiła po ostatnim swoim wystrzale.

W 1900 roku, kiedy miałem siedem lat, do Tarnopola przyjechał wuj Bolesław i kazał mi zwolnić się ze szkoły i jechać z nim do Żerebek. Poszedłem do dyrektora, pana Michałowskiego<sup>4</sup> – dziadka prof. Kazimierza Michałowskiego<sup>5</sup>, sławnego archeologa z Warszawy i powiedziałem: „Wujcio Bolcio kazał mi zwolnić się i jechać do Żerebek”, a na to dyrektor „Aaaa – jak wujcio mówi, to trzeba słuchać wujcia, więc jedź”. Przygotowania do wyjazdu trwały krótko i po obiedzie wyjechaliśmy. Parą gniadych koni, zaprzężonych w porządne półsorki (rodzaj uprząży skórzanej lub parcianej) ciągnęły lekkie żółte wózek i szybko miniliśmy Smykowce i za Borkami Wielkimi wjechaliśmy w gęsty las. Podolska gleba rozmiękła po wiosennych deszczach i pod górką w lesie konie znarowiły się i mimo razów batogiem, aż do złamania biczyzka, konie nie chciały ruszyć dalej. Wuj wpadł w pasję i zawołał: „Michał,



dawaj słomę”. Michał zeskoczył z wozu, zerwał snopek suchych traw i czeka. Wtedy wuj polecił podłożyć koniowi pod brzuch słomę, podpalić i szybko wskoczyć na wóz. Michał spełnił rozkaz wuja. Do dziś widzę wpiers ten żółty dymek, potem płomyk coraz większy i większy, poczuliśmy swąd spalonej sierści, koń przysiadł i wierzgnął, ale gdy go dobrze przypiekło skoczył, porwał wózek jak piórko i galopem nie tylko wjechaliśmy na górę, ale i dalej, na równej drodze długo wuj mocował się zanim zatrzymał rozhukane konie. Później, gdy tylko koń chciał znarowić się, wystarczyło wiecheć słomy położyć pod brzuch, a koń ze strachu ruszał jak szalony. Wieczorem dojechaliśmy do Żerebek. Wtedy gospodarował tam wuj Bolesław z babcią. Była

jeszcze w domu najmłodsza ciocia Julia, więc ja opływałem we wszystko, bo byłem „hercpinkiel” babci. Stary służący Feliks zawsze rano dawał mi śniadanie, pyszną kawę i domowe bułki, a też spełniał moje chłopięce

życzenia – sznurek, gwoździe, czy nożyk. Było mi tam bardzo dobrze, a chcąc jeszcze sprowadzić tam siostrę Mimę, napisałem kartkę: „Kochana Mimo, przyjeźdź koniecznie, babcia ma małe dziecko” i pomimo tak frapującej wiadomości dopiero za miesiąc, na Wielkanoc zobaczyłem się z rodzeństwem.

Wiosna była ciepła i piękna, po wielkanocnym śniadaniu całe liczne towarzystwo wyszło na ganek, a brat babci – dziadek Kazimierz Stopczyński, będąc „pod dobrą datą”, poszedł na wprost przez gazon do oficyn, gdzie w gościnnych pokojach spali mężczyźni. Po drodze idąc zygzakiem potknął się i upadł. Ciocia Julia podbiegła chcąc swego wuja podnieść, ale dziadek Stopczyński ważył 130 kilogramów, więc 18-letnia Julia na darmo szarpała i próbowała go podnieść, pomimo uwag dziadka: „Nie podnoś mnie, nie natężaj się dziecko, ja jestem ciężki”. Ale uparta ciocia nadal szarpała. Skutek tej szar-

paniny był do przewidzenia. Po świątecznym obżarstwie i piciu coś bardzo głośnego „wypsnęło się” dziadkowi, który swoim basowym głosem powiedział: „Mówiłem ci dziecko, nie natężaj się, a nie chciałaś słuchać”. Ma się rozumieć całe towarzystwo w śmiech, a ciocia z okrzykiem: „To nie ja, to nie ja” uciekła zapłakana do swego pokoju.

Tego samego dnia, w pierwszy dzień Wielkanocy, przy wtórze dzwonów kościelnych, cichaczem porwałem flobert wuja, nabiliśmy kulą i z ganku do wróbla strzeliłem. Wróbel jak gruszka spadł z drzewa, a ja poleciałem do babci z tryumfem i zamiast spodziewanego zachwytu, babcia powiedziała: „Fe, przecież ten wróbelek także chciał żyć”. Zrobiło mi się żal, więc wykopaliśmy

z siostrą piękną mogiłkę i uroczyste, w obecności księdza, którym był nasz brat, pochowaliśmy wróbelka.

Mój dziadek – Alojzy i Wiśki dziadek – Antoni mieli też brata Jana<sup>e</sup>. Jan Fedorowicz był właścicielem majątku w Oknie



koło Grzymałowa miał dwóch synów Kazimierza i Tadeusza, którym zostawił ogromny majątek. Starszy, Tadeusz, mieszkał w Klebanówce 10 km od Podwołoczysk<sup>7</sup>. Był świetnym gospodarzem. Natomiast Kaziuńcio był jednym z tych kawalerów, którzy posiadali szlachecką fantazję. U siebie w Szlachcicach koło Tarnopola, powystrzelał wszystkie koty, bo jak twierdził, lubił wiosną słuchać śpiewu słowików. Poza tym, dzielnie poprawiał rasę miejscową, a kochał się i to nie tylko kochał w swej bratowej, hrabiance z domu Pankratiew. Kochany Kazio był niezwykle przystojny, konno jeździł jak nikt, pięknie śpiewał, a na balach był wspaniałym aranżerem. Jedną figurę w mazurze zaaranżował: „Panowie czwórka na koniach!” I czterech panów pod wodzą Kazia konno wjechało na pierwsze piętro hotelu Puntscheta, a potem każdy pił szampana z pantofelka swej tancerki. Panny szalały za Kaziem, a Kazio nurzał się w szaleństwach

młodości. Ale raz brat Tadeusz przyłapał go ze swoją żoną na gorącym uczynku. Odbyła się krótka rozmowa, a że Kazio swój majątek stracił, więc dostał coś na drogę i pojechał do Australii. Tadeusz ze względu na dzieci nie rozwiódł się z wiarołomną żoną. Mieszkali nadal pod jednym dachem, a sam z tym większym zapałem pracował. Był jednym z najlepszych gospodarzy. Dokupił dwa majątki. Stawiał piękne budynki, zbudował gorzelnię. A też był wzorem uczciwości i pracowitości.

Po kilku latach powrócił z Australii odmieniony Kazio, z obietnicą, że już nigdy więcej nie będzie widywać się z bratową. Osiadł we Lwowie, gdzie zaczął pracować jako inspektor hodowlany w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim. Napisał książkę – *42 dni okrętem z Australii do Europy*. Pensię miał dobrą, a że stary nie był, więc i fantazja powoli wróciła. Żyła we Lwowie pani Stefania tertio voto Górską, która gdy pochowała trzeciego męża została jeszcze młoda, ponnętną i bardzo bogatą wdówką. Nigdy nie była ładną, ale miała w sobie coś pikantnego. Można się o tym przekonać oglądając portret stryjenki Tefuni namalowany przez Witolda Pruszkowskiego. Portret ten eksponowany jest w krakowskim muzeum z napisem „Portret pani F”. Wkrótce Tefunia została panią Fedorowiczową i przyniosła Kaziowi w posagu kilka kamienic we Lwowie (na Chorążczyźnie, boczna ulicy Akademickiej), ładną gotówkę w banku oraz jeszcze ładniejszą biżuterię, a zwłaszcza parę butonów (kolczyki) niewidzianej przeze mnie wielkości i blasku. Były to brylanty o średnicy 1-go centymetra każdy o wspaniałym niebieskim odcieniu. Pewnego razu, gdy wujostwo przechodzili ulicą w Karlsbadzie<sup>8</sup>, jakiś opryszek nagłym ruchem wyrwał z ucha jeden kolczyk i zaczął uciekać, ale wujek Kazio złapał złodzieja, dał mu porządne lanie i oddał w ręce policji. Uszko Tefuni zarosło, ale kolczyki nosiła już tylko od święta i nigdy na ulicy. Mieszkali przy ulicy Chorążczyzny w swojej kamienicy, gdzie mieli 5 pokoi: jadalny, salon, salonik Tefuni, sypialnię i gabinet wuja. Każdego roku tapicer wyklekał podłogi nowym zielonym sukniem, drapował firany, portierey itd. Malarze malowali ściany, a potem zawieszało się ogromne obrazy jej kuzyna Witolda Pruszkowskiego: „Wiosna”, „Pochód na Sybir”, „Spadająca gwiaz-

da”, „Portret psa” oraz wiele innych. Płótna te po śmierci wujostwa oddane zostały do muzeum we Lwowie. Z wyjątkiem portretu wujenki Tefuni, gdzie są teraz pozostałe obrazy – nie wiem.

U wujostwa, co jakiś czas były urządzone przyjęcia, a ich nieodmienny porządek był taki: co najmniej dwa dni wcześniej przychodził lokaj Michał z biletem zapraszającym na sobotę. Szło się o piątą, oczywiście w gali. Michał zdejmował palta i otwierał drzwi do salonu. Tam bawiono się rozmową. Wiśka obowiązkowo musiała coś zagrać na wspaniałym Steinway'u, a ja śpiewać. Po komplementach, że mam bardzo dobry głos, że powinienem uczyć się i zostać śpiewakiem, Michał otwierał drzwi do jadalni z sakramentalnym „Podano do stołu”, a tu kawa z czekoladą, domowe bułeczki, wspaniały tort. Potem szło się do pokoju wuja i zasiadało się do labeta. Zawsze staraliśmy się, aby wuj wygrał choćby jednego czy dwa złote, bo gdy przegrywał to tracił humor. Natomiast, gdy wygrał, to w swoim gabinecie, na stojąco częstował cytrynowką sprzed dwudziestu czy trzydziestu lat. Musieliśmy też zachwycać się kotką, a wujenka zawsze mówiła nam, że małych kociaków nikomu nie oddała, ale nam da. Wymówić się nie było można, więc wracaliśmy do domu z kotkiem. Po jakimś czasie kotek gdzieś zniknął, a my byliśmy wolni. I znów kolejna wizyta, labet, zachwyty, stwierdzenie, że nikomu nie da, ale nam da i wracaliśmy do domu z nowym kotkiem. Jednak wszystko ma swój kres. Kiedy Tefunia szła do kuchni zadysponować obiad, upadła na progu i zanim kucharka ją podniosła, ona już nie żyła. Po 3-ach miesiącach zmarł też wuj, na jakież zapalenie i tak miły dom przestał istnieć. Cały majątek odziedziczył syn – Sasza Fedorowicz.

Podole to piękny kraj, który mimo wielkiego ogólnego zacofania ludności, swoim pięknem przyciągał i przyciągał w swoje stepy, różnych rozbitków w tym też powstańców z 1831 i 1863 roku, uciekinierów politycznych z carskiej Rosji i wszystkich innych, którzy chcieli ukryć swoją polityczną czy narodową tożsamość. Jednym z takich był Piotr Dulski uczestnik powstania z 1831 roku. Miał majątki w Królestwie<sup>9</sup>, ale musiał uciekać z Rosji i tu w Małopolsce, był zarządcą majątku, potem siedział na małej dzierżawce, gdzie obsługiwała mu stara gosposia.

Był kawalerem i dżentelmenem w każdym calu, świetnie tańczył, strzelał, pił, a przy tym był bardzo gościnnie, to też na spotkaniach u pana Dulskiego nie jedna butelczyna pękła, a zabawiano się za zwyczaj przez kilka dni z rzędu. Do wszystkich nowobogackich, którzy posługiwali się językiem francuskim, gdyż po polsku było nieelegancko, wysyłał wizytówki z napisem „Pierre Dulski”, a kiedy po nagłej chorobie zmarł, gosposia dała znać sąsiadom i w dzień pogrzebu cała okolica zjechała się, aby oddać ostatnią cześć zmarłemu. Goście hucznie zabawiali się w jadalnym pokoju, a w salonie na katafalku wśród zapalonych świeczek leżał pan Dulski. Dla pewności, aby się coś nie zapaliło, przy zwłokach siedziało czterech chłopów, którym aby przez cały czas czuwali, dano pieniądze i karty do gry. Jednak w nocy pan Dulski obudził się, bo okazało się, że był w letargu. Szybko zorientował się, co stało się, zlął cichutko z katafalku, czego rozgorączkowani grą chłopci nie zauważyli, stanął nad nimi i zapytał: „Komu szczęście sprzyja?” Wystraszeni chłopci przez okno wyskoczyli, a on otworzył drzwi do jadalni i stanął. Stojący we drzwiach umrzyk we fraku, zrobił niesamowite wrażenie i wtedy stypa zmieniła się w bal. Tańczono i pito trzy dni! Po latach Piotr Dulski umarł naprawdę, ale nie uwierzono mu – mówiono, że teraz też udaje. Takich wygnańców jak pan Dulski wielu było na Podolu. Wżyli się w społeczeństwo i w drugim, czy trzecim pokoleniu zapomniano gdzie są ich rodzinne strony.

Ale nie zawsze ta wieś była wesołą, zieloną oazą na Podolskim stepie. Szczególnie zimą, gdy śniegi zakryły miedze i drogi zasypały, inaczej kochane Podole wyglądało. Nikt z domu nie wyjeżdżał na noc, bo błędzenie po stepach, przy mrozie i wichurze nie było bezpieczne i nie należało do przyjemności. Każdego roku ktoś gdzieś zamarał wraz z końmi na śmierć. Już lekki wiaterek powodował ruch cząsteczek śniegu, który sunął i natychmiast zasypywał wszelki ślad. Nawet w księżycową noc nie można było swoim śladem wrócić, a jedyną biel śnieżnej pokrywy łudziła, nużyła i dezorientowała każdego. Czasem widoczny gdzieś daleko wielki czarny przedmiot okazywał się małą grudką ziemi wrzuconej przez kreta, a zeschły badył na miedzy wydawał się drzewem. Jeździło się wtedy małymi konikami,

bo duże, ciężkie zapadały się w śniegu po brzuchy. Małe konie miały jeszcze dodatkową przewagę, że jako tamtejsza rasa z natury swojej, głowy trzymały nisko i swoje ślady węchem, jak psy rozpoznawały. Trzeba było wtedy lejce puścić wolno, a te pocziwe stworzenia zawsze gdzieś do ludzi trafiły. W taką to porę do mojego dziadka w sobotę przyjechał ksiądz na wista. Grali do późna i około północy ksiądz pożegnał się i swoimi sańmi, małymi konikami odjechał. Przy pożegnaniu furman chciał wyciągnąć żdźbła słomy z sań i zaczął coś mamrotać pod nosem. Ksiądz zorientował się, że to jakieś zabobony i nie pozwolił na żadne czary, i do woźnicy powiedział „nie wstyd ci Iwanie, przecież wiesz duchowną osobę” i odjechali. Tymczasem dziadek rozebrał się, położył się do łóżka i przy świeczce czytał książkę, aż tu raptem słyszy dzwonki sań. Ktoś zajechał przed dom. Wyskakuje z łóżka, wybiega na ganek i patrzy, kto przyjechał? – Ksiądz, który przed pół godziną odjechał. „Panie marszałku, ten głupi Iwan zbłądził. Mamy 4 kilometry do domu, a on zbłądził, ale już jedziemy, dobranoc panie Marszałku”. I odjechali. Na dworze ciemna, grudniowa noc i gęste chmury na niebie. Dziadek wrócił do ciepłego pokoju, zgasił świece i zasnął. Po jakimś czasie znów zbudził go dźwięk „dżyń, dżyń”. Poznał, że to sanie księdza. Znów wychodzi na ganek, a wściekający się ksiądz mówi: „Taż to znów Żerebki, Marszałku proszę nie gniewać się, znów zbłądziliśmy. Ty głupi Iwanie, wyrzuć sobie te swoje trzy słomki, to może do domu trafimy”. Iwan z siedzenia wyciągnął, coś mamrotał pod nosem i z udobruchaną osobą duchowną, wywijając batem nad zmęczonymi konikami, odjechał. Jak się później okazało już bez przeszkód, dowiózł księdza do domu. Następnego dnia dziadek pojechał sprawdzić którędy to Iwan błądził z księdzem proboszczem. Okazało się, że koniki księdza kręciły się w kółko utartą w ciągu dnia drogą, którą parobcy wywozili nawóz na pole.

Innym razem, byłem już wtedy po maturze, mieliśmy polować w lasach pod Tarnopolem. Brat mój Włodzimierz, znany i zapalony myśliwy, był w tym czasie łowczym powiatu skałackiego. Brat miał przyjechać z Magdałówki swoimi końmi, a ja dojechałem z Tarnopola ze znajomymi. Czekamy i czekamy, aż w końcu doszliśmy do przekonania,

że on nie przyjedzie, więc pojechaliśmy do lasów bez niego. Po skończonym polowaniu, gdy już siedzieliśmy w salonie u gościnnych państwa Romanowskich i omawialiśmy szczegóły dnia, jakieś sanie zajeżdżają pod ganek. Przyjechał mój brat, który od 7-mej rano błądził po stepach do godziny 4-tej po południu! Na 12-tu kilometrowej przestrzeni, w gęstej mgłę po nocnej zadymce śniegowej. Ledwo żywe konie odstawiono do stajni, a my zostaliśmy na noc, bo strach było po nocy wracać. Takim potrafiło być nasze kochane Podole porą zimową, albo późną jesienią, gdy rozmokłe polne drogi niczym nie różniły się od pól zaoranych.

W styczniu 1907 roku, byłem wtedy w 4-tej gimnazjalnej, umarła moja babka z Żerebek. Pojechałem z rodzicami na pogrzeb. Zjazd był ogromny, samej rodziny było około 100 osób. Na cmentarzu grobowiec był już otwarty, więc podszedłem obejrzeć go z bliska. Składał się z dwóch pomieszczeń. W jednym pochowany był już dziadek Alojzy i przygotowane miejsce dla babci, a w drugim znajdował się grób księdza Fedorowicza i jeszcze kilka starszych grobów. Starzy ludzie nie pamiętali, kiedy i kto ten grobowiec postawił. Obok była stara drewniana cerkiewka uznana za zabytek. Nową murowaną cerkiew postawiono w innym miejscu jednak tak, że grobowiec Fedorowiczów był pod wielkim ołtarzem. Zobaczyłem rozsypane trumny, z niektórych tylko próchno zostało. Widziałem tam rozsypane kości, czaszki, a u jakiejś babki dobrze zachowane długie włosy i kawałek czarnej, jedwabnej sukni oraz podeszwy bucików. To moje pierwsze, naoczne zetknięcie się ze śmiercią i jej skutkami wywarło na mnie wielkie wrażenie. Przecież Oni kiedyś wszyscy żyli, bawili i smucili się, pracowali, chorowali i nic!... Tylko garstka prochu została po nich. Może nie byli wielkimi, sławnymi, ale z pewnością byli to uczciwi ludzie, a życiem swoim na miarę swoich możliwości kładli podwaliny bytu narodu. Przetrwali, zostawili swoje potomstwo, które jak miliony innych cicho rozsypie się w proch. A prawnuki i praprawnuki coś niecoś będą wiedzieć o nich, ale nie dużo, bo wszystko mija chciało by się dodać – jak sen!

*Materiał opracował i komentarzem opatrzył Henryk Kleinrok, tarnopolanin*

## Przypisy

- <sup>1</sup> rodzaj piechoty dokonującej przemarsze na koniach
- <sup>2</sup> Izba Wyższa w parlamencie Austrii od 1861–1918 r.
- <sup>3</sup> Ignacy Daszyński (1866–1936) pseud. Żegota, przywódca PPS, działacz II Międzynarodówki, wicepremier, marszałek sejmu, po przewrocie majowym w 1936 roku – przeciwnik Józefa Piłsudskiego
- <sup>4</sup> Emil Michałowski (1891–1919), dyrektor CK Seminarium Nauczycielskiego w Tarnopolu, poseł do Sejmu galicyjskiego, od 1915 roku – burmistrz Tarnopola
- <sup>5</sup> Kazimierz Michałowski (1901–1981), egiptolog, historyk sztuki, prof. UW, członek PAN, dr h.c. Uniwersytetu w Cambridge i Strasburgu, kierownik wielu ekspedycji archeologicznych w Azji i Afryce
- <sup>6</sup> Jan Fedorowicz jako uczeń Jezuitckiego Gimnazjum w Tarnopolu wraz z kilkoma kolegami, a było ich 18-tu, brał udział w Powstaniu Listopadowym w 1830/31. W 1848 roku za przynależność w latach 1838–41 do „tajnych związków” został aresztowany oraz umieszczony w austriackiej „Tabella Criminalis” z 1848 roku. W 1857 roku w znaczny sposób przyczynił się do wybudowania nowego szpitala w Tarnopolu
- <sup>7</sup> Podwołoczyska, dawniej nazywane Chlebanówka, tutaj 28 kwietnia 1831 roku generał Józef Dwernicki wraz ze swym korpusem – 712 oficerów i ponad 3,5 tys. żołnierzy, złożył broń przed austriackim generałem Fiodorem Rudigerem
- <sup>8</sup> Karłowe Wary – miasto w zachodnich Czechach, słynne zdrojowisko z gorącymi źródłami mineralnymi, osada założona przez Karola IV prawa miejskie w 1370 roku
- <sup>9</sup> Królestwo Kongresowe, Kongresówka 1815–1915, utworzona z ziem Księstwa Warszawskiego, po powstaniu listopadowym pod zaborem rosyjskim

## Podziękowanie

Składamy bardzo serdeczne wyrazy wdzięczności Pani Dorocie Komornickiej oraz Wydawcom **Wspomnień Sybiraków** – Kołu Związku Sybiraków w Bystrzycy Kłodzkiej – za ofiarowanie tego dwutomowego dzieła naszej Redakcji. Ten niezwykle wartościowy dokument omawiamy w niniejszym numerze CL.

Osobne podziękowanie należy się Pani Profesor dr Annie Komornickiej w Warszawie, która zwróciła uwagę na nasz Kwartalnik i stała się jego wierną Czytelniczką.

**Jolanta Flach**

# Lwowiacy w Zakopanem

## BEZTROSKE DZIECIŃSTWO WE LWOWIE

Zakopane to miasto, w którym po wojnie swe miejsce znalazło wielu lwowiaków. Do nich należy Kamila Brzeczka z domu Radziszewska. Lwów opuściła w 1939 roku jako piętnastoletnia dziewczyna i nigdy już do niego nie wróciła.

Pani Kamila urodziła się przy ulicy Badenich i tam mieszkała do wybuchu drugiej wojny światowej. We Lwowie zdążyła ukończyć szkołę powszechną. – *Chodziłam do szkoły Marii Magdaleny. Byłam dumna z tej szkoły, bo została odznaczona Krzyżem Virtuti Militari za obronę Lwowa* – opowiada. – *W tym czasie mój przyszły mąż uczęszczał na Politechnikę Lwowską i na pewno musieliśmy się w drodze mijać, ale poznaliśmy się dopiero tutaj. Gdyby ktoś mi powiedział, że kiedyś będę mieszkała w Zakopanem, to bym mu odpowiedziała, że jest durnowaty. Ta ja wolałam do Worochty jechać niż do Zakopanego* – podkreśla.

Kamila Brzeczka zapamiętała Lwów z czasów swojego dzieciństwa i wczesnej młodości. Do dzisiaj wspomina szkolne wycieczki do biblioteki i muzeum Dzieduszyckich. – *To mi zostało na całe życie* – twierdzi.

Ulica Badenich znajdowała się blisko katedry św. Jura, gdzie na placu przed kościołem odbywały się słynne jarmarki. – *Lubiłam tamtejsze odpusty, bo były dla mnie wielką atrakcją* – zapewnia moja rozmówczyni. – *Obchodzono wtedy jakieś ruskie święta. Była zabawa, grała muzyka. Pamiętam, że za pięć groszy można było nakupić dużo kolorowych pierników. Później w domu dostawałam lanie, bo buzię miałam czerwoną albo zieloną od lukru. Mama bała się, żebym się nie zatrula. Ale żyję do dziś* – żartuje.

Pani Kama, przeglądając album z lwowskimi fotografiami, przypomina sobie bez troskie dzieciństwo. Jak twierdzi, był to dla niej najpiękniejszy okres życia. Po wojnie spośród swoich koleżanek miała kontakt jedynie z Danutą Schiele, córką zakopiańskiego wytwórcy nart, która we Lwowie uczęszczała do szkoły. Teraz przebywa w Genewie.

Na wakacje Kamila Radziszewska wyjeżdżała do ciotki, która w Zaleszczykach prowadziła pensjonat, lub do Jaremcza na Huculszczyźnie. – *Bardzo miło wspominałam Huculów* – mówi. – *Ubierali się w piękne stroje. Do dzisiaj zapamiętałam kąpiel w Prucie i jazdę na konikach huculskich* – dodaje.

## ZA PAN BRAT

Lwów to miasto wielu kultur. Obok siebie mieszkali Polacy, Rusini, Żydzi. – *Kolegowałam się ze wszystkimi* – podkreśla. – *Kiedyś przyszła do mnie koleżanka Żydówka, abym dała jej do zjedzenia kotleta, bo była ciekawa, jak smakuje wieprzowina. Ja wtedy nie wiedziałam, że ich religia im tego zabrania. U nas w domu przez wiele lat służącą była Rusinka* – dodaje. Lwowianka twierdzi, że najlepsze wyroby nabiałowe produkowała ukraińska spółdzielnia mleczarska „Sojuz”. A najlepsze śledzie kupowało się w żydowskim sklepie u Szrajberki.

„Czy bogacz, czy diad tu są za pan brat” mówi jedna z lwowskich piosenek – z sentymentem wspomina pani Kama. – *W naszej kamienicy mieszkał rektor Uniwersytetu Lwowskiego, prof. Bulanda. Miał córkę, która uczyła się w Sacre Couer, najbardziej ekskluzywnej szkole, gdzie językiem wykładowym był francuski. A mój ojciec pracował jako urzędnik w dyrekcji kolei, więc w stosunku do pana rektora – zdawać by się mogło – był niczym. Nie robił jednak żadnych różnic, a z jego córką byliśmy dobrymi koleżankami, tak jak w piensence* – mówi.

## NA ŁYCZAKOWIE

W dzień Wszystkich Świętych mała Kama wraz z rodzicami chodziła na cmentarz Janowski, bo tam byli pochowani jej dziadkowie. Za to w Zaduszki cała rodzina Radziszewskich – a był to dzień wolny od nauki i pracy – odwiedzała groby na Łyczakowskim. – *Pamiętam jak w pewien Dzień Zaduszny lało jak z cebra, więc włożyłam kalosze* – przypomina sobie. – *Nie wiem, kiedy to się stało, ale jeden z kaloszy został w błocie na cmentarzu, a ja wróciłam do domu tylko w jednym bucie. Bardzo lubiłam chodzić na Cmentarz Łyczakowski, bo rodzice opowiadali mi o artystach, którzy rzeźbili nagrobki* – opowiada.

## NA RATUNEK

Po chwili śmieje się i mówi: – *A teraz opowiem, jak potrafi zachowywać się dziewczyn-*

ka z dobrego domu. Przed wojną we Lwowie było wielu hyclów. Pewnego razu taki rakarz zatrzymał się koło naszego domu i gonił z lassem jakiegoś psa. Tymczasem podbiegłam do wozu i zwolniłam wszystkie zwierzęta. Psy wybiegły z jazgotem, a ja w nogi, aby zdążyć schować się w bramie. Ile później usłyszałam przekleństw!

## UCIECZKI

Pani Kama wraca pamięcią do 1939 roku. Kiedy zaczęła się wojna, razem z ojcem – matka już wtedy nie żyła – przebywała w Zaleszczykach u ciotki. Przy sobie miała jedynie niewielką walizeczkę. –17 września do pensjonatu przyszedł jakiś pułkownik i oznajmił, że rano wkroczą bolszewicy – wspomina. – Nie mieliśmy przy sobie paszportów, a trzeba było uciekać. Nie wróciliśmy już nigdy do Lwowa. Choć ojciec urodził się w Czerniowcach i do tego czasu została tam babcia i wujek, to nie mogliśmy się u nich zatrzymać. Musieliśmy się udać do rdzennej Rumunii. Przez dwa lata chodziłam tam do gimnazjum i uczyłam się rumuńskiego – twierdzi. Później los rzucił ich do Francji, skąd ponownie wrócili do Rumunii. A kiedy i stamtąd trzeba było uciekać, zatrzymali się w Łupkowie, gdzie ojciec pani Kamili pracował w charakterze zawiadowcy stacji kolejowej. W 1944 roku Niemcy próbowali ich wywieźć, lecz udało im się zbiec z transportu i nieoczekiwanie znaleźli się na Słowacji, ale po wkroczeniu Niemców wrócili do Polski.

## DROGA DO ZAKOPANEGO

– Później zaczęłam pracować na kolei, musiałam zdać maturę i rozpocząć studia w Krakowie – pani Kamila opowiada dalsze swoje losy. – Przypadkowo natrafiłam na zdjęcie Danusi Schiele i napisałam do Zakopanego. Był to list pisany trochę na wariata, bez dokładnego adresu. Po jakimś czasie dostałam odpowiedź od jej matki z zaproszeniem do Zakopanego. Przyjęłam je, bo lubiłam chodzić po górach – wspomina. Po jakimś czasie pani Kamila przeniosła się z Krakowa do Zakopanego. Zaczęła pracować w PKL-u i zamieszkała w służbowym pokoiku. Później założyła rodzinę i w Zakopanem mieszka do dzisiaj.

Pani Kamili nie pozostały żadne pamiątki ze Lwowa. Fotografii matki dostała od wuja. Od 1939 roku nie widziała Lwowa. – Nie takie rzeczy się traci – stwierdza na koniec.

# Z Profesorem Stanisławem Grodziskim

rozmawia Janusz M. Paluch

*To nie pierwsze spotkanie z Panem prof. Grodziskim na naszych łamach. Po raz pierwszy prezentowaliśmy w CL artykuł Profesora pt. „Z lwem w herbie” przed piętnastu laty, w numerze 3/1996.*

Panie Profesorze, rozmawiamy kilkanaście dni przed wyborami do Sejmu i Senatu. Oczywiście nasza rozmowa będzie daleka od współczesnej polityki, ale bliska parlamentarystom, administrowaniu – wprawdzie nie państwem, bo Galicja nie posiadała pełnej autonomii w ramach c.k. Austro-Węgier – i, chyba można tak powiedzieć, powstawaniu zaczątków demokracji parlamentarnej. Oczywiście, mówiąc o genezie parlamentarysty polskiego, można sięgnąć w odległe dzieje Polski. My zaczniemy może od *Charta Leopoldina*, która na terenie zaboru austriackiego (jego dzieje opisał Pan, jakże interesująco, m.in. w swej książce *W Królestwie Galicji i Lodomerii*) chyba dała podstawy parlamentarysty?

Kiedy królowie węgierscy w XII i XIII wieku usiłowali przekroczyć Karpaty i zająć Księstwo Halickie, na trwałe im się to nie powiodło. Do swego tytułu włączyli jednak informację, iż są *Reges Galiciae et Lodomeriae*, czyli królowie Halicza i Włodzimierza. Do tego faktu nawiązali w XVIII wieku Habsburgowie, podkreślając, iż są spadkobiercami praw korony węgierskiej. Stąd teren ten został nazwany Galicją, ale choć nawiązywał do historii Węgier, włączony został nie do Węgier, lecz do Austrii. Galicja nie otrzymała wówczas żadnej autonomii i nawet jeśli utworzono tzw. sejm stanowy, to nie miał on żadnego charakteru władczego, lecz był tylko organem pomocniczym dla administracji terytorialnej. Jednakże gdy w 1790 roku zmarł cesarz Józef II i na tron wstąpił jego następca, cesarz Leopold II, grupa galicyjskich działaczy, wykorzystując tę sytuację, przygotowała projekt konstytucji dla Galicji. Był to ciekawy projekt, trochę zaczerpnięty

z pierwszych prac Sejmu Czteroletniego, z literatury francuskiej i niektórych reform józefińskich w Austrii. Był to na pewno jeden z najwcześniejszych projektów konstytucji w Europie, powstał bowiem jeszcze przed uchwaleniem w Rzeczypospolitej Konstytucji 3 Maja. Według autorów projektu, Galicja, co zbliżyłoby ją do Rzeczypospolitej, była by jedynym wyodrębnionym obszarem, posiadającym własną konstytucję, w ramach całej monarchii habsburskiej. Nie osiągnęła jednak *Charta Leopoldina* należnego jej znaczenia, gdyż już w 1792 roku zmarł cesarz Leopold II, a jego następca, Franciszek II był wrogiem reform i myślał o wzmocnieniu absolutyzmu. Tak więc to interesujące dzieło polityków polskich, schowane pod sukno, uległo zapomnieniu.

Aż do okresu Wiosny Ludów Galicja była prowincją zarządzaną w stylu absolutyzmu oświeconego, a od czasów ponapoleońskich – absolutyzmu policyjnego. Podlegała surowemu uciskowi i eksploatacji. Dopiero rewolucja 1848 roku i jej następstwa spowodowały, że Galicja stopniowo uzyskiwała autonomię, bardzo interesującą i wartościową. Wprawdzie wiele reform 1848 roku uległo likwidacji, ale kiedy w 1859 i 1860 roku Austria poniosła groźne klęski na terenie północnych Włoch i utraciła Lombardię, w Wiedniu groziła kolejna rewolucja. Młody jeszcze wówczas cesarz Franciszek Józef I wszedł na drogę konstytucyjną. Z udziałem polskiego polityka, hrabiego Agenora Gołuchowskiego (wcześniej namiestnika Galicji), wydany został tzw. *Dyplom Październikowy*, norma o charakterze konstytucyjnym, dotycząca władzy ustawodawczej. Władzy centralnej, cesarzowi i parlamentowi wiedeńskiemu, zastrzeżono sprawy ściśle wyliczone: polityki zagranicznej, stałych podatków, armii, floty. Wszystkie pozostałe sprawy przyznano sejmom krajo-



wym monarchii habsburskiej, takim jak czeski, węgierski, chorwacki czy galicyjski.

Koncepcja polityczna Gołuchowskiego polegała więc na tym, iż autonomia poszczególnych krajów, wchodzących w skład monarchii habsburskiej, będzie się rozrastała. Skoro bowiem do kompetencji lokalnych należało wszystko to, co nie zostało przypisane parlamentowi wiedeńskiemu, to wszystkie nowe zagadnienia, które wymagały interwencji ustawodawczej w związku z rozwojem prawa pracy, ubezpieczeń socjalnych, komunikacji, poczty czy wielu innych, przystawałyby sejmom krajowym, między innymi galicyjskiemu. Bez wydobycia broni autonomia rozwijałaby się w kierunku coraz pełniejszej suwerenności, i tylko korona cesarska łączyłaby te kraje z Wiedniem. Wybiegając myślą naprzód, można powiedzieć, że na takiej samej drodze dominia Imperium Brytyjskiego uzyskiwały w XX wieku suwerenność – i choć królowa Elżbieta II jest monarchinią Kanady czy Australii, nikomu nie przyszłoby do głowy kwestionowanie suwerenności tych państw. Oczywiście, politycy austriac-

cy w Wiedniu zdawali sobie sprawę z tego, iż koncepcja federacyjna Gołuchowskiego zmierzała do automatycznego ograniczenia władzy centralnej. Silna opozycja spowodowała, iż cesarz udzielił dymisji Gołuchowskiemu, a w 1861 r. wydany został nowy akt prawny, tzw. *Patent Ludowy*, który przyjął koncepcję całkowicie przeciwną: ściśle wyliczone zostały kompetencje sejmów krajowych, a wszystkie pozostałe przyznane zostały parlamentowi wiedeńskiemu. Tym samym zahamowano rozwój autonomii poszczególnych krajów, w tym Galicji. Mimo to podkreślić warto, iż Agenor Gołuchowski był jednym z ciekawszych polityków polskich XIX wieku i niestusznie został zapomniany.

Ten projekt przywodzi na myśl wspólną Europę, która ma ambicje poszerzenia kompetencji parlamentu centralnego, ograniczając z wolna kompetencje państw członkowskich. Może tego nie widać jeszcze wyraźnie, ale...

Na pewno tak, choć była to już koncepcja bliższa następcom Gołuchowskiemu. Jej też nie można odmówić znaczenia. Monarchia habsburska, na której terenie znajdowało – lepsze lub gorsze – warunki rozwoju blisko dwadzieścia rozmaitych narodowości, może i dziś służyć swymi doświadczeniami ustrojowymi Unii Europejskiej.

#### **Wróćmy jednak do sejmu galicyjskiego...**

Obradował on we Lwowie, i jego gmach przetrwał do dziś. Jest to gmach, który w 1918 roku został przejęty przez uniwersytet Jana Kazimierza. Sejm krajowy galicyjski, choć nie zyskał takiego znaczenia, jakie chciał mu zapewnić Gołuchowski, nie był tylko ornamentem politycznym, gdyż miał interesujące kompetencje. Należało doń tzw. ustawodawstwo krajowe, czyli stanowienie norm obowiązujących tylko w Galicji, nadzorował administrację, która szybko się polonizowała. Posiadał też pewne własne fundusze, wprawdzie skromne i zgodnie z ustawodawstwem austriackim przeznaczone na tzw. *Landeskultur* – kulturę krajową, pod którym to pojęciem pojmowano we Wiedniu kulturę rolną, leśną, hodowlaną i tym podobne dziedziny. Tymczasem we Lwowie sejm galicyjski poszerzył to pojęcie i zaczął się opiekować kulturą *sensu stricto*, nauką i sztuką. Wiele ze swych skromnych funduszy przeznaczał np. na remonty zabytków – Wawelu, ale też całego szeregu innych pomników sztuki, zwłaszcza sakralnej. Oczywiście na tym tle wybuchały ostre spory, czy nie za wiele pieniędzy przeznaczają się na remonty świątyń katolickich, pomijając w Galicji wschodniej świątynie greckokatolickie czy prawosławne. Były to pretensje ze strony środowisk ukraińskich, nie zawsze jednak uzasadnione – nie można powiedzieć, iż doceniano przede wszystkim zabytki położone w zachodniej Galicji, lub też nie doceniano kultury w zakresie literatury i sztuki. Wielu pisarzy i malarzy korzystało wówczas ze skromnych, ale jednak liczących się stypendiów sejmowych, na podstawie

których wyjeżdżało się na studia np. do Paryża czy Monachium.

**Czy można, w tym przypadku mówić, że Sejm Krajowy forował artystów pochodzenia polskiego? Wydaje mi się, iż artystów rusińskich było znacznie mniej i choć znaleźli swe zasłużone miejsce w historii literatury i sztuki ukraińskiej, to w tamtych czasach nie byli powszechnie znani i doceniani?**

Oczywiście mieli Rusini (tak wówczas powszechnie nazywano Ukraińców) tych nazwisk mniej, ale dla sejmu liczył się przede wszystkim dorobek artystyczny – choć i to nie było regułą. Na przykład odmówiono stypendium malarzowi Kazimierzowi Sichulskiemu, nie z powodu pochodzenia, ale dlatego, że rysował złośliwe karykatury. Decydował konserwatyzm, który przejawiał się nie tylko w polityce, ale i w sferze artystycznej. Oczywiście, w związku z tym uczniowie Jana Matejki mieli zielone światło!

#### **Jak wyglądała struktura galicyjskiego sejmu krajowego?**

To był bardzo dziwny sejm. Składał się z tzw. wirylistów, zasiadających w nim z racji piastowanych funkcji (arcybiskupi i biskupi trzech katolickich obrządków, rektorzy obydwu uniwersytetów, rektor Politechniki Lwowskiej i prezes Akademii Umiejętności), oraz z posłów pochodzących z wyborów. Były to wybory oparte na systemie kurialnym. Społeczeństwo podzielono na cztery grupy czyli kurie, a mianowicie: kurię wielkiej własności ziemskiej, kurię izb przemysłowo-handlowych, kurię większych miast i wreszcie kurię reszty gmin. Rozdział mandatów był nierówny: w pierwszej kurii, gdzie głosowała arystokracja i ziemiaństwo, wystarczyło pięćdziesiąt do osiemdziesięciu głosów, by wybrać posła, ale w czwartej, gdzie głosowali chłopi, trzeba już było około 8000 głosów. Istotą tego systemu maluje doskonale starcie pomiędzy posłem z kurii czwartej, socjalistą Ignacym Daszyńskim, a posłem z kurii pierwszej, hrabią Wojciechem Dzieduszyckim: *Hrabia Dzieduszycki wobec mnie nic nie reprezentuje, bo jego wybrało towarzystwo obiadowe kilkudziesięciu szlachciców, a mnie wybrało dwadzieścia tysięcy obywateli*. Podstawą systemu kurialnego była bowiem tak zwana zasada reprezentacji interesów: wiryliści re-



prezentowali interesy kościoła oraz nauki, zaś posłowie interesy ziemiaństwa, wielkiej burżuazji, inteligencji miejskiej, wreszcie drobnego mieszczaństwa i chłopów. System ten działał na niekorzyść mas chłopskich, drobnomieszczaństwa i proletariatu, a we wschodniej Galicji upośledzał Ukraińców. Nadto wszystkie sejmy krajowe wysyłały do Izby Posłów parlamentu wiedeńskiego swoich przedstawicieli. Czynił to i sejm galicyjski, którego przedstawiciele utworzyli we Wiedniu „Koło Polskie”. Stanowiło ono około 10% ogółu Izby Posłów parlamentu wiedeńskiego, ale było monolitem podporządkowanym swemu kierownictwu i to się liczyło w głosowaniach, gdy ta grupa jakąś sprawę popierała lub jakąś inną zwalczała. Miało to też takie znaczenie, iż z tą grupą polityków polskich poważnie się w Wiedniu liczone. Zawsze kilku z nich zasiadało w rządzie, zdarzało się nawet, iż Polacy bywali premierami rządu austriackiego.

**Taki wzorzec przydałby się naszym posłom we współczesnym Parlamencie europejskim...**

Nie ma najmniejszej wątpliwości, ale kóżby dziś z tych wzorów korzystał? Słowo jednak jeszcze dodam o wirylistach, zasiadających w sejmie z racji piastowanego urzędu. Byli wśród nich dwaj rektorzy uniwersytetów krakowskiego i lwowskiego, a od 1900 roku doszedł jeszcze rektor Politechniki Lwowskiej i prezes Akademii Umiejętności z Krakowa. Tymczasem Akademia Umiejętności, zatwierdzona przez cesarza Franciszka Józefa I w 1872 roku, składała się z członków krajowych, czyli uczonych, z terenu Galicji oraz członków pozakrajowych. Ci pozakrajowi mogli być Polakami z zaboru pruskiego czy rosyjskiego, ale także obcokrajowcami. Oczywiście trudno im było owo członkostwo uzyskać, bo na to musiał się zgodzić car rosyjski lub cesarz niemiecki, ale takie wypadki się zdarzały, i one powodowały, że akademia była reprezentacją całej polskiej nauki. I nagle, kiedy cesarz Franciszek Józef I zdecydował, że prezes Akademii będzie reprezentowany w sejmie galicyjskim, urzędnicy – niestety też i Polacy, nadmiernie lojalni wobec dworu austriackiego – zwrócili uwagę, że przecież może się zdarzyć, iż na walnym zebraniu AU prezesem zostanie wybrany

uczony spoza Galicji i zasiądzie w sejmie monarchii austro-węgierskiej. Cesarz odpowiedział spokojnie: nie szkodzi (dobrze wiedział, iż prezesem AU był wówczas hrabia profesor Stanisław Tarnowski, na pewno wobec Wiednia w pełni lojalny).

A *propos* zasiadania, przypomnę jedną z ówczesnych, anegdot. Wpływowym politykiem galicyjskim był wówczas Franciszek Smolka, wprawdzie przed Wiosną Ludów za swą działalność rewolucyjną skazany na karę śmierci, ale potem objęty amnestią. Obrany został posłem do parlamentu wiedeńskiego, w którym pełnił rozmaite poważne funkcje i nawet przez szereg lat zasiadał na fotelu prezydenta Izby Poselskiej. Franciszek Smolka, kiedy wypadła rocznica trzystulecia Unii Lubelskiej w 1869 roku i było wiadomo, że pod rosyjskim panowaniem jej uczczenie w Lublinie nie wchodziło w grę, zaproponował odbycie uroczystości we Lwowie. On też był inicjatorem usypiania kopca Unii Lubelskiej. Smolka był niski, chudy i miał ogromne wąsy. Kiedy w czasie przerw w pracy parlamentu wiedeńskiego przebywał we Lwowie, wówczas stawał do pracy fizycznej, wożąc taczkami ziemię na powstający powoli kopiec. Pewnego razu zatrzymał go przy tym austriacki oficer i zapytał: *Wy tu, dobry człowieku, pracujecie?* Smolka odstawił taczki i odparł: *Tak, ja tu pracuję.* Oficer pytał dalej: *A czym jesteście w cywilu?* Smolka odparł ze spokojem: *W cywilu jestem prezydentem Izby Poselskiej parlamentu wiedeńskiego.*

**Kto zatem mógł zostać posłem galicyjskiego sejmiku krajowego i w jaki sposób mógł zostać wybrany?**

Oczywiście, przed każdymi wyborami rozwijała się kampania wyborcza. Nie były to wybory powszechne, gdyż były ograniczone cenzusem majątkowym. Nie były równe (skoro w każdej kurii potrzebna była inna liczba głosów, by wybrać posła). Bezpośrednio były one tylko w trzech kuriach – w czwartej, gdzie głosowali chłopci, były to wybory pośrednie. Nie mogły być też tajne, skoro wielu wyborców było analfabetami. Kampania wyborcza zmierzała do tego, by w czwartej kurii chłopci wybierali ziemian lub ludzi z cenzusem wyższego wykształcenia; nie od razu i niełatwo było włościaninowi dotrzeć do poselskiego fotela.

W obrębie ugrupowań politycznych dominowali w Galicji konserwatyści, w zachodniej części kraju nazywani Stańczykami, we wschodniej – Podolakami. Ci ostatni dbali o to, by stan posiadania ziemiaństwa polskiego nie umniejszał się na rzecz Rusinów; z czasem dali oni początek ugrupowaniu narodowych demokratów czyli endeków. Wreszcie rozwijał się w Galicji ruch socjalistyczny oraz ruch ludowy. Z tych szeregów wyszli tacy politycy, jak socjalista – Ignacy Daszyński, czy ludowcy – Wincenty Witos, Jakub Bojko, Jan Stapiński. Zanim ci działacze pojawili się na scenie politycznej, jednym z filarów ruchu ludowego był ksiądz Stanisław Stojałowski, działacz nader zasłużony, ale pod koniec życia ewoluujący w kierunku rusofilstwa i antysemityzmu. Zdarzyło się raz, iż kiedy na sali sejmu galicyjskiego przemawiał ostro przeciw prawu propinacji, podkreślając, iż karczmę prowadzone głównie przez Żydów, rozpijają chłopów, przerwał swą mowę, spojrzął na salę i powiedział: *A pan poseł Loewenstein patrzy na mnie, jakby chciał mnie zjeść!* Na to poseł Loewenstein odpowiedział z uśmiechem: *Religia mi zabrania...*

Postacią niezwykle barwną i znaną nie tylko we Lwowie, ale i w Galicji oraz we Wiedniu, był hrabia Wojciech Dzieduszycki, konserwatysta, profesor uniwersytetu, historyk sztuki liczący się w nauce europejskiej. Słynął ze znakomitego dowcipu, nie zawsze jednak cenzuralnego. Znana jest historia, gdy do niego, jako posła, przybyła delegacja nauczycieli oraz nauczycielek, by za jego pośrednictwem rozpocząć starania o wzrost uposażenia pedagogów. Hrabia Dzieduszycki zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma żadnych szans na załatwienie podwyżek i dlatego chciał tę delegację odpowiednio splawić. Przyjął gości wieczorem i wyszedł do nich w pantoflach oraz długiej nocnej koszuli, mówiąc: *Przepraszam bardzo państwa, ale muszę udać się do pani hrabiny aby spełnić obowiązek małżeński!*

#### **Jak wyglądała ówczesna, ordynacja wyborcza?**

Ordynacja kurialna, która uzupełniała wydany w 1861 roku *Patent Lutowy*, nie spełniająca wymogu ani powszechności, ani równości, obowiązywała do końca XIX

wieku, kiedy w roku 1895 powołano do życia piątą kurię, w której głosować mogli ludzie nie posiadający dotychczas praw wyborczych: proletariat i ubożsi włościanie. Dalszy krok w tym kierunku dokonany został w 1907 roku: w wyborach do parlamentu wiedeńskiego zniesiono system kurialny i wprowadzono zasady równości oraz powszechności. Wybory do sejmu krajowego galicyjskiego pozostały jeszcze wyborami kurialnymi, ale i tu podjęto prace nad reformą. Trwały one kilka lat, z udziałem ówczesnego namiestnika Galicji, profesora Michała Bobrzyńskiego. Nową ordynację wyborczą uchwalano w 1914 roku, ale w związku z wybuchem wojny nie udało się na jej podstawie odbyć żadnych wyborów. Można jednak podkreślić, iż to dzieło Bobrzyńskiego zasługiwało na wysoką ocenę: udało mu się dojść do pełnego porozumienia z nacjonalistami ukraińskimi. Kto wie, czy gdyby udało się tę ordynację wyborczą wprowadzić w życie, doszłoby później do krwawych wydarzeń w 1918 roku i późniejszych latach. Niestety, pozostała ona tylko na papierze.

#### **Czy można zatem powiedzieć, że sejm galicyjski oraz parlament wiedeński były szkołą polityczną przyszłego parlamentaryzmu polskiego?**

I tak, i nie. Prawdą jest, że z trzech dzielnic Polski, jedynie pod zaborem austriackim Polacy mieli możliwość uczestniczenia w parlamencie, tak krajowym, jak i centralnym. W tym też zaborze dochodzili do wysokich stanowisk, z premierami rządu włącznie. Nie należy jednak też zapominać, iż była to szkoła polityczna nieuchronnie rozpadającej się monarchii habsburskiej. Czy prowadziła ona do nadmiernego oportunistyzmu?

Wiadomo, iż koncepcje polityczne galicyjskich konserwatystów wywoływały wiele krytycznych ocen. 10 grudnia 1866 roku sejm galicyjski uchwalił tzw. „adres” do cesarza Franciszka Józefa I, w którym zawarte były słowa: *Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy*. Kiedy później zarzucono temu „adresowi” nadmierny lojalizm, nie brano pod uwagę faktu, iż słowa te padły w czasie, kiedy w zaborze rosyjskim po upadku powstania styczniowego doszło do niebywałych represji, kiedy w zaborze pruskim rozwijał się *Kulturkampf* – groźna

akcja przeciwko nie tylko polskiej kulturze, ale i przeciw polskości. Jedynym wówczas zaborem, w którym język polski posiadał prawa w szkole, urzędzie i w sądzie, był zabór austriacki. To w Galicji istniały dwa polskie uniwersytety, krakowski i lwowski, w czasie kiedy wileński został zniszczony, warszawski nie mógł się rozwinąć, a i w Poznaniu nie było mowy o powstaniu uniwersytetu polskiego. To cesarz Franciszek Józef I podpisał akt o utworzeniu Akademii Umiejętności w Krakowie w 1872 roku, umożliwiając stworzenie instytucji, która odegrała znaczną rolę w rozwoju nauki i kultury polskiej, nie tylko w Galicji, ale i w Europie. Powstał jednak pewien groźny paradoks: jedyną dzielnicą, w której polska kultura i nauka, miała szerokie możliwości rozwoju, była dzielnica pod względem ekonomicznym stojąca najniżej.

#### **Jak wyglądała struktura administracyjna Galicji?**

Tu powiedzieć należy o dwóch etapach. Do Wiosny Ludów Galicja jako tzw. kraj koronny podlegała, w całości władzom wiedeńskim. Na czele tego kraju stał gubernator, powoływany i odwoływany przez cesarza, zawsze był to Austriak lub Niemiec. Podlegały mu jednostki administracyjne zwane cyrkulami. Cała administracja, aż do najniższych stanowisk, była importowana, z krajów austriacko-czeskich; nie związana z miejscowym społeczeństwem, posłusznie wykonywała polecenia rządowe.

Drugi etap rozpoczęła Wiosna Ludów. Na czele Galicji stanął namiestnik, wprawdzie nadal mianowany i odwoływany przez cesarza, ale z jednym wyjątkiem był to już zawsze Polak. W obsadzie tych stanowisk cesarz opierał się na arystokracji i zamożnym ziemiaństwie. Rozpoczął się proces polonizacji administracji, co było niewątpliwą zasługą wspomnianego już wcześniej hrabiego Agenora Gołuchowskiego. Miało to istotne znaczenie dla stosunków panujących w Galicji wschodniej, gdzie pogłębiał się konflikt narodowy. Rusini (tak bowiem wówczas nazywano Ukraińców) nie mieli swojego ziemiaństwa i arystokracji, tak więc pierwsza kuria w sejmie krajowym była kuria polską; Ukraińcy zyskiwali mandaty dopiero w kurii czwartej i z tego tytułu czuli się pokrzywdzeni, zarówno w obrębie sejmu

krajowego, jak i w administracji. Wynikało to jednak z przepisów konstytucyjnych, na których treść polscy politycy wpływu nie mieli; Wiedeń prowadził więc w Galicji celowo politykę *divide et impera*, korzystając z coraz silniejszego konfliktu narodowego. Jednym z przejawów takiej polityki była walka o uniwersytet. Uniwersytet we Lwowie, dawna akademie jezuicka założona przez króla Jana Kazimierza w 1662 roku, runęła w chwili zaboru austriackiego w 1772 roku, także z powodu kasaty zakonu jezuitów. Kiedy ten uniwersytet władze wiedeńskie postanowiły odbudować, była to już uczelnia niemiecka, z niemieckim językiem wykładowym i niemieckimi profesorami. Kiedy w drugiej połowie XIX wieku rozpoczęły się starania o polonizację Uniwersytetu Lwowskiego (wcześniej spolonizowany został Uniwersytet Jagielloński w Krakowie), Rusini zaczęli się przeciwstawiać polonizacji i byli nawet skłonni popierać niemieckich profesorów, utrudniając proces zastępowania ich polskimi profesorami. Bardzo powoli przychodziło im zdobywanie poszczególnych katedr, kiedy jednak ten proces się rozpoczął, żądać zaczęli dla siebie odrębnego uniwersytetu we Lwowie. To z kolei napotkało na opór Polaków. Konflikt narodowy przeniósł się na pole nauki i kultury, ten stan trwał do pierwszej wojny światowej i przeniósł się na czasy powojenne.

**Na terenie Galicji były przecież inne miasta, gdzie taki uniwersytet można było zorganizować, choć z drugiej strony niewiele z nich mogło być porównywane ze Lwowem. W grę mogły wchodzić Stanisławów, Tarnopol czy Czerniowce – choć to miasto było poza Galicją, stanowiło stolicę Bukowiny...**

Uniwersytet w Czerniowcach powstał w bardzo szczególny sposób. Kiedy postępowała polonizacja Uniwersytetu Lwowskiego, grupa niemieckich profesorów ze Lwowa przeniósł się do Czerniowiec, tworząc tam w 1875 roku niemiecki uniwersytet (niebawem na wysokim poziomie naukowym). Tymczasem Ukraińcy domagali się swojego uniwersytetu we Lwowie i inne miasta galicyjskie ich nie interesowały. Było ich jednak naówczas we Lwowie niewiele, w praktyce około 10% ogółu ludności miasta; ze strony polskiej podnoszono argument, iż na polonizację uniwersytetu, godziła się sil-

na kolonia niemiecka, a także i żydowska – Żydzi bowiem stali w większości po stronie polskiej.

**Musieli Ukraińcy zdobyć mocne poparcie we Wiedniu, skoro byli w stanie doprowadzić do poważnych dyskusji na ten temat...**

Niewątpliwie, bowiem Ukraińcom zależało na własnym uniwersytecie we Lwowie i między innymi powoływali się na przykład Pragi Czeskiej, w której działały wówczas dwa uniwersytety: czeski i niemiecki. Sprawę drugiego uniwersytetu popierali też duchowni grecko-katolicki, bardzo lojalni wobec Wiednia. A jeśli już o tym mowa: Lwów, jako stolica Galicji, miał też poważne znaczenie w dziedzinie wyznaniowej: rezydowali w nim trzej arcybiskupi: rzymskokatolicki (podlegały mu wszystkie diecezje rzymskokatolickie w Galicji), grecko-katolicki czyli unicki (podlegały mu galicyjskie diecezje unickie) i ormiańsko-katolicki, który już nie zarządzał odrębnymi diecezjami, ale podlegali mu wpływowi lwowscy Ormianie. Ta pozycja Lwowa jako stolicy trzech wyznań była też zjawiskiem konfliktogennym.

**Czy galicyjski sejm krajowy wykorzystywał swe możliwości w pełni? Czy – jak współcześnie – posłowie, skłóceni ze sobą, nie topili ważnych spraw w niekończących się kłótniach i swarach?**

Do nader ostrych walk doszło od początku XX wieku na forum parlamentu wiedeńskiego. Natomiast sejm galicyjski, choć też skłócony, pracował wydajnie i miał spore osiągnięcia, a jego dorobek stał na wysokim poziomie merytorycznym. Była już mowa o tym, iż Galicja była z dzielnic polskich dzielnicą najuboższą, tym samym i dochody sejmu krajowego, które stanowiły niewielki procent niektórych podatków ogólnie austriackich, były bardzo skromne. Można więc powiedzieć, iż sejm ten miał możliwości polityczne, ale nie miał możliwości gospodarczych.

**Końcówka tego sejmu była nijaka. Wybuch pierwszej wojny światowej uniemożliwił oficjalne zamknięcie działalności w chwili upadku monarchii austrowęgierskiej.**

Kiedy w 1919 roku postanowiono powołać do życia Sejm Ustawodawczy Rzeczy-

pospolitej, nie były jeszcze ustalone granice państwa polskiego i trudno było określić okręgi wyborcze. Przyjęto jako zasadę, że jednoizbowy Sejm Ustawodawczy będzie się składał z posłów, którzy zostaną wybrani w ramach utworzonych okręgów wyborczych, ale oprócz tego z posłów polskich, którzy działali w parlamentach państw zaborczych. Znaleźli się więc w Sejmie Ustawodawczym Polacy, którzy do 1914 roku zasiadali w parlamencie wiedeńskim, a przez to także w sejmie galicyjskim. Miało to praktyczne znaczenie, bo byli to ludzie, którzy wiedzieli, jak wygląda praca parlamentarna, jak jest zorganizowana od strony kuchni; to swoje doświadczenie byli w stanie ofiarować Sejmowi Ustawodawczemu. Zadbali też i o to, by Sejm Ustawodawczy wydał normę oficjalnie zamykająca działalność sejmów galicyjskich.

**Panie Profesorze, dlaczego to Lwów został stolicą Galicji?**

Kiedy w 1772 roku dokonywano zaboru ziem polskich, granica biegła prawym brzegiem Wisły i Kraków (aż do trzeciego zaboru) pozostawał w obrębie Rzeczypospolitej. Władze austriackie, zastanawiając się nad tym, które miasto uczynić stolicą Galicji, brały pod uwagę Lwów i Przemyśl. Lwów, mimo iż bardziej od Wiednia oddalony, był silniejszy gospodarczo i on ostatecznie został wybrany. Natomiast kiedy, w 1795 roku, w ramach trzeciego rozbioru Polski, Austrii przypadły ziemie aż po Pilicę, Wisłę, linię Karczew-Serock i do Bugu, nazwano ten zabór „Galicją Nową” albo „Galicją Zachodnią” i tej właśnie stolicą został Kraków. Kiedy jednak okazało się, iż Kraków, leżący na samym zachodnim krańcu nowej prowincji, nie mógł podjąć nowych obowiązków administracyjnych, stolicą całej Galicji został Lwów. W 1809 roku Kraków włączony został do Księstwa Warszawskiego, a od 1815 roku stał się „Wolnym Miastem” aż do roku 1846. Kiedy jednak po tym roku został włączony do Galicji, a ta otrzymała autonomię, pojawił się w sejmie krajowym projekt, aby sesje sejmowe odbywały się naprzemian we Lwowie i w Krakowie. Ten projekt nawiązywał do czasów Rzeczypospolitej, kiedy w XVII i XVIII wieku sejm zbierał się w Warszawie dla Korony i w Grodnie lub Wilnie dla Litwy. Nie został jednak ten projekt zrealizowany

– Lwów pozostał aż do 1918 roku stolicą Galicji i siedzibą jej sejmów.

**Najnowsza książka Pana Profesora, która niebawem ma się ukazać, będzie poświęcona Krakowowi. Proszę powiedzieć o niej kilka słów!**

Będzie to rzecz poświęcona Wolnemu Miastu Krakowowi (1815–1846), ale niewiele tam będzie o ustroju; chciałbym się skupić na ludziach. Dotychczas za mało zwracano uwagę na fenomen środowiska krakowskiego od końca XVIII wieku, kiedy to ubogie, powoli rozwijające się miasto przyjmowało ludzi ze wszystkich ziem polskich. Tu chronili się starzy powstańcy, jak generałowie Franciszek Paszkowski, Józef Chłopicki czy Jan Skrzynecki. Tu ściągali ludzie nie tylko z Kęt, jak Ambroży Grabowski czy z Myślenic jak Kutrzebowie, ale przybywali z Czech jak Estreicherowie czy Hawelkowie, z Niemiec jak Zollowie czy Helclowie. Ludzie ci w ciągu jednego pokolenia polonizowali się i stawali polskimi patriotami. Kraków, mimo swego ubóstwa, z powodu tradycji stołecznych, a także zespołu zachowanych w mieście i na Wawelu zabytków, miał istotne znaczenie. To tu powstała decyzja, że skoro nie ma już królów polskich, to Wawel zostanie Panteonem polskich bohaterów narodowych. A to, że w 1817 roku sprowadzono prochy księcia Józefa Poniatowskiego, to nie tylko kwestia jego zasług. Było to odczytywane tak, że nie zasłużył na to Stanisław August Poniatowski, ostatni król polski; zresztą nie koronował się on w Krakowie, więc niech spoczywa tam, gdzie go pochowano. Natomiast jego bratanek, polski bohater narodowy – dla niego czeka miejsce na Wawelu. Dwa lata później pochowano na Wawelu Tadeusza Kościuszkę, ostatniego wodza ginącej Rzeczypospolitej. Nie było też później wątpliwości, iż na Wawel sprowadzić należy prochy wieszczów narodowych. Tu, skoro straciła swe znaczenie nazwa „Szkół Główniej Koronnej”, wprowadzona przez Hugona Kołłątaja, uczelnię tę nazwano Uniwersytetem Jagiellońskim, aby bezpośrednio nawiązać do złotego wieku kultury polskiej. Dzięki ludziom, którzy tu zamieszkiwali, miasto to miało przed sobą wielką przyszłość. Jeśli nie gospodarczą, to w zakresie nauki i kultury. O tym chciałbym w tej książce napisać.

**Dziękuję Panu Profesorowi za rozmowę.**

## Poeta który chciał być lwowianinem

# DOMNIK

POSTAĆ I TWÓRCZOŚĆ NIEZNANA

Kto z Czytelników słyszał o poecie Domniku? Tak, Domniku, nie Dominiku. My też nie słyszeliśmy, aż dopiero w materiałach po Tadeuszu Krzyżewskim znaleźliśmy dość tajemniczy tomik wierszy tego poety, zatytułowany *Tylko we Lwowie*. Tomik został przygotowany przez dra T. Krzyżewskiego w latach 1980–90 minionego wieku i opublikowany jako maszynopis w parunastu egzemplarzach dla jakiegoś grona zainteresowanych, bo szansy na normalny druk wtedy nie było. Warto zapisać, że maszynopis został wykonany i graficznie opracowany przez panią Jadwigę Cieczkiewicz (także od niedawna nieżyjąca). Jak pamiętamy, jej specjalnością były oryginalnie wykonywane na maszynie tytuły i inicjały z zestawionych umiejętnie liter (zazwyczaj przy użyciu litery m).

A oto Wstęp, napisany przez T. Krzyżewskiego.

*Zbiór wierszy o tematyce lwowskiej, zapoczątkowany wierszem-inwokacją: „Tylko we Lwowie”, napisany został przez Franciszka Dorowskiego (1859–1926), aktora, a potem inspicjenta teatru w Krakowie, piszącego pod pseudonimem DOMNIK.*

*Był autorem licznych komedii i obrazków dramatycznych, wystawianych przeważnie na scenach prowincjonalnych, a także we Lwowie i Krakowie. Należą do nich: „Kąkol” (1881), „Wigilia św. Andrzeja” (1884), „Dzieci Muzy” (1892), „Stare Miasto” (1899), „Ojcowizna” (1908) z muzyką Jana Galla, oraz „W górę serca” (1913). W twórczości swej ma także udane wiersze.*

*Powiązany był serdecznymi więzami pokrewieństwa ze Lwowem, a szczególnie z lwowskimi aktorami. Około 1903 r. nosił się z zamiarem przeniesienia do Lwowa i w tym okresie napisał wodewil folklorystyczny „Na Łyczakowie”, wystawiony na scenie teatru lwowskiego w 1906 r. z udziałem aktorów Wł. Romana i M. Węgrzyna. Utwór ten został powtórnie wystawiony w Teatrze Wielkim we Lwowie w 1936 r. w adaptacji Wiktora Budzyńskiego, jako „Wodewil lwowski”.*

*Jak o tym świadczy dołączony wybór wierszy lwowskich Domnika, miał on również popularyzatorski talent poetycki, a jego wiersze o tematyce lwowskiej powstały chyba w latach 1920–1925. Tchną one serdecznym, niewymuszonym odczuciem polskości Lwiego Grodu oraz umiłowaniem lwowskiego krajobrazu.*

*Często drukowano wiersze i utwory Domnika błędnie pod nazwiskiem „Dominika” (Biuletyn Koła Lwowian, Londyn 1967, nr 12 i 13). Wobec tego godzi się zapamiętać, że chodzi tu o Franciszka Dorowskiego, występującego pod pseudonimem Domnik. Czerwiec 1992*

Nie wiemy oczywiście, skąd zaczerpnął T. Krzyżewski te informacje, nie zapisał tego, a zapytał Go – za późno, bo zmarł kilka lat temu. Nie wiadomo również, czy ten zbiór

lub pojedyncze wiersze były kiedykolwiek publikowane, gdzie? kiedy? Nie wiemy też, dlaczego Domnik Ignął do Lwowa, skąd brał się ten sentyment.

Do tomiku dołączono jeszcze jeden wiersz: *Widokówki Lwowa* (tak właśnie można określić wiersze Domnika zawarte w tomiku), podpisany *T. Domnik, Londyn 1967*, a mówi o rozsianych po świecie rodakach, tęsknocie, wspomnieniach. Czy to syn poety Domnika na emigracji?

Zbiorek zawiera 13 wierszy: „Tylko we Lwowie”, „Park Kilińskiego”, „Park Kościuszki”, „Park Głowackiego”, „Wysoki Zamek”, „Góra Stracenia”, „Plac Akademicki”, „Bulwar Akademicki”, „Plac Mariacki”, „Plac Halicki”, „Plac Bernardyński”, „Wesołki Lwowa” oraz wspomniany „Widokówki Lwowa”. Obok przedstawiamy spośród tych wierszy najbardziej „krajoznawczy”.

## *Bulwar Akademicki*

*Piękny to bulwar z szeroką aleją,  
W której topole włoskie zieleńią!  
Smukłe, strzeliste, jakby piramidy,  
Niebieskich stropów żywe kariatydy!  
Zdobią je piękne, różnobarwne kwiaty,  
Ujęte w klomby i wąskie rabaty.*

*Po prawej stronie, ku środkowi miasta  
Piękny budynek jak zjawa wyrasta:  
„Izba Handlowa” dla przemysłu Lwowa,  
Tu się mózgi kupca, inżyniera chowa,  
Rozkazy płyną stąd na wszystkie strony,  
By kraj dobrobyt miał zabezpieczony.*



Ulica Akademicka we Lwowie na przełomie wieków XIX-XX



Ulica Akademicka w latach międzywojennych,  
po wybudowaniu nowego gmachu Sprechera

*Tuż za tym gmachem stoi gmach Kasyna;  
Skromny, niewielki, nic nie przypomina,  
Że ma tak piękne, artystyczne cele,  
Kulturze Lwowa przyczynił się wiele:  
Odczyty, rauty, dobroczynne bale,  
Zawsze przepiękne i zawsze wspaniałe.*

*Naprzeciw, dobrze w całej Polsce znany  
Słynny Zalewski! Mile odwiedzany  
Przez Lwowian, obcych, którzy walą ławą  
Na pyszne ciastka z przewyborną kawą.  
Bo sam Zalewski – mistrz nad mistrze znany,  
Wielce ceniony, przez Lwowian kochany.*

*Zaraz na rogu słynna Teliczkowa,  
Dla swoich gości specjalny chow:  
Różne frykasy, myśliwskie bigosy,  
Słynne „maczanki”, przewyborne sosy,  
W niedzielę zawsze flaczki z parmezanem,  
Krokiety w sosie winem zakrapiane.*

*Obok Krupiński, branża kolonialna:  
Fauna północy, flora tropikalna,  
W ziemie dziczyzna, drób, kawior i ryby,  
Przeróżne owoce, w marynatach grzyby,  
Wina gronowe ze świata całego,  
Koniak francuski, wódki Baczewskiego!*

*W końcu alei z pod ziemi wyrasta  
Drapacz Sprechera – to ozdoba miasta.  
Architekt Kessler gmach ten projektował,  
Prostotą linii zadziwił, czarował.  
Zaraz w sąsiedztwie Welza cukierenka:  
Wieczorem kawa, koncert i piosenka.*

*Tuż obok Welza jest sklep Hoszowskiego,  
Farby, lakiery, perfumy Coty’ego.  
Firma to stara, towar doborowy,  
Bo sam Hoszowski to kupiec wzorowy!  
Zaraz naprzeciw dumą cię napawa  
Piękny sklep Meinla: herbata i kawa.*

*Obok księgarnia to Połonieckiego,  
Znanego specja, wydawcy słynnego.  
On się przyczynił do nauk krzewienia,  
Jemu mają też do zawdzięczenia  
Liczni, poeci, muzycy, pisarze,  
Co to „suszyli” darmo kałamarze.*

*Bulwar ten wieńczy gmach, który nazwać można  
Wielkim, wspaniałym. To jest hotel George’a  
Pięknie, z przepychem wielkim urządzony,  
Dlatego przez obcych lubiany, ceniony.  
Dobra kawiarnia, restauracja znana,  
Zawsze przez Lwowian licznie nawiedzana.*

*Naprzeciw George’a, to Bank Hipoteczny,  
Piękny budynek, stylowy, bajeczny,  
Drugim swym frontem vis a vis wpatrzony  
Gdzie plac Mariacki z Halickim złączony –  
Tam, gdzie sklep wielki w kamienicy Starka  
Błyszczy neonem jak srebrzysta arka.*

*A teraz dalej idąc wolnym krokiem,  
Wpatrzeni w piękno zachwyconym okiem,  
Mamy przed sobą dawny Lwów magnacki  
I najpiękniejszy z placów, plac Mariacki!  
Ta wielkomięjska, cudna panorama  
Od kilku wieków cała zachowana.*

# Najpiękniejszy szpital Krakowa dziełem lwowianina

Już dawno mieliśmy zamiar zająć się pięknym zespołem architektonicznym krakowskiego Szpitala Psychiatrycznego w Kobierzynie (Lwów miał wcześniej zbudowany Kulparków, Warszawa – Tworki, a później Kraków otrzymał Kobierzyn). Tymczasem ubiegł nas (i to już dość dawno!) na łamach krakowskiej prasy\* dr Zbigniew Beiersdorf, publikując obszerny i wnikliwy artykuł o tym niezwykłym szpitalnym miasteczku-ogrodzie. Szpital został zbudowany w latach 1908–14 przez lwowskich architektów.

Najpierw nieco historii – pisze o niej P. Subik w krakowskim dzienniku\*\*:

*W Galicji istniał wówczas (w pierwszych latach XX wieku) tylko jeden zakład dla umysłowo chorych – w Kulparkowie pod Lwowem i był przepelniony, stąd zaszła potrzeba wzniesienia drugiego. Zabrano się za to bardzo szybko.*

Tą drugą placówką przeznaczoną dla Galicji miał stać się szpital w Kobierzynie. Jak pisze dr Z. Beiersdorf – projekt architektoniczny opracowany został w biurze Namiestnictwa we Lwowie przez grupę lwowskich architektów pod kierunkiem Władysława Klimczaka, późniejszego



Teatr

profesora Politechniki Lwowskiej, specjalizującego się w budownictwie szpitalnym i uzdrowiskowym (m.in. w Krynicy). Jego współpracownikami byli lwowscy architekci Antoni Budkowski i Tadeusz Zieliński.

Władysław Klimczak, poza stworzeniem projektów szeregu obiektów, był przede wszystkim autorem całości rozplanowania urbanistycznego szpitala. Nadał mu formę satelitarnego wobec Krakowa, odrębnego miasteczka, opartej o ideę miasta-ogrodu. Ta, najbardziej wówczas nowoczesna w Europie koncepcja przestrzenna, narodziła się kilka lat wcześniej w Anglii. Jej twórca, Ebenezer Howard odwiedził zresztą Kraków, a jego idee przyświecały twórcom konkursowych planów Wielkiego Krakowa z 1910 r., gdy z inicjatywy prezydenta Juliusza Leo\*\*\* poszerzono granice Krakowa o 14 przyległych gmin i opracowano dla tak powiększonego miasta nowy plan urbanistyczny. Jednak wcześniej miasto-ogród zrealizował w Krakowie właśnie architekt Władysław Klimczak. W projekcie dla szpitala kobierzyńskiego połączył on nowoczesne rozwiązanie urbanistyczne z nowoczesnym programem szpitala psychiatrycznego.

Szpital – za wzorem rozwiązań zagranicznych – zlokalizowano na peryferiach miasta, co zapewniało wiejski klimat, świeże powietrze. Klimczak, odchodząc od typu szpitala-więzienia, zastosował pawilony bardziej przyjazne dla chorych, rozmieszczone w otoczeniu parkowym. Całość planu ma układ promienisto-koncentryczny. Oś główna, dzieląca zespoły osobnych pawilonów dla kobiet i mężczyzn związana jest z rondem otoczonym zespołem budynków recepcyjno-reprezentacyjnych: gmach teatru zakładowego (na 300 osób), pawilon administracyjny i dawna willa dyrektora. Na obrzeżach usytuowano okazałą kaplicę,

Jeden z pawilonów szpitalnych





budynki mieszkalne personelu medycznego oraz zespół gospodarczo-techniczny. Nie zapomniano o własnym cmentarzyku, położonym z dala od zabudowy, ale połączonym z nią piękną aleją.

*Szczególną cechą założenia szpitalnego w Kobierzynie jest bowiem jego wielkie wycucie walorów krajobrazu. Dowodem tego jest szerokie otwarcie widokowe, sięgające od centrum zakładu do doliny nadwiślańskiej, zakończonej pasmem jurajskiego grzbieta [...]. W architekturze szpitala kobierzyńskiego można znaleźć odpowiedniki modnego wtedy w Europie „cottage style” [...] Klimczak i jego współpracownicy podjęli równocześnie próbę poszukiwania stylu narodowego korzystając z motywów neobarokowych i tradycji budownictwa ludowego.*

Pisze również autor o zaprojektowanej dla szpitala infrastrukturze: poza własną elektrownią, centralną kuchnią i pralnią, oczyszczalnią ścieków otrzymał szpital kobierzyński bocznicę kolejową (od Swoszowic), ogród ze szklarniami, warsztaty, zespół folwarczny. Przy budowie zespołu szpitalnego, obok firm krajkowskich, pojawiły się nazwiska lwowskich specjalistów, w tym znanej firmy wyrobów betonowych Sosnowski i Zachariewicz. Architektura szpitala kobierzyńskiego jest bowiem nie tylko doskonałym przykładem wczesnego modernizmu w zakresie rozwiązań stylowych, ale także zastosowania nowoczesnych wówczas technologii budowlanych (konstrukcje żelbetowe).

Jest więc szpital kobierzyński znakomitą przykładem dawnej, doskonałej, bardzo integralnej „lwowskiej szkoły projektowania,



Kaplica szpitalna



Wnętrze kaplicy

która we Lwowie i poza nim pozostawiła wiele wspaniałych obiektów.

\* \* \*

Ostatnio pojawia się nowy problem. Oto z jednej strony władze Województwa Małopolskiego dążą do likwidacji Szpitala im. Babińskiego w Kobierzynie\*\*\*\*, a powody są co najmniej dwa: obiekt składający się z kilkudziesięciu większych i mniejszych pawilonów stał się w obecnej epoce niefunkcjonalny i nie odpowiada współczesnym normom (lansowanym przez UE). Z drugiej strony budowa nowego obiektu (nowoczesnego, a przy tym mniejszego, bo tak wielki jest już dziś niepotrzebny – w każdym szpitalu istnieją obecnie oddziały psychiatryczne!) byłaby o wiele niższa od renowacji starego. Na tym tle toczy się dyskusja, bo środowiska kulturalne nie chciałyby dopuścić do likwidacji (i deprecjacji) zabytkowego miasta-ogrodu.

\* „Dziennik Polski” 128 z 2001 roku

\*\* jw. z 19–20 IV 2001.

\*\*\* Prezydent J. Leo (1861–1918) urodził się w Stebniku k. Drohobycza.

\*\*\*\* Szpital w Kobierzynie liczy dziś 880 łóżek, a wg opinii władz potrzeba by było więcej niż 360.

---

WŁADYSŁAW KLIMCZAK (1879–1929), ur. w Tarnawie k. Doliny. Studia architektoniczne na Politechnice Lwowskiej, od 1929 profesor tej uczelni. Specjalizował się głównie w budownictwie szpitalnym (m.in. koncepcje i projekty ok. 60 budynków szpitala psychiatrycznego w Kobierzynie; szpital we Lwowie) i uzdrowiskowym. Projekty budynków użyteczności publicznej (m.in.) przebudowa klasztoru św. Marii Magdaleny we Lwowie), kościołów, will w uzdrowiskach. Zmarł we Lwowie.

---

# WIERSZE

## Jerzy Michotek

### *Na ten Nowy Rok*

Zdrowie musi mieć czy pani czy panisko,  
Żeby trzymać fason swój „jak szpic”,  
Prawda – zdrowie to nie wszystko, ale wszystko  
Kiedy zdrowia brak; ta, tyle co i nic.

Choć zdrowie to nie grunt i każdy to wie  
I więcej chce,  
Na ten Nowy Rok – daj nam Boże zdrowie,  
No i to, co najważniejsze daj nam też!

*Choćby wstać miał Giewont stary  
i zaryzczyć miał jak smok  
Na ten Nowy Rok! Na ten Nowy Rok!*

Forse musi mieć „paniunia” i panisko,  
Jak mówiono u nas: „taki witz”,  
Prawda – fora to nie wszystko, ale wszystko  
Jak „szwajnerów” brak; ta, tyle co i nic.

Choć człek wie, że fora rzecz ulotna, płocha  
I więcej chce,  
Na ten Nowy Rok – forsy więcej trochę,  
No i to, co najważniejsze daj nam też!

*Choćby wstać miał Giewont stary...*

Szczęście musi mieć i pańcia i panisko,  
Żeby państwu radość biła z lic.  
Prawda – szczęście to nie wszystko, ale wszystko  
Kiedy szczęścia brak; ta, tyle co i nic.

Choć wie każdy: – szczęście rzecz nie najważniejsza  
I więcej chce,  
Na ten Nowy Rok – daj nam Boże szczęście,  
No i to, co najważniejsze daj nam też!

*Choćby wstać miał Giewont stary...*

A najważniejsze to... to PRAWDA, moi mili.  
Nie krętactwo, lipa, fałsz i pic.  
Mało razy przyszłość klajstrem nam lepili?  
I co ulepił? –Ta, tyle co i nic.

Taką miarą ci zaplają, jaką mierzysz,  
Więc dobrze mierz!  
Na ten Nowy Rok PRAWDA się należy!  
Prawda! A za prawdą sprawiedliwość też!

*Choćby wstać miał Giewont stary...*



### *Moja Ziemia*

Mam w domu ziemię z grobu, w którym nikt nie leży.  
Było w nim Orłę – żołnierz wśród Orłąt żołnierzy,  
Wśród dzieci, co chwyciły – gdy Kraj był w potrzebie –  
Za karabin czasami nie mniejszy od siebie

I obronili miasto, by wszyscy wiedzieli,  
Że to Miasto – bohater jest „Semper Fidelis”...  
Wierzył, że jak odejdzie, to kto inny wróci,  
Bo uczono go w szkole, że ziemi „nie rzucim!”  
„nie rzucim!” „nie rzucim!”

Pamiętać! Pamiętać! Pamiętać!

Wierzył, że gdy w tej spocznie krwią obmytej ziemi  
Zawołają żyjący: „póki my żyjemy!”  
A gdy w Polsce szukano pośród tych, co strzegą  
Do „krwi ostatniej kropli”, los wskazał na niego

I powieźli go z miasta, w którym się wykrwawił  
Uroczyście, przez całą Polskę do Warszawy.  
Zaorane jest miejsce, gdzie poprzednio leżał.  
Dziś grób jego to Grób Nieznanego Żołnierza  
Żołnierza, Żołnierza!

Pamiętać! Pamiętać! Pamiętać!

Dzisiaj wieńce składają ku Jego pamięci  
Wszelchmożni tego świata: króle, prezydenci,  
Głowy państw i kościołów, zacni luminarze,  
Monarchowie, a także pierwsi sekretarze,  
Lecz gdy kładą te wieńce, gdy czoła schylają  
Przed Nim, czy o tym wiedzą? I czy pamiętają,  
Że ten żołnierz Nieznany wierności dochował  
Bowiem zginął za wolność swego miasta – Lwowa  
Lwowa, Lwowa...

Pamiętać! Pamiętać! Pamiętać!

Pamiętać!

Jan Parandowski

# WSPOMNIENIA OSSOLIŃSKIE\*

Pod tym tytułem wyszła pośmiertna książka Stanisława Łempickiego, który po latach kariery naukowej w uniwersytecie lwowskim umarł przed rokiem [1947] jako profesor wszechniczy jagiellońskiej.

Cóż to był za miły i dobry człowiek! Kto go nie znał osobiście, może się o tym przekonać ze *Wspomnień Ossolińskich*, gdzie z każdej strony patrzy jego szczere, przyjazne spojrzenie i każde zdanie okraża jego serdeczny uśmiech. Mając w sobie tyle dobroci, widzi ją we wszystkich, nie umie o nikim wyrazić się uszczypliwie lub choćby z lekkim przekąsem. Świat jego pamiętnika jest zamieszkały przez ludzi zacnych, uprzejmych, zgodnych, ludzi najlepszych chęci: jeśli mieli jakieś wady, on ich albo nie dostrzegł, albo je od razu rozgrzeszył. Lecz może i nie dopuszczał myśli, by potrafiły się zalegnać jakieś błędy ludzkie pod błogosławionym dachem Ossolineum.

Przywiązanie do tej instytucji było ogromne u każdego, kto do niej wchodził. Mogę coś o tym powiedzieć, ponieważ zawarłem z nią przyjaźń w siedemnastym roku życia i umacniałem ją w rozległej skali etapów, od nieśmiałego bywalca czytelnika aż do autora, związanego różnymi sprawami z Dyrekcją. Stąd wspomnienia Łempickiego brzmią dla mnie jak urywki z własnego pamiętnika – ci sami ludzie, te same sprzęty, te same kąty, te same uczucia.

Biblioteka może być nagromadzeniem druków, zawsze bardzo użytecznym, ale i bezdusznym, na to zaś, aby się stała tym, czym jest Ossolineum, potrzeba wielu rzeczy nie dających się opisać, skatalogować, zinventaryzować. Jeśliby wierzyć z pitagorejczykami, że w pewnych miejscach unoszą się w postaci pyłków subtelnych dusze tych, co je niegdyś zamieszkiwali, atmosfera Ossolineum byłaby utkana z takich pyłków po ludziach, którzy w ciągu pokoleń oddawali tym murom swoje życie, oddawali najlepsze, co mieli w życiu – swoje szlachetne namiętności. Kochali namiętnie Polskę, wiedzę, poezję, książki, tradycję.

To obywatelstwo duchowej ojczyzny, te uczucia przechodziły z pokolenia na pokolenie. I nie było tu różnicy między dyrektorem a woźnym. Rozdział, poświęcony we *Wspomnieniach* Łempickiego woźnym Ossolineum, należy do najpiękniejszych kart w historiografii bibliotek. Tylko stare instytucje, które przeżyły lata niedoli i glorii, tworzą taką wspólnotę duchową.

Czytelnik, nie znający sekretów Ossolineum, nie potrafi ocenić, jak na to zasługują, stronic, w których Łempicki podejmuje rycerską obronę swojego przyjaciela Alfreda Tęczarowskiego, dzielnego dyrektora wydawnictw Ossolineum. Był on i moim przyjacielem. Stronice, które czytałem z wielkim wzruszeniem, odnowiły we mnie tyle wspomnień, odwołały z niepamięci tyle chwil, że w ciągu lektury tworzyłem we własnych myślach długi rozdział, pełny zdarzeń i słów.

Niejedno z nich było nie znane Łempickiemu. Nie był mu z pewnością znany ów kwadrans, jaki w pewien dzień wiosenny, jeszcze chłodny i cierpki, spędziłem na bryczce Tęczarowskiego, który mię nieraz podwoził do domu. A właśnie z rozmowy, jaką prowadziliśmy wówczas, jadąc w górę Kopernika i Leona Sapiehy, pod groźbą dzwonek tramwajowych, które się otrząsały na naszego flegmatycznego konia, właśnie z tej rozmowy wynikała decyzja, że Tęczarowski postawi i przeprowadzi kandydaturę Stanisława Łempickiego na stanowisko doradcy Wydawnictwa w sprawach naukowych i literackich.

Zaczęła się era wielkiego rozmachu, a zamiarów było jeszcze więcej niż dzieł dokonanych, których katalog tak zdumiewa swoim bogactwem. Łempicki zgodnie ze swoją naturą uskromnił, ściszył swój udział w tym bujnym rozkwicie, odtwarzając go w swoich *Wspomnieniach*. Naprawdę zaś wszystko od niego brało początek. Sprowadzał autorów, nawiązywał pertraktacje, podsuwał tematy, rzucał plany nowych serii i kolekcji. Był niewątpliwie szczęśliwszy w stosunkach z uczonymi niż z pisarzami: sam o tym mówi, jak niewielkie było powodzenie Ossolineum w zjednywaniu literatów.

Zapewne, czuł się w tym świecie mniej swojsko, ale nie to było przyczyną pewnej oziębłości, z jaką literaci odnosili się do Ossolineum. Wiem coś o tym. Odrzucał ich najpierw sam charakter Wydawnictwa,

gdzie podręczniki i prace naukowe przyganiały beletrystykę, obawiali się, że wypadnie im rola kopciuszka. Nawet znak Ossolineum budził niepokój – „i pochowają cię pod kopytką szecha” – żartowali.

Nie zachęcał ich również Tęczarowski, który rozmawiał z nimi językiem zbyt handlowym i jego zwrotów nie zdołała zatrzeć ta trochę łyczakowska wesołość, jaką objawiał przy ewentualnym kieliszku. Zanim go lepiej poznano, wyrobił sobie opinię „wydławcy”. Tu właśnie Łempicki miał wiele do zrobienia, zawsze uważałem, że Ossolineum jest przeznaczone na jedną z najpoważniejszych firm literackich i Łempicki zdołałby przelamać „lody”. Nie starczyło jednak czasu, wszystko poszło w rozsypkę w niespodziewanym kryzysie dyrektorskim. W następnym okresie Ossolineum wycofało się na swe tradycyjne, obronne pozycje oświaty szkolnej i nauki uniwersyteckiej.

W tym zakresie dokonano pewnej rzeczy, która zdobyła sobie zasłużoną sławę – myślę o cyklu podręczników do nauki języka polskiego, wydanym z inicjatywą i pod redakcją Juliusza Balickiego i Stanisława Maykowskiego. Wróciłem właśnie z Grecji na wiosnę 1925 i od razu, jak to było moim zwyczajem, zaszedłem do Ossolineum. Tam zastałem zebranie obradujące nad nowymi podręcznikami. Nie było ono ani pierwsze, ani jedyne, takie obrady zdarzały się często, bo wszystko w tych książkach było obmyślane do najdrobniejszych szczegółów.

Dziś niewiele pamięta te tomy, z których każdy nosił odrębny tytuł: *Kraj lat dzieciennych*, *Będziem Polakami* i inne, każdy był odrębną kompozycją czytanek i rycin. I jedne, i drugie były zamawiane specjalnie u pisarzy i artystów, co było wielką nowością: dotychczasowe wypisy do nauki języka polskiego posługiwały się materiałem czerpanym z książek, utworami dawnymi, często przestarzałymi w formie i treści, tu zaś młodzież dostawała do rąk książki świeże, mówiące językiem jej czasów, tematycznie bliskie jej uczuciom i wyobrażeniom.

Spotkały się one z entuzjastycznym przyjęciem. Przez długi czas, ilekroć zachodziłem do Ossolineum, podawano mi teczkę z wycinkami prasowymi, wiele z nich pochodziło z czasopism zagranicznych, które nie miały dość słów pochwały, i każdy artykuł kończył się apelem do pedagogów danego kraju, by wzięli sobie przykład z Polski.

W środowisku literackim redaktorzy wywołali wielkie poruszenie. Zamówienia na wiersze i opowiadania spadały nieoczekiwanie na starych i młodych autorów, wielu z nich nigdy nie myślało, że mogą się podjąć takiej pracy, niejeden przyjmował to z zaskobieniem albo wręcz kwaśno i z dąsem, że to niby tak nie można, że się nie godzi tak obcesowo wpadać do pracowni pisarza z urojonymi żądaniem, powoli jednak swary ucichały, podnieceni redaktorzy zapewniali, że słyszą skrzywienie piór w domach autorów, rozsianych po całej Polsce. Rzeczywiście rękopisy potulnie układały się w ich tekach, na co niemały wpływ miały i przekazy Ossolineum na honoraria wcale nie do pogardzenia.

Lecz w gruncie rzeczy rozstrzygała myśl, że tworzy się coś nowego i pięknego dla nowej szkoły polskiej. Dawne podręczniki tego rodzaju układano przeważnie w ten sposób, że wybierano lub pisano rzeczy w możliwie najprostszym stylu bezbarwnym, banalnym, omijającym każdą przerośniętą, każde rzadsze słowo. Tutaj nie krępowano nawet najkunsztowniejszych stylistów. Oni sami rozumieli, że nie wolno im przemawiać barokiem zdań wykręconych i cudacznych, ale ile mieli zasobu słownictwa, ile znali różnaitości i odmian naszej cudownej mowy, tyle ich użyli do tych opowiadań dzieciennych, które przez to nabrały dziwnej siły i rozmachu. Od pierwszej klasy mógł uczeń poznać lub przeczuć bogactwo polskiego języka i sromotną nędzę tej „mowy potocznej”, którą wieloletnie niedbalstwo wypełniło śmieszoną czeredą obcych wyrazów. Zdaje mi się, że to było planowo zrobione, albowiem już w *Kraju lat dzieciennych* zna-



Profesor Stanisław Łempicki  
(1886–1947)

laża się prześliczna próba wprowadzenia młodych czytelników nawet w najświętsze tajemnice języka – w jego rodzenie się, dobę powstawania słów. – *Zboże* Rostafińskiego zawierało kilka przykładów dojrzwania wyrazów, wyrosłych wprost z ziemi. Bez pedanterii, z okiem zwróconym jakby tylko na samo zjawisko przyrodnicze, wpośród szumiących łańców, poddawało się dziecku myśl o zmiennym życiu słów, którymi przywykło posługiwać się jak czymś koniecznym, dokonanym i wiadomym.

Niektórzy z autorów tak się w tych wypisach zadomowili, że z biegiem lat uzbierały się im całe zbiory opowiadań, tak było u Kadena, tak było i u mnie: po latach wydałem tom pt. *Trzy znaki Zodiaku, złożony w całości z opowiadań przeznaczonych do wypisów* Balickiego i Maykowskiego. Nie miały one już wtedy swej pierwotnej kompozycji:

uległy gwałtownej zmianie wskutek zmiany programu gimnazjum i liceum, który sprzągnął język polski z historią. Trzeba było cały materiał, tak umiejętnie dobrany i ułożony, rozbić na cztery tomy pod wspólnym tytułem *Mówią wieki*. Znowu odbywały się narady, znowu szły listy i zamówienia do pisarzy, bo trzeba było wypełnić luki, jakie powstały przy tej przebudowie. Podręczniki wyszły i z tej próby zwycięsko, *Mówią wieki* zdobyły sobie trwałe uznanie. Myślę o ich powstawaniu ze wzruszeniem, bo niewiele rzeczy z zakresu książek szkolnych może się poszczycić tak szlachetną historią, gdzie wiedza, doświadczenie i zapał tworzyły szczególną atmosferę, godną Ossolineum i jego tradycji.

\* Tekst pochodzi z: Jan Parandowski, *Wspomnienia i sylwety*, wyd. II, Ossolineum, Wrocław 1969.

## SYLWETKI

### Władysław Marynowicz

Władysław Marian Marynowicz urodził się w 1920 r. w Busku (pow. Kamionka Strumiłowa, w wojew. tarnopolskim) na „Niemieckim Boku”, przy ul. Sokoła. Ojciec Józef i matka Helena z domu Kawecka też urodzili się w Busku i wszyscy mieszkali u dziadka Kaweckiego na Niemieckim Boku. Miał starsze rodzeństwo: brata Henryka (ur. 1915) i siostrę Jadwigę (1918). Swoją edukację rozpoczął Władysław w 7-klasowej szkole powszechnej męskiej.

W 1929 r. rodzice wraz z dziećmi przeprowadzili się z Buska do Kamionki Strumiłowej, gdzie ojciec pracował jako poborca skarbowy w Urzędzie Skarbowym. Zamieszkali przy ul. Wyspiańskiego 45, gdzie kupili dom. Średnią szkołę ukończył

Władysław w Kamionce Strumiłowej, tamże zdał maturę.

W 1939 r. Małopolskę Wschodnią zajęli Rosjanie. Wiosną w 1940 r. ojciec został aresztowany przez NKWD, a rodzina tj. żona Helena z dziećmi Henrykiem, Jadwigą i Władysławem zostali wywiezieni do sowchozu w pawłodarskiej oblasti w Kazachstanie. Tam Władysław wraz z bratem Henrykiem pracowali na stepie jako traktorzyści.

Po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej w 1941 r. i po porozumieniu zawartym między ZSRR a Rządem Polskim w Londynie, Władysław wraz z bratem Henrykiem zaciągnęli się do Armii Andersa. W tym czasie



W. Marynowicz w dniu ślubu



ojciec Józef został zwolniony z więzienia i połączył się z rodziną w Kazachstanie, ale synów już nie zastał. Zmarł w Czarnogórze, gdzie również zmarła córka Jadwiga. Matka Helena wróciła samotna do Polski w 1946 r.

Władysław dostał przydział do 15 Pułku Ułanów Poznańskich (inne źródła podają 25 Pułk Ułanów Wielkopolskich), z którym przeszedł całą kampanię włoską. Walczył, pod Monte Cassino i w opanowaniu góry Cairo, na której ściągnął i zawiesił własny,

cały mokry, biały podkoszulek na dowód zdobycia. Za kampanię włoską odznaczony był dwukrotnie Krzyżem Walecznym i Złotym Krzyżem Zasługi oraz otrzymał nominację na podporucznika.

W 1952 r. Władysław zawarł w Londynie związek małżeński z Lodą Szczerbowicz, która również przeszła zesłanie na Syberii.

Po ukończeniu studiów pracował i mieszkał w Londynie. Był głównym wykładowcą fotografii w Ealing Technical College, członkiem Royal Photographic Society, członkiem Institute of Incorporated Photographers, członkiem Europejskiej Federacji Fotografów /EFIAP/ oraz wieloletnim prezesem Polskiego Towarzystwa Fotograficznego w Londynie. Był głównym państwowym egzaminatorem brytyjskim dla zawodowych fotografików w dziale portretowania. Otrzymał ponad sto złotych i srebrnych medali na licznych wystawach fotograficznych na całym świecie. Jego osiągnięcia, w dziedzinie techniki fotograficznej uważane są za odkrywcze, a książka którą wydał należy do dzieł klasycznych z tej dziedziny. Zmarł nagle w drodze na uczelnię w 1977 r. Byli bezdzietni. Po śmierci Władysława jego dorobek naukowy z zakresu fotografii żona Loda przekazała do Muzeum Historii Fotografii w Krakowie (na prośbę tego Muzeum).

---

## SIOSTRA GENOWEFA WÓJCIK (1911–1974)

**Urodziła się w Wołczkowie koło Hałiczca.** Jej rodzice Wincenty i Agnieszka z domu Cieślowska prowadzili niewielkie gospodarstwo rolne. W 1919 r. rozpoczęła naukę w szkole powszechnej w Wołczkowie i ukończyła cztery klasy. Pomagała rodzicom w pracy na roli; ich śmierć wcześniej ją osierociła.

W Mariampolu w pobliżu Wołczkowa miały dom Siostry Miłosierdzia, które obok pracy pielęgniarskiej w szpitalu prowadziły Stowarzyszenie Dzieci Maryi. Genowefa w 1922 r. zapisała się do Stowarzyszenia i była w nim bardzo aktywna, aż do wstąpienia w 1931 r. do Zgromadzenia. Przed-

stawiła dobrą opinię od sióstr z Mariampola, od własnego proboszcza oraz z urzędu gminy Wołczków.

Postulat odbyła we Lwowie, w domu św. Wincentego i 29 września 1932 r. rozpoczęła formację w seminarium (nowicjacie). 7 października 1933 r. otrzymała suknię szarytki, a **2 października 1937 r. złożyła święte śluby.** Po ukończeniu seminarium została skierowana do pracy w kuchni w Nowosiólkach gdzie siostry prowadziły szpital, szkołę, odwiedzały ubogich oraz prowadziły Stowarzyszenie Dzieci Maryi. Siostry przebywały w Nowosiólkach przez całą wojnę, do 1945 r., kiedy to 18 marca 1945 r. musiały opuścić tereny przejęte przez ZSRR.

S. Genowefa na prośbę miejscowej ludności pozostała w Nowosiólkach. Z listu s. Popiel do ks. dyrektora Sióstr Miłosierdzia w Krakowie wiemy, że s. Genowefa jakby

zastępowała księdza w opinii miejscowych, podtrzymywała nadzieję, żyjąc i pracując wśród nich była dla nich oparciem.

Ludzie gromadzili się w niedzielę i święta w kaplicy szpitalnej, a s. Genowefa rozkładała szaty liturgiczne na ołtarzu, czytała modlitwy mszalne, by w ten sposób poniekąd uobecnić liturgię mszy św. gdy nie było kapłana. W miesiącu maju przewodniczyła nabożeństwom, w Wielkim Poście dekorowała Boży grób, organizowała nabożeństwo Gorzkich Żali i Drogi Krzyżowej.

Korespondencja z przełożonymi w Polsce była utrudniona, ale zachowało się 5 listów s. Genowefy do wizytatorki w Krakowie.

W pierwszym liście z 9 stycznia 1957 r., nazywa s. wizytatorkę „Mamą”, zaś przełożonych generalnych „Babcią i Dziadkiem”. Prosi w nim o renowację świętych ślubów i pozwolenia z nich wynikające: *Proszę o przedłożenie mojej prośby Dziadkowi i Babci Frani (Franciszka Lepicard), którym to najdroższa Mamusia wszystkich poleca i bardzo proszę nie zapomnieć o mnie.*

S. Popiel sformułowała wówczas bardzo dobrą opinię o s. Genowefie: *To bardzo dobra siostra; taka prosta, głęboko pobożna i ma ducha apostołskiego, ślicznie tamtejszej ludności w Nowosiólkach zastępowała w kaplicy Sióstr kapłana.* Ten duch apostołski skłonił ją do pozostania z ludźmi, choć inne siostry wyjechały. S. Genowefa przyjęła strój tamtejszych kobiet i jakby jedna z nich, była im przewodniczką w drodze do Boga.

We wspomnianym liście z 1957 r. s. Genowefa pisała, że po ośmiu latach, w Boże Narodzenie tego roku była pasterka z kapłanem; było bardzo zimno, ale na Nowy Rok już ksiądz ze Złoczowa nie dojechał z powodu zasp, mrozu i wiatru. W następnych listach pisała już częściej o Mszy odprawianej z okazji Świąt Wielkanocnych, Bożego Narodzenia, o nabożeństwach i procesjach z udziałem księdza ze Złoczowa. Wiemy, że był to zacny i świętobliwy kapłan ks. Jan Cieński.

Zgromadzenie starało się pomagać s. Genowefie, korzystając z okazji, by jej wysłać paczki. S. Genowefa dziękowała za



## SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

*Dalsze najważniejsze miasta (po Kamieńcu Podolskim, CL 3/11) leżące na ziemiach ukraińskich (za Zbruczem), lecz – jako położone na obszarze I Rzeczypospolitej – związane przez szereg wieków z polską historią i kulturą, a także w dużej części polską ludnością i wybitnymi Polakami.*

*Patrz także „Słowo od Redakcji”.*

### BAR

**Położenie.** Miasto w dawnym wojew. podolskim, na pd.zach. od Winnicy; dziś w obwodzie Winnickim, liczy 17 tys. mieszkańców. Do 1537 nosiło nazwę Rów (od nazwy rzeki, dopływu Bohu).

**Historia.** W XVI w. miasto należało do rodu Odrowążów. W wyniku procesu sądowego, wytoczonego przez królową Bonę za obrazę majestatu, właściciele zostali pozbawieni wielu włości, m.in. Rowu. Bona upamiętniła swoje dziedziczne włoskie księstwo – miasto Bari, przemianowując miejscowość na Bar. Z jej też inicjatywy i przywileju nadanego przez króla Zygmunta I Starego, osada została rozbudowana i ufortyfikowana (starosta Wojciech z Białobok Starzechowski w latach 1538–1542 wybudował zamek), a w 1540 Zygmunt Stary nadał osadzie prawa miejskie magdeburskie. Miasto stało się twierdzą pograniczną oraz główną kwaterą hetmanów koronnych którzy (zwłaszcza S. Żółkiewski i S. Koniecpolski) rozbudowali jego umocnienia w latach 1630–47 wg planów W. de Beauplana, tworząc tym samym trzecią co do wielkości – po Kamieńcu i Międzybożu – twierdzę Podola. W latach 1637–48 w B. znajdował się jeden z arsenałów artylerii koronnej. W XVII w. miasto kilkakrotnie zdobywane i niszczone przez Tatarów i Kozaków, w 1659 zostało oddane w dziedziczne posiadanie wojewodzie kijowskiemu i hetmanowi kozackiemu I. Wyhowskiemu. W latach 1672–99 należało do Turcji, od 1793 pozostawało w zaborze rosyjskim, w latach 1921–91 w ZSRR, potem w państwie ukraińskim. Nazwę miasta rozslawiła konfederacja barska – zawiązana w 1768 r. w klasztorze Karmelitów (celem było wyzwolenie Rzeczypospolitej spod wpływów rosyjskich); duchowym przywódcą był superior miejscowego klasztoru Karmelitów M.

nie, zawierały bowiem to, co się przydawało w kościele, albo do jej osobistego użytku. Ona też chciała się dzielić, tym co miała; np. w liście z 27 marca 1961 r. pisze, że 16 marca wysłała paczuszkę i chciałaby wiedzieć czy doszła. Niestety nie napisała, czy dzieliła się z siostrami. Z listów dowiadujemy się o jej pracy. W miesiącach letnich prowadziła ochronkę dla dzieci, których rodzice pracowali na polach. Sama też brała udział w pracach polowych, ucząc przy okazji religii zarówno dzieci, jak i dorosłych. W jesieni 1957 r. gotowała posiłek dla studentów, którzy przyjechali ze Lwowa do kopania ziemniaków. Zimy były mroźne, s. Genowefa skarżyła się na reumatyzm i grypy, które powtarzały się każdego roku.

Kłopoty ze zdrowiem, zmagania z ponurą rzeczywistością, a nade wszystko poczucie samotności („jak wróbelek na dachu”) budziły w niej tęsknotę. Dwa razy w latach 60. i 70. udało się jej przyjechać do Krakowa po świeczku, tak jak się ubierała w Nowosiólkach. Po krótkim pobycie, wzmocniona na duchu, wracała do swo-

jej misji. W latach 60. s. Maria Bukowińska szarytka z Krakowa pojechała w okolice Mariampola odwiedzić swojego brata, przy tej okazji spotkała się z s. Genowefą, przekazując jej wiadomości z Polski, a zwłaszcza z życia w Zgromadzeniu. Było to dla niej wielką pociechą.

W listach do Krakowa, pisanych tak, jak tam mówiła z otoczeniem, czasem nieporadnie, jest wielką pokorą, przywiązanie do Zgromadzenia, szacunek do przełożonych i potwierdzenie słuszności decyzji o pozostaniu z wyboru na wschodzie z tymi, którzy tam pozostać musieli.

**Siostra Genowefa zmarła w Nowosiólkach**; miała 63 lata życia, a 42 lata powołania. Mszę św. żałobną odprawił ks. Cieński ze Złoczowa. Jej ciało złożono na cmentarzu w Nowosiólkach wśród tych, którym poświęciła życie.



Siostra Genowefa Wójcik u kresu życia

Opracowała Marta Walczewska na podstawie: Archiwum Sióstr Miłosierdzia w Krakowie. Katalog domów, t. 2, s. 121; Listy s. Genowefy Wójcik; Akta sióstr zmarłych 1972–1974, rękopisy i maszynopisy.

## SPOTKANIA „Pod Gruszką” 2011

- 4 I Występ „Tyligientnych Batiarów” z Bytomia;
- 1 II Promocja tomu „Lwów” R.J. Czarnowskiego z udziałem autora;
- 1 III Krzysztof Kołtun opowiada o uroczystościach 100. rocznicy śmierci M. Konopnickiej w Żarnowcu;
- 5 IV R. Kucala wyświetla film o Władzie Majewskiej;
- 10 V St. Srokowski przedstawia III tom sagi kresowej – *Ślepcy idą do nieba*;

- 7 VI Spotkanie z Teresą Dutkiewicz (Lwów);
- 28 VI R. Kucala wyświetla film J. Janickiego o Lwowie, o budowie pomnika Profesorów na Wulce oraz o pogrzebie abpa Teodorowicza;
- 6 IX Koncert zespołu „Promyki Krakowa” pod dyr. Romy Krzemień;
- 4 X R. Kucala wyświetla film *Zadwórze i „Burza” we Lwowie 1944*;
- 3 XI Stefan Berdak, malarz i grafik wspomina lata pracy w redakcji „Przekroju”;
- 6 XII Jacek Nikorowicz opowiada o pogrzebie abpa Teodorowicza.



# Z TAMTEJ STRONY

## Wydarzenia

◆ W Łucku odbyło się 10 lipca uroczyste nabożeństwo żałobne w rocznicę Rzezi Wołyńskiej, dokonanej przez UPA w 1943 roku. Odprawiono Mszę św. w języku łacińskim – *Missa pro defunctis (Requiem)* którą celebrował ks. bp M. Trofimiak, ordynariusz łucki; wśród koncelebrantów byli m.in. księża: W. Czajka, dziekan z Równego, W.J. Kowalów z Ostroga, a także księża z Olyki oraz z Łodzi i Hrubieszowa. Nabożeństwo uświetnił chór chłopięcy z Bochni.

Nazajutrz odbyły się nabożeństwa żałobne na zbiorowych mogiłach pomordowanych Polaków w kilku miejscowościach, m.in. w Kisielinie i Porycku. Nabożeństwa te na cmentarzach i w kościołach diecezji łuckiej są wyrazem modlitwnej pamięci o naszych Rodakach, których życie zostało w nieludzki sposób przerwane.

Serdecznie dziękujemy ks. W.J. Kowalowskiemu za nadesłanie tych wiadomości pocztą mailową do naszej Redakcji.

## Ucrainica

◆ Artykuł w „Rzeczpospolitej” z 3 III '11: *Ukraina: walka o pamięć*, z podtytułem: *Historia. Coraz silniej forsowana jest sowiecka wersja dziejów. Mniej mówi się o Wielkim Głodzie, a więcej o Armii Czerwonej* (T. Serwetnyk i P. Kościński). Końcowy fragment tekstu: – Czy radykalizacja nastrojów na wschodzie i zachodzie grozi podziałem Ukrainy? – Ona jest objawem podziałów, które już istnieją. Może natomiast je jeszcze bardziej pogłębić, a nawet spowodować rozpad Ukrainy oraz nieodwracalną zmianę jej granic. Szczególnie dotyczy to zachodu Ukrainy. Już teraz władze przemysłowych obwodów na wschodzie kraju protestowały przeciwko finansowemu dotowaniu obwodów zachodnich. Przecież Zachód promuje przestępcze organizacje, jakimi były OUN i UPA. Na to nie może być zgody.

Jandolowicz (Książd Marek), zaś przywódcami politycznym: K. Pułaski, W. Rzewuski, bp krakowski K. Soltyk i przedstawiciele rodzin Krasińskich i Potockich; 19 VI 1768 to data obrony B. przez konfederatów przed wojskami rosyjskimi. **Zabytki.** Z barskiego zamku zachowały się ruiny, które przetrwały do poł. XX w. Przetrwano także kilka kościołów. W parafialnym kościele św. Anny, ufundowanym na pocz. XVII w. i przekazanym dominikanom, a na pocz. XX w. rozbudowanym w okazałą neogotycką świątynię, zachowało się prezbiterium pierwszego kościoła z XVII w. Kościół i klasztor Karmelitów, powstałe w 2. poł. XVIII w., po rozbiorach były użytkowane przez żeński zakon prawosławny. Odzyskany po 1990 r. przez katolików kościół był odbudowywany. Ufundowane przez hetmana S. Koniecpolskiego na pocz. XVII w. kolegium jezuickie, przejęte w 1781 przez bazylianów, potem zajmowane przez szkołę, dziś pozbawione użytkownika, popada w ruinę.

Z Baru pochodzi obecny biskup pomocniczy we Lwowie, ks. Leon Mały.

## GRÓDEK PODOLSKI

**Położenie.** Miasto w dawnym wojew. podolskim (na pn. od Kamieńca Podol., dziś w obw. chmielnickim, liczy ok. 17 tys. mieszk.), założone w 1362 roku nad rzeką Smotrycz.

**Czasy współczesne.** Po II wojnie światowej tutejsza liczna polska społeczność (co najmniej 10 tys. to byli Polacy), została pozbawiona kościołów, dla wiernych pozostała jedynie kaplica cmentarna. W 1972 r. do G.P. przybył z Łotwy ks. Władysław Wanags (†2001), marianin, niestrudzony obrońca Kościoła i polskości na Ukrainie. Swoją działalnością przyczynił się do odrodzenia Kościoła katolickiego w całej zachodniej części diecezji Kamieniecko-Podolskiej. Z jego inicjatywy parafianie Gródka własnym sumptem wzniesli pierwszy w czasach komunistycznych kościół na Ukrainie. Dzięki jego działaniom w G.P. są 3 kościoły, dom parafialny, wyższe seminarium duchowne i Dom Miłosierdzia dla starszych ludzi. W G.P. powstał także Instytut Nauk Religijnych diecezji Kamieniecko-Podolskiej, filii Uniwersytetu Laterańskiego w Rzymie. Dla tej instytucji ks. Wanags odzyskał będący w ruinie klasztor Sióstr Miłosierdzia i zdobył fundusze na wyremontowanie i świetne wyposażenie obiektu.

## KIJÓW

**Położenie.** Stolica państwa *Ukraina*, miasto położone nad Dnieprem, jeden z najstarszych ośrodków osadniczych wsch. Słowiańszczyzny (wzmiankowany już w VI w.). Dziś liczy ok. 2,8 mln mieszkańców.

◆ Z prasy dowiadujemy się, że na terenie tzw. Ukrainy zachodniej przystąpiono do wyjaśniania młodzieży szkolnej oblicza i historii agresji sowieckiej we wrześniu 1939 roku. Dotychczas – w myśl podręczników sowieckich uczono, że nastąpiło wtedy połączenie odebranych Polsce „ziem zachodnich” z Ukraińską Socjalistyczną Republiką Sowiecką. Obecnie poinformowano młodzież w szkołach, że na obszarach tych mieszkali przedstawiciele różnych narodowości, w tym Polacy (!) i Żydzi, oraz że po zajęciu tych ziem wywieziono półtora miliona ludzi

do najbardziej odległych zakątków Związku Sowieckiego. Których najwięcej – nie podano.

Pokazano również film *Złoty wrzesień*, który jest podobno wielkim aktem oskarżenia wobec Sowietów. Równocześnie sprowadza się do szkół weteranów, którzy wyjaśniają młodzieży tamte sprawy w wersji *zachodnio-ukraińskiej*, ponieważ władze kijowskie nadal lansują sowiecką wersję historii. W proteście działacze nacjonalistyczni apelują o wywieśzanie w domach portretów działaczy OUN, przede wszystkim Bandery, Szuchewycza i podobnych.

## W Krakowie i dalej

### FUNDACJA INSTYTUT LWOWSKI

12 września '11 odbyło się w Warszawie – na zaproszenie Janusza Wasylkowskiego i grona Jego współpracowników – spotkanie kilku osób z całego kraju na okoliczność przyjęcia koncepcji i statutu nowej struktury: *Instytutu Lwowskiego – Fundacji Ochrony Dziedzictwa Kulturowego Kresów Wschodnich*, która ma stanowić kontynuację i rozszerzenie dotychczasowego Instytutu Lwowskiego, prowadzonego od 20 lat przez J. Wasylkowskiego.

Fundacja została ustanowiona przez Janusza Wasylkowskiego (Wwa), Bogdana St. Kasprowicza (Bytom) i Krzysztofa Smolanę (Wwa). Jej siedzibą staje się Warszawa. Opracowany statut został w sierpniu br. zarejestrowany przez sąd rejonowy dla m.st. Warszawy oraz przyjęty przez uczestników omawianego tu spotkania. Wzięli w nim udział: J. Wasylkowski, B.St. Kasprowicz, K. Smolana, A. Mierzejewski, O.St. Czarnik, J. Bil, M. Miśkowiec, A. Leinwand i A. Chlipalski (przewiduje się udział kilku dalszych osób). Na prezesa Fundacji wybrano Oskara St. Czarnika.

W statucie określono proponowane cele i zasady działania Fundacji (rozdział II).

Celami Fundacji miałyby być:

1. Wspieranie i prowadzenie prac naukowo-badawczych, wydawniczych w zakresie pielęgnowania polskości, rozwoju świadomości narodowej, obywatelskiej i kulturowej, historii Kresów Wschodnich, historii i kultury mniejszości narodowych w Polsce.

2. Inspirowanie, upowszechnianie i wspieranie działalności w zakresie publikacji książek, albumów, filmów, nośników elektronicznych, stron internetowych poświęconych historii Lwowa i Kresów Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej.

3. Upowszechnianie i eksponowanie wiedzy o duchowym i materialnym dorobku polskiej kultury kresowej.

4. Utworzenie i utrzymywanie Biblioteki Lwowskiej, pomnażanie jej zbiorów oraz ich opracowywanie i upowszechnianie.

5. Utworzenie i utrzymywanie Muzeum Lwowa i Kresów Wschodnich, pomnażanie jego zbiorów w zakresie sztuki i pamiątek historycznych oraz ich opracowywanie i upowszechnianie.

6. Organizacja pomocy materialnej Polakom i polskim instytucjom narodowym na Kresach Wschodnich, zaangażowanym w realizację zadań zbieżnych z celami Fundacji.

7. Integracja europejska narodów i grup etnicznych zamieszkujących w przeszłości, obecnie i w przyszłości terytorium zaliczane do polskich Kresów Wschodnich, bądź utożsamiających się z ich kulturą i dziedzictwem.

Na marginesie zauważmy, że idea Fundacji wykazuje pewne pokrewieństwo z naszą wcześniejszą – atoli o wiele skromniejszą – koncepcją *Instytutu Polskiego Dziedzictwa Historii i Kultury Kresów Wschodnich*. Kon-

cepcja ta znalazła w ciągu lat szereg (kilkanaście) konkurencyjnych wariantów, lecz czysto formalnych, bez sprecyzowanych programów i żadna z nich nie doczekała się sensownej realizacji. W naszym przypadku wzorcowy merytoryczny program powstał (i był publikowany), jednak dotąd nie został podjęty przez żadną instytucję ani organizację. Obecnie powstawałaby kolejna szansa, pod warunkiem jednak, że wśród celów Fundacji zostałby rozwinięty punkt 1, ściślej jego część początkowa: *wspieranie i prowadzenie prac naukowo-badawczych w zakresie pielęgnowania polskości.*

Andrzej Chlipalski

## WOŁYŃSKI POMNIK W CHEŁMIE

17 września 2011 r. w południe w Alei Marszałka Józefa Piłsudskiego, przy Skwerze 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty w Chełmie, odbyły się patriotyczne uroczystości poświęcenia pomnika „Pieta Wołyńska”. Mszę świętą celebrowali ks. bp Józef Wróbel z Lublina i ks. bp Marcján Trofimiak z Łucka z licznie zgromadzonym duchowieństwem Ziemi Nadbużańskiej. Śpiewał męski chór z parafii Rozesłania św. Apostołów w Chełmie pod dyrekcją Romualda Turowskiego oraz solistka Filharmonii Narodowej w Warszawie, sopranistka Agata Marcewicz-Szymańska.

Pomnik z granitu, dłuta artysty rzeźbiarza Witolda Marcewicza z Bełżyc, przedstawia Matkę wynosząca z płonącego domu martwego chłopca. Pod jej nogami – siekiera, narzędzie mordu Polaków. Na cokole umieszczony jest przedwojenny Herb Województwa Wołyńskiego, przedstawiający krzyż maltański z orłem piastowskim na jego tle. Poniżej wryty napis o treści:

*Jeżeli my zapomnimy o Nich, Ty Boże zapomnij o nas.*

*Pamięci Polaków, pomordowanych na Kresach Wschodnich ofiar ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów – członków OUN–UPA w latach 1943–1945 oraz tych braci Ukraińców, którzy za ratowanie Polaków zapłacili cenę najwyższą.*

*Chełm 17 września 2011 r. Rodacy*

W uroczystości uczestniczyła orkiestra i Kompania Honorowa Wojska Polskiego,

**Historia.** Od IX w. jako stolica Rusi Kijowskiej (po zjednoczeniu z Nowogrodem Wielkim) stanowił cel wypraw wojennych polskich władców. W 1018 Bolesław Chrobry zdobył Kijów podczas Wyprawy Kijowskiej. Swoją rozkwit Kijów przeżywał za panowania Jarosława Mądrego (1019–54). W 1044 ukończono budowę katedry p.w. Mądrości Bożej (sobór św. Zofii), w której umieszczono relikwie Krzyża Św. ofiarowane podczas chrztu Rusi w 988 r. przez cesarza bizantyjskiego. Od końca X w. miasto było siedzibą biskupa prawosławnego, a w 1051 r. patriarcha Konstantynopola uczynił je stolicą całej Rusi.

W XIII w. najazdy Tatarów i wewnętrzne waśnie położyły kres ówczesnej potęgze miasta. W 1362 wcielone zostało do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Wkrótce Kijów stał się centrum polsko-litewskiej akcji misyjnej, prowadzonej na tych ziemiach przez kościół rzymskokatolicki. W 1397 utworzono diecezję kijowską, pierwszym jej biskupem został dominikanin o. Andrzej. Pod koniec XV w. Aleksander Jagiellończyk nadał miastu magdeburskie prawa miejskie. Po unii lubelskiej w 1569 znalazło się w granicach Korony, stając się stolicą największego województwa Rzeczypospolitej. Kres polskiego panowania położyło powstanie hetmana Bohdana Chmielnickiego, który w grudniu 1648 wjechał na czele oddziałów kozackich do K. Utracony na rzecz Rosji w 1654 r. i odstąpiony Moskwie czasowo w latach 1667–1687 (traktat moskiewski, pokój Grzymułtowski) K. zaczął podupadać. Upadek zahamowało przyłączenie ziem nadnieprzańskich do Rosji po II rozbiórze Polski. Od 1795 r. K. był miejscem kontraktów (zjazdy szlachty, transakcje i umowy), przeniesionym z Dubna. W XIX w. stał się ważnym centrum kulturalnym (uniwersytet założony na bazie zlikwidowanego Liceum Krzemienieckiego, działał od 1834). W kwietniu 1940 Naczelnny Wódz J. Piłsudski zdecydował się na ofensywę wojsk polskich przeciw armii bolszewickiej w celu opanowania prawobrzeżnej Ukrainy i przekazania jej sprzymierzonemu z Polską rządowi S. Petlury. Nieobroniony przez bolszewików K. przejściowo zajęła III Armia gen. Rydza-Śmigłego (maj, 1920). Jednak Polacy nie zdołali rozbić wojsk bolszewickich, a ludność ukraińska nie poparła Petlury. Armia sowiecka (m.in. Armia Konna S. Budionnego) przeszła do kontrofensywy, zmuszając Polaków do odwrotu i opuszczenia K. w czerwcu 1920 r. W latach 1922–1991 Kijów był stolicą Ukraińskiej SSR.

**Zabytki.** Mimo walk w latach II wojny światowej i planowanej komunistycznej destrukcji, w mieście ocalało wiele wspaniałych zabytków, m.in. kompleks Ławry Peczerskiej z XI w. Zespół klasztorny został



liczne poczty sztandarowe, harcerze, Kresowianie z rodzinami z całej Polski i licznie mieszkańcy Chełma. Po poświęceniu pomnika szedł długi orszak z wieńcami rządowymi, miejskimi i kresowymi – z poszczególnych stanów i środowisk. Powiewały biało-czerwone szarfy, wypisane pamięcią i łzami Potomnych. Hołd sztandarów przed Pietą Wołyńską prowadził mjr Włodzimierz Wowa Brodecki – Chełmianin, aktor Teatru Starego w Krakowie. Stowarzyszenie „Pamięć i Nadzieja” z Chełma z prezesem Stanisławem Senkowskim, uwieńczyło

hołd narodowej pamięci budową pomnika – w mieście, gdzie dotąd żyją setki świadków wołyńskiego ludobójstwa. Towarzyszyło temu przedsięwzięciu wiele Stowarzyszeń i wierni Kresowianie. Oprawę słowną uroczystości z autorską – wołyńską – poezją prowadził Krzysztof Kołtun. Słoneczna, wrześnie sobota zapisała w wielu sercach wydarzenie historyczne, jakie dotąd nie miało miejsca w Chełmie. Stańcie i Wy do Apelu Pamięci – przed Wołyńską Pietą! A o zmroku, nad skwerem pełnym Ludzi, celebryjących dzień i wydarzenie – zakrzyzczały żurawie. Siwym sznurkiem, z wołyńskich łęgów ciągnęły nad wieżami miasta, niosąc odwieczną, żurawią pieśń:

*kre, kre, kre  
w cudzej Ziemi umrę...  
Patrząc w niebo, przypominała się wołyńska dumka.*

*Ponad Górą trakt w nieznamy świat  
– wypisali krzyż na niebie, żurawie we mgłach*

Krzysztof Kołtun

## ŚWIĘTO KADETA W KRAKOWIE 2011

W dniach 20–21 maja kadeci Liceum Akademickiego Korpusu Kadetów z Lipin przebywali w Krakowie na zaproszenie krakowskiego Klubu Regionalnego Związku Kadetów II Rzeczypospolitej i prezesa p. Zenona Malika (przedwojennego kadeta z lwowskiego Korpusu).

21 maja na pl. Matejki, przy Grobie Nieznanego Żołnierza, kadeci wzięli udział w uroczystości Święta II Korpusu Zmechanizowanego. Honorowym gościem tej uroczystości był Minister Obrony Narodowej, a obecni byli również dowódca i szef sztabu Wojsk Lądowych, d-ca operacyjny Sił Zbrojnych, d-ca Wojsk Specjalnych oraz Prezydent Krakowa.

Następnie kadeci udali się Drogą Królewską w kierunku Krzyża Katyńskiego, zwiedzając zabytki Krakowa. Przy kościele garnizonowym pw. św. Agnieszki złożono kwiaty pod tablicą upamiętniającą Kadetów II RP i ich dowódców.



Nazajutrz dzień rozpoczął się od mszy św. w katedrze na Wawelu, po czym zwiedzano krypty wawelskie z grobowcami m.in. Tadeusza Kościuszki i Józefa Piłsudskiego. Złożono kwiaty pod pomnikiem Marszałka Piłsudskiego i tablicą pamiątkową Szkoły Kadetów. Po obejrzeniu Izby Pamięci prowadzonej przez p. Z. Malika, odwiedzone Sanktuarium w Łagiewnikach, po czym kadeci udali się w podróż powrotną do Lipin. (skrót)

Zenon Malik

## Notatki

◆ Podczas dorocznej kwesty na rzecz ratowania zabytkowych obiektów cmentarnych (pomniki, grobowce, nagrobki) na Łyczakowie we Lwowie, zebrano w dniach 30 i 31 X oraz 1 XI 2011 na czterech cmentarzach krakowskich (Rakowice, Batowice, Salwator i Podgórze) kwotę 54 078 zł.

W kweście brało udział kilkanaścioro członków Oddziału Krakowskiego TMLiKPW oraz uczniowie II i VIII Gimnazjum z Krakowa (w sumie 49 puszek przez trzy dni).

Przy okazji przypominamy „prehistorię” kwest, prowadzonych dotąd przez Krakowski Oddział TMLiKPW, zapisaną w pierwszym numerze naszego kwartalnika:

*Obywatelski Komitet Ratowania Krakowa, którego prezesem jest dr Kazimierz Trafas, podjął niezwykle szlachetną inicjatywę, której celem jest przyczynienie się społeczeństwa krakowskiego do ratowania wspnianego zabytkowego Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie. Na rzecz tej nekropolii „odstąpiono” dla Lwowa w 1994 r. jeden z trzech dni w okresie Wszystkich Świętych i Zaduszek, kiedy prowadzona jest tradycyjna kwesta na odnowę zabytkowych cmentarzy krakowskich. Zebrano niemałą sumę: ponad 80 mln zł (starych), które będą sukcesywnie przekazywane na odbudowę wskazanych, najbardziej zagrożonych obiektów cmentarnych we Lwowie. (CRACOVIA-LEOPOLIS, 1/1995).*

## Z żałobnej karty

◆ W klasztorze kapucyńskim w Sędziszowie Małopolskim 23 czerwca 2011 **zmarł o. Hieronim (Karol) Warachim**. Miał dziewięćdziesiąt cztery lata, urodził się w Hołosku pod Lwowem. Napisał parę książek – jedną z nich omawialiśmy w CL 2/05. W CL 1/10 o. Hieronim opisał swoje niezwykle życie w rozmowie z J. Paluchem.

◆ W Krakowie zmarł w październiku '11 **Wacław Gaberle, polonista, językoznawca, bibliofil**. Urodził się w 1934 r. we Lwowie, był synem ostatniego (do II wojny) dyrektora Biblioteki UJK Eustachego Gaberle. Był pracownikiem Instytutu Badań Literackich PAN w Krakowie.

Pan Wacław bywał częstym gościem w siedzibie naszego TMLiKPW, choć nie był jego członkiem, nie lubił układów organizacyjnych, ale był ogromnie oddany sprawom lwowskim. Jeździł często do Lwowa z racji zawodowych, lecz szczególne zainteresowanie w ostatnich latach kierowało się do Cmentarza Łyczakowskiego, gdzie zabiegał o renowację grobowca młodego poety lwowskiego Jana Zahradnika (zm. 1929).

Warto przypomnieć, że matka Wacława Gaberle (z domu Strzelecka) była siostrą „Polskiej Niobe”, która owej nocy 3/4 lipca 1941 na Wulce straciła męża, rektora UJK, oraz trzech synów.

założony na wyniosłym urwisku nad Dnieprem; nie zachowała się w oryginalnej postaci jego główna świątynia – sobór Uspieński, zniszczony przez NKWD w 1941, obecnie odbudowywany. W 1936 na polecenie władz sowieckich zburzono cenny obiekt – sobór św. Michała o Złoty Kopoluch (XI–XII w.), od 1998 odbudowywany. Sobór św. Zofii z przełomu IX i X w., rozbudowany w XVII–XVIII w. przechodził różne koleje. Wśród nowszych budowli uwagę zwracają liczne cerkwie, m.in. barokowa cerkiew św. Andrzeja (XVIII w.), pałac Maryjski (XVIII w.). Nie przetrwał żaden z kościołów katolickich (dominikański, jezuitski, bernardyński), wystawionych w XVI i XVII w. Zachował się XIX-wieczny kościół św. Aleksandra (po 1945 r. zamieniony na planetarium, w 1990 zwrócony wiernym) oraz kościół katolicki św. Mikołaja (projektu polskiego architekta, W. Horodeckiego) z przełomu XIX i XX w., przekształcony przez władze sowieckie na budowlę świecką.

Do czasu odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 roku K. był jednym z najważniejszych ośrodków polskości na dawnych wschodnich ziemiach przedrozbiorowej Polski – na uniwersytecie kadre naukową i studencką początkowo tworzyli prawie wyłącznie Polacy, a miasto w sensie kulturowym, było w ponad połowie miastem polskim. Największą księgarnią i magazynem książkowym z biblioteką były zabudowania księgarza i wydawcy L. Idzikowskiego. W Kijowie działało wiele polskich instytucji (zakładów przemysłowych, szkół, teatrów, sklepów i firm oraz wydawnictw prasy codziennej). Na Cmentarzu Bajkowym spoczywa wiele wybitnych, związanych z Kijowem, polskich postaci, a także polscy żołnierze polegli w czasie wojny polsko-rosyjskiej w 1920 r.

Na pd.wsch. od Kijowa, w obw. czerkaskim, w Tymoszwówce urodził się Karol Szymanowski.

### **PŁOSKIRÓW (CHMIELNICKI)**

**Położenie.** Miasto w dawnym wojew. podolskim, położone na pn. od Kamieńca Pod., między Tarnopolem a Winnicą, dziś w obw. Chmielnickim, obecnie liczy ok. 260 tys. mieszkańców. Leży przy ujściu rz. Płoski do Bohu, położone na błotnistej równinie, otoczonej wzgórzami.

**Historia.** W czasach I Rzeczypospolitej P. początkowo znajdował się w obrębie dóbr królewskich (Zygmunt Stary). W 2. poł. XVI w. wzniesiono zamek, który jednak nie oparł się najazdom tatarskim. W 1578 Stefan Batory nadał miejscowości prawo magdeburskie. W 1648 miasto i zamek padły łupem najazdu M. Krzywonosy, potem mocą traktatu Buczackiego (1672) P. przypadł Turkom, do Polski powrócił w 1699,

# KULTURA NAUKA

## ROZNIK LWOWSKI MA 20 LAT

12 września br. odbyła się w siedzibie Muzeum Niepodległości w Warszawie uroczystość jubileuszu 20-lecia „Rocznika Lwowskiego”, wydawanego przez Instytut Lwowski, prowadzony przez red. Janusza Wasylkowskiego wraz z gronem współpracowników: Oskarem St. Czarnikiem, Andrzejem Mierzejewskim i Krzysztofem Smolaną. Wszyscy wymienieni zostali uhonorowani przez marszałka Województwa Mazowieckiego odznaczeniami, w tym: J. Wasylkowski – Srebrnym Medalem *Gloria Artis*, pozostali współredaktorzy – odznakami honorowymi *Zasłużony dla Kultury*.

Uroczystość miała niezwykle sympatyczny charakter. Po stosownych przemówieniach, członkowie ILw opowiadali o swojej pracy i osiągnięciach, o życiu i rodzinach.

Tłumnie zgromadzona publiczność przyjmowała niezwykle ciepło wszystkie wypowiedzi, przede wszystkim samego Janusza Wasylkowskiego, dobrze znanego jako głównego twórcę najlepszego czasopisma kresowego w kraju (co często w CL podkreślamy!) oraz autora szeregu tomików poetyckich i opracowań o historii kultury Lwowa.



### Kronika

◆ 15 lipca minęła 135. rocznica śmierci Aleksandra Fredry. Urodził się w 1799 r. w Surowicach pod Jarosławem, zmarł w 1876 r. we Lwowie.

Długi i ciekawy artykuł poświęcił bytemu żołnierzowi napoleońskiemu i ojcu komedii polskiej w dniu rocznicy krakowski „Dziennik Polski” (autor M. Wilk).

Mało wiemy o działalności Fredry na polu polityki. Oto w 1844 r. ogłosił memoriał, w którym proponował: ■ gwarancję samorządności dla Sejmu Galicyjskiego i Wydziału Stanowego; ■ zaprowadzenie języka pol-

skiego w szkołach i urzędach; ■ rozluźnienie cenzury, aby opinia społeczna uczyła się swobodnie kształtować; ■ utworzenie komisji do rozwiązywania kwestii włościańskiej.

Jako deputat Wydziału Stanowego od 1835 r. – postulował:

- starania o założenie w Galicji Towarzystwa Kredytowego;
- opiekę nad Zakładem Narodowym im. Ossolińskich oraz teatru polskiego we Lwowie;
- rozwinięcie kolei żelaznej.

Zaangażował się szczególnie w tę ostatnią sprawę. Wraz z Leonem Sapiehą proponowali przedłużenie kolei żelaznej od Bochni (do której wtedy kolej dochodziła od zachodu, podobnie jak dziś autostrada!), przez Lwów aż do Brzeżan.

Aleksander Fredro pragnął być pochowany po śmierci we Lwowie, a nie w swym majątku w Rudkach. Rodzina jednak zdecydowała inaczej. Może wyczuł, że jego grób zostanie tam po kilkudziesięciu latach zbezczeszczonej przez miejscowych czy zamieszczonej wandalami?

### Ucrainica

■ Ukraińska gazeta „Wysoki Zamok” ukazująca się we Lwowie (z 2 VI '11) podniosła problem ksiązek z Ossolineum, które zostały złożone w kościele Jezuitów św. Piotra i Pawła we Lwowie za czasów sowieckich i pozostają tam nadal (tam właśnie złożono najbogatszy zbiór polskiej prasy, która w ciągu kilkudziesięciu lat osiągnęła fatalny stan zniszczenia, ponieważ z dziurawych dachów lała się w ciągu lat woda deszczowa). Ostatnio władze mają zamiar przystąpić do remontu świątyni (zabranej na cerkiew) i żądają usunięcia księgozbiorów. Najcenniejsze egzemplarze mają być podobno przewiezione do jakiegoś kina (!), pozostałe do jadalni (!) w byłych koszarach przy ul. Awiacyjnej (?). Jacyś sponsorzy z Francji i Niemiec obiecali przyznać 8 milionów euro na remont tego kościoła.

Tak to na naszych oczach nadal ulegają zniszczeniu skarby naszej kultury – im do niczego nie potrzebne. Efekt widoczny, ale nie oddadzą!

Przypomnijmy, że kościół Jezuitów obok pl. św. Ducha powstawał w ciągu XVII wieku, a po wtórnie, po pożarze, w XVIII w. Miał barokowe ołtarze, rokokowe organy.

# Książki czasopisma

## Nowe książki

📖 Zaczynamy od pozycji, która staje się 11. tomem Biblioteki „Cracovia-Leopolis”, i zarazem tomem 1. Biblioteki Historycznej Śląskiej Izby Lekarskiej, a jest nią książka, która udostępnia naszej pamięci i uczuciom powrót do Lwowa czasów trudnych II wojny. Ma tylko 130 stron i jest oszczędna jeżeli chodzi o obfitość szczegółów, jest jednak celną, zwięzłą relacją o tragicznej rzeczywistości okupacyjnej miasta – niemieckiej i sowieckiej pierwszego i drugiego rzutu.

**Lwów w czasach trudnych. Notatki naoczno-świadka** pióra **Tadeusza Ceypka**, (Kraków-Katowice 2011). Warto pochwalić inicjatywę i opracowanie redakcyjne pp. Barbary Szumskiej i Anny Stengl. Obie panie notatki autora – jak napisały we wstępie – *w imię zachowania autentyczności* wiernie przepisały, a także dopełniły jego *curriculum vitae*, do którego – przy szacunku dla ich pracy – dorzucam kilka szczegółów, związanych ze Lwowem.

Profesor Tadeusz Ceypek, lekarz otolaryngolog, był synem Tadeusza, prawnika, wiceprezesa Lwowskiej Izby Skarbowej, i Kazimierzy z Malawskich, absolwentem znanego VIII Gimnazjum im. króla Kazimierza Wk. we Lwowie. W latach 1918–1923 należał do Harcerstwa, w czasie studiów na Wydziale Lekarskim UJK był członkiem korporacji studentów medycyny „Obotritia”. W roku akademickim 1938–39 pracował jako otolaryngolog w Opiece Zdrowotnej lwowskich szkół akademickich. W czasie okupacji niemieckiej pracował też w Polskim Komitecie Opiekuńczym dla polskiej ludności Lwowa, również przyjmował chorych we własnym mieszkaniu przy ul. Tarnowskiego.



lecz już w 1702 został zajęty przez Kozaków. Od 1663 należał do Zamoyskich, pod ich rządami rozwijał się jako ośrodek rzemiosła i handlu. W czasach zaboru rosyjskiego miasto nazwano *Proskurow*. Po I wojnie światowej wbrew postulatam przyłączenia miasta do RP (przewaga ludności polskiej), pozostał po stronie sowieckiej. W 1954 r., w 300. rocznicę zawarcia traktatu w Perejasławiu między państwem kozackim pod przywództwem Bohdana Chmielnickiego a Moskwą (w 1654 r.), nadano miastu nazwę *Chmielnicki*. Na miejscu zniszczonego w XVII-wiecznych bojach zamku w 1801 r. wybudowano kościół św. Anny. W 1926 z cegły pochodzącej z rozebranej przez Sowieków świątyni wzniesiono kaplicę cmentarną; zamknięta w 1940 r., w latach 1987–88 została rozbudowana w kościół. Dzielnica P. – Greczany jest do dziś enklawą potomków Mazurów, zesłanych tu za nieposłuszeństwo przez Zygmunta Augusta.

### WINNICA

**Położenie.** Miasto w dawnym wojew. braclawskim (na pn.wsch. od Kamieńca Pod., obecnie stolica obw. winnickiego, ok. 370 tys. mieszk.) na wschodnim Podolu, usytuowane na skalistych brzegach nad rzeką Boh.

**Historia.** W 1363 miejscowość wzmiankowana jako forteca (własność Koriatowiczów). Lokacja w XV lub na początku XVI w. W 1569 miasto przyłączone do Korony Polskiej. W I Rzeczypospolitej było faktyczną stolicą wojew. braclawskiego. Od 1589 w W. odbywały się sejmiki, sądy grodzkie i ziemskie. W 1610 sprowadzono jezuitów, którzy obok działalności misyjnej, prowadzili gimnazjum i bursę dla ubogich. Do rozwoju miasta przyczynili się również dominikanie, sprowadzeni w 1. połowie XVII w. Ulokowaną na szlaku kuczmańskim W. wielokrotnie napadali Kozacy i Tatarzy, w 1648 została przez nich spalona. Po traktacie buczackim trafiła w ręce Turków. Wskutek zaborów przeszła pod panowanie Rosji, wciąż jednak stanowiła żywy ośrodek kultury polskiej: w 1803 utworzono gimnazjum pod patronatem Uniwersytetu Wileńskiego, w 1835 – Instytut Muzyczny. Pożar w 1817 zniszczył miasto, które wyraźnie odrodziło się 1871. Po I wojnie – rządzona przez sowieków – była nadal dużym skupiskiem Polaków, w latach 30. i 40. w większości deportowanych na rozkaz Stalina. W czasie okupacji niemieckiej, ok. 10 km na pn. od Winnicy (w Strzyżawce), mieściła się kwatery polowa Hitlera i siedziba sztabu Goeringa. W. i jej okolice były także miejscem akcji masowego rozstrzeliwania ludności żydowskiej przez Niemców, w wyniku której wymordowano do 28 tys. osób, w tym praktycznie całą żydowską populację miasta.

Działal w ruchu oporu w ZWZ i AK. O jego działalności w AK w notatkach nie ma formalnego potwierdzenia, ale wyraźnie sugeruje to informacja (s. 62), że w 1942 r. przekazał łączniczce wiadomość o nowej broni produkowanej przez Niemcy.

Jako naoczny świadek losów Lwowa 1939–1946 potrafił w sposób zwięzły, sumaryczny, ale nie omijający szczegółów, gdy było to celowe, przedstawić tragiczną codzienność okupacji niemieckiej i sowieckiej miasta. Z poza zwięzłości tych notatek pojawia się obraz miasta, którego duchowa i cywilizacyjna struktura oraz kształt są przez obu okupantów, lecz w zróżnicowanych metodach działania, niszczone. Azjatyckość żołnierzy Czerwonej Armii w 1939 r. kreśli autor w kilku zdaniach: na głowie szpiczasta czapka z nausznikami i czerwoną gwiazdą, karabiny na sznurach, płaszcz długi brudnoszarobrazowy na dole postrzępiony, gęba kałmucka – oto obraz tej armii. Jest lekarzem, więc dodaje, że byli zmęczeni i zabiedzeni.

Autor pracował przez cały okres okupacyjny jako lekarz, więc jego relacje są cenne dla historyków badających udział lekarzy w ruchu oporu, którzy zapewniali pomoc medyczną i sanitarną polskiej, a także żydowskiej ludności i zdemobilizowanym żołnierzom, a także partyzantom polskim. Autor dość szczegółowo przedstawił działalność utworzonych przez Niemcy „Staatliche Medizinisch-Naturwissenschaftliche Fach-Kurse”, funkcjonujące od kwietnia 1942 do marca 1944 r., gdzie dla studentów-Polaków, jak napisał *...zorganizowaliśmy po cichu dodatkowe zajęcia wedle polskiego przedwojennego programu, ponieważ obecny był skrócony* (s. 55).

Autor oskarża Ukraińców o bestialskie mordy Polaków na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej; młodych członków Ukrainische Hilfpolizei o polowania uliczne na Żydów, a także ich wspólne z Gestapo przeszukiwania w tym celu prywatnych mieszkań, podając przykład z ul. Tarnowskiego. Opisuje szczegółowo dwa przypadki okrutnie okaleczonych Polaków przez Ukraińców, przywiezionych do Lwowa i leczonych w klinice, gdzie pracował. Stwierdza, że Ukraińcom chodziło o zupełną i bezwzględną depolonizację ziem na wschód od Bugu i Sanu (s. 62 i 68), a Niemcy im w tym nie

przeszkadzali. Autor wspomina, że dwa razy był w lwowskim getcie u chorych, do którego go stosunkowo łatwo przeprowadzono późną jesienią 1941 r., ale nie informuje, czy była to jego inicjatywa, czy polecenie podziemia (s. 60).

Cenne notatki Tadeusza Ceypka mówią o obliczu ponurej codziennej rzeczywistości okupacyjnej Lwowa. Dla czytelników pragnących poznać całościowy sumaryczny obraz tamtych czasów warto tę książkę włączyć do swojej biblioteki. (DN)

📖 Pojawiło się niezwykle dzieło historyczne, będące źródłowym dokumentem dramatu, jaki dotknął ludność polską na Ziemiach Wschodnich po agresji sowieckiej w 1939 r. i latach następnych. Oto Koło Sybiraków w Bystrzycy Kłodzkiej wydało (2008) dwa opasłe tomy **Wspomnień Sybiraków** (razem prawie 1300 stron zapisanych drobnym drukiem), zawierających 111 relacji z deportacji, pobytu w miejscach zsyłki i powrotu do powojennej Polski.

Animatorem i głównym redaktorem dzieła stał się **Jerzy Kobryń**, wywieziony z rodziną jako ośmioletni chłopiec z Polesia do obwodu archangielskiego. Szczęśliwsze losy rzuciły go po latach na Dolny Śląsk i tu, obok pracy pedagogicznej w Bystrzycy Kłodzkiej, rozpoczął gromadzenie materiałów dotyczących deportowanych do ZSRR Polaków. Książkę uzupełnia sporo zdjęć z lat spędzonych w Rosji i powojennych.

Lektura książki jest przygnębiająca, choć niezwykle ciekawa i w sumie warta podjęcia. Opiswane sytuacje są nam na ogół z wielu relacji – choć powierzchownie – znane, tu natomiast wchodzimy w szczegółowe ciągi wydarzeń i ludzkich zachowań, rzadko w normalnym życiu spotykanych, zadziwiające swoistą, złowrogą egzotyką, często przerażające. Dowiadujemy się wiele o stosunkach, najpierw między Polakami a Ukraińcami, potem między Polakami a mieszkańcami Związku Sowieckiego: Rosjanami – zwykłymi i NKWDzistami – Kazachami, także Ukraińcami, ale już w innych układach międzyludzkich. Także o wyko-





nywanych pracach i zarobkach mężczyzn, kobiet, starszych dzieci.

Przewijającym się tematem są podróże, które przeżywali deportowani – w tamtą stronę i trafiające się przemieszczenia, a w końcu powrotne. Ludziom, którzy tego nie przeżyli, trudno wyobrazić sobie umiarkowanie w bydłych wagonach starców, chorych, małych dzieci, a potem pozostawianie ich na przypadkowych postojach...

*Fragment wspomnień, patrz s. 62–63.*

📖 Muzeum Niepodległości w Warszawie prowadzi chwalebna działalność wydawnicza, publikując kolejne tomy „Zasopisma muzealno-historycznego” pod wspólnym tytułem *Niepodległość i Pamięć*. W r. 2008 ukazał się dwutomowy zbiór tekstów pt. **Z dziejów Wołynia** oraz **Dziedzictwo Wołynia**. Do dzieła zaproszono 21 autorów.

W pierwszym tomie omówiono historię od średniowiecza po czasy współczesne. Zaciekały nas szczególnie dwa teksty o ówczesnych najwyższych warstwach społecznych: pierwszy o wołyńskich rodach książęcych, które jeszcze przed powstaniem Rzeczypospolitej Obojga Narodów (Unia Lubelska 1569) były całkowicie rodzinie przemieszane – rusko-litewsko-polskie – zmierzając jednak do pełnej polskości. O spolonizowanym ziemiaństwie wołyńskim w XIX w. czytamy w drugim z tych tekstów. Mowa dalej o powstaniach narodowych, o Legionach, o osadnictwie i modernizacji w XX-leciu i problemach polsko-ukraińskich. Ostatnie teksty dotyczą II wojny i kolejnych okupacji po dzień dzisiejszy.

Drugi tom traktuje o kulturze, a więc przede wszystkim seria rozdziałów o Krzemieniu. Mowa także o tematyce wołyńskiej w naszej literaturze i sztuce, o wielkich nazwiskach z tym związanych. Nie brak tematyki muzycznej, muzeologicznej, architektury i ochrony zabytków przed II wojną i w ostatnich czasach. Na koniec relacja o polskich stowarzyszeniach i organizacjach na Wołyniu.

W obu tomach dużo ilustracji, zarówno starych reprodukcji, jak i współczesnych fotografii miejsc i ludzi.

📖 Niektórzy Czytelnicy pamiętają zapewne kilkakrotne omówienia na naszych łamach skromnego (zewnątrznie) periodyku\* historycznego, który już przez lat ponad 20 wyda-

**Zabytki.** Polskie, katolickie zabytki W. stoją blisko siebie, na prawym brzegu Bohu. Są to: dawny zespół klasztorny Jezuitów z 1. połowy XVII w. (w stylu barokowym; po powstaniu listopadowym przejęty przez Cerkiew prawosławną, użytkowany później jako gimnazjum, szpital wojskowy, archiwum, oraz dawny klasztor i kościół Dominikanów z lat 1751–58 w stylu barokowym, zaprojektowany przez P.A. Fontanę (przylega do XVII-wiecznych umocnień miejskich, po kasacie zakonu skonfiskowany, dziś sobór prawosławny). W 1990 odzyskano kościół kapucyński p.w. Matki Boskiej Anielskiej z 1745–61 (styl barokowy), po kasacie carskiej (1888) pełniący funkcje parafialnego, w czasach sowieckich odebrany katolikom (w latach 1936–42 Klub Lotnika, od 1961 Muzeum Ateizmu).

### ŻYTOMIERZ

**Położenie.** Miasto leżące nad rzeką Teterew i jej dopływem – Kamionką, w dawnym wojew. kijowskim (na zach. od Kijowa, obecnie stolica obw. żytomierskiego, ok. 280 tys. mieszk.).

**Historia.** Założone w 2. połowie IX w., pierwotnie osada słowiańskich Drevlan, potem we władaniu Rusi Kijowskiej, następnie książąt halicko-włodzimierskich. W 1320 r. zdobyte przez Giedymina i włączone do Wielkiego Księstwa Litewskiego. Prawo magdeburskie i przywilej swobodnego handlu z Gdańskiem nadał miastu (pustoszonemu przez najazdy tatarskie) w 1444 r. król Kazimierz Jagiellończyk. W XVI w. wybudowano zamek obronny, który jednak nie ochronił miasta przed zniszczeniami przez Tatarów. W 1569 Ż. wraz z całą południową częścią Wielkiego Księstwa Litewskiego wszedł w skład Korony; stał się stolicą starostwa grodowego i miejscem sejmików szlacheckich. Kolejne przywileje nadali miastu Stefan Batory i Zygmunt III Waza. Upadek miasta rozpoczął się w 1648 podczas powstania Chmielnickiego; Kozacy zdobyli zamek i zniszczyli miasto. Odbudowane w 1686 stało się stolicą wojew. kijowskiego, a na początku XVIII w. siedzibą biskupstwa. Po II rozbiore Żytomierz przyłączono do Rosji (początkowo jako powiatowe, później stolica guberni wołyńskiej (do 1918). Podczas zaborów było ważnym ośrodkiem polskości na Kresach (w 1858 z inicjatywy J.I. Kraszewskiego powstał teatr, przez niego przez pewien czas kierowany, biblioteka i seminarium duchowne). Pod koniec XIX w. silnie rozwijał się przemysł przetwórczy i piwowarski. Po kończącej wojnę polsko-bolszewicką pokoju ryskim (1921), miasto pozostało w granicach Rosji sowieckiej, pozostawiając znaczną część tamt. Polaków poza granicą Rzeczypospolitej. Wielu żyjących w skupiskach wokół Ż. została na rozkaz Stalina wywieziona do

wany jest w Oddziale Krakowskim TMLiKPW w opracowaniu **prof. Jerzego Kowalczuka**, pod dwoma kolejnymi tytułami: od 1989 do 2003 jako „Informacje”, potem, od 2003 do dziś – „ul.\*\* Na Bajkach”. Łącznie ukazało się dotąd 255 zeszytów wydawnictwa\*\*\*.

Pismo (czy raczej pismo, bo małego formatu i nie przekraczające kilku do kilkunastu stron, o nakładzie ok. 60 egzemplarzy, nie jest – mimo bogatej, wartościowej zawartości, o czym niżej – dość znane w środowisku ekspatrianckim, do którego jest w istocie kierowane. Trafia do niektórych zarządów oddziałów TMLiKPW, do kilku bibliotek, do parunastu bardziej aktywnych działaczy. Dodatkową trudność stwarza dość skomplikowany układ (niepotrzebne dzielenie artykułów na kilka numerów i niezbyt zrozumiały system numeracji). Innymi mankamentami są brak dobrych ilustracji i kompozycji graficznej, ale to już rezultaty możliwości finansowych i technicznych. W sumie – odbiór raczej ograniczony.

Szersze omówienie tego periodyku zamieściliśmy po raz pierwszy we wczesnym jego (i naszym) okresie, w CL 4/96. W ciągu więc minionych lat piętnastu mieliśmy okazję obserwować dalszy jego rozwój i pojawianie się coraz to nowych autorów i tekstów. Profesor Kowalczuk sięgał do znanych sobie osób: lwowskich ludzi nauki i kultury, dawnych znajomych i kolegów, członków TMLiKPW, a nawet członków własnej rodziny, jeżeli pozostawili jakieś wartościowe materiały. Wszystko to dało niezwykle wartościowy zbiór materiałów źródłowych. Czy miałyby to więc pozostać w magazynach kilku dużych bibliotek – bo to nie książki – i w kilku czy kilkunastu biblioteczkach w domach prywatnych?

I oto zaskoczenie, gdy prof. Kowalczuk zdecydował się ogłosić zawartość (nieco ograniczoną) owych 255 zeszytów w formie książkowej, w trzech tomach pod wspólnym tytułem **Lwów i Lwowanie. Pamiętniki, wspomnienia, relacje** (Kraków 2011). Ogółem teksty liczą prawie 1500 stron druku (w formacie A5), niestety z nielicznymi i również nienajlepszymi technicznie ilustracjami. Trzeba od razu wyjaśnić, że owe tomy nie zostały wydane drukiem w dużym nakładzie, lecz wykonane za pomocą wydruku komputerowego w niewielkiej liczbie egzemplarzy. Tym samym nadal pozostaje ograniczona dostępność tekstów dla szerszego odbiorcy. Jesteśmy więc dopiero w połowie drogi do

ideału, jakim byłaby edycja 3 tomów w klasycznym rozumieniu.

Wydanie w całkiem innej formie dorobku wcześniejszego pisma musiało spowodować daleko idące przemodelowanie jego zawartości – niezależnie od czasu i kolejności napływu materiałów, co oczywiście wyszło mu na dobre. Ujawniły się przy tej okazji niezwykle wartościowe i ciekawe materiały, które zostały ułożone – choć nie do końca konsekwentnie – w cykle tematyczne. Jakaś liczba tekstów z poprzedniego pisma została wyeliminowana (niektórych szkoda, jeśli były oryginalne!) – można się o tym dowiedzieć ze spisu treści, zamieszczonego we wstępie do nowego wydawnictwa (t. I, str. 11–18).

Artykuły mogą być uporządkowane na różne sposoby; konsekwentnie tematyczny – albo „antytematyczny”. Oczywiście takich pomysłów może być wiele – przykładami niech będą *Rocznik Lwowski* lub *Tamten Lwów* Szolcini, a może nawet nasze trzy tomiki antologii z Biblioteki CL? Redaktor wprowadził 6 grup: w tomie I – artykuły publicystyczne; dokumenty przeszłości; w tomie II – miscellanea; pamiętniki, wspomnienia; w tomie III – c.d. pamiętniki, wspomnienia; studia, rozprawy; sylwetki zasłużonych.

Dla pełniejszej informacji dla Czytelników przedstawiamy wedle własnego porządku teksty, jakie znaleźliśmy w omawianych książkach:

1. Artykuły publicystyczne o Lwowie przedwojennym, wojennym i powojennym;
2. Materiały historyczne;
- 3a. Relacje i wspomnienia o Obronie Lwowa 1918, Legionach;
- 3b. Relacje i wspomnienia o II wojnie i deportacjach;
4. Seria artykułów i wspomnień ze szkół lwowskich wszelkich typów: III, IV i XI Gimnazjum, szkoły Kistryna, Sacre Coeur, Strzałkowskiej, Mickiewicza, Słowackiego, Kolegium oo. Reformatów, Korpusu Kadetów, Szkoły Przemysłowej, Politechniki.
- 5a. Biografie różnych osób publicznych;
- 5b. Biografie działaczy TMLiKPW;
6. Artykuły o życiu naukowym we Lwowie;
7. Artykuły o życiu muzycznym Lwowa;
- 8a. Wspomnienia z przedwojennych wakacji i turystyki;
- 8b. Relacje z wycieczek poza wschodni kordon w latach powojennych.

**A więc, Profesorze, trzeba szukać wydawców!**

- \* Unikamy słowa *biuletyn* stosowanego przez Autora, jako określenia nietrafnego i obniżającego wartość wydawnictwa.
- \*\* W tytule nie powinien występować skrót, lecz pełny wyraz *ulica*.
- \*\*\* Szersze omówienie tego periodyku zamieściliśmy we wczesnym jego (i naszym) okresie, w CL 4/96.

📖 **Dr Tadeusz Kukiz**, który nadesłał nam swoją najnowszą książkę, zarzeka się, dzieło to zamyka Jego działalność historyczno-pisarską. Jak pamiętamy, książkę napisał wcześniej jedenaście, a wszystkie omawialiśmy na naszych łamach – ostatnio tę o Kukizowie, w CL 1/11\*. Tytuł nowej pracy brzmi: **Kukizowscy i Kukizowie. Poszukiwanie rodowego gniazda** (Wrocław 2011).

Wielka wartość tej książki polega na dwóch zawartych w niej wątkach. Pierwszy dotyczy dociekań i ustaleń co do pochodzenia nazwiska i związanego z nim rodu – wątek ten został rozpoczęty w wymienionej wyżej książce o Kukizowie, tu jest dalej rozwijany. Omawiane są kolejne miejscowości, w których żyły gałęzie rodu Kukizów, a także ród Kukizowskich herbu

Korczak, związane z rodziną Herburtów. Występuje poza tym pewna liczba nazwisk podobnych, jakby zniekształconych: Kukis, Kukisz, Kukiż. Ich wzajemne powiązania są dość skomplikowane, należy więc podziwiać Autora, któremu w jakimś stopniu udało się te parantele rozwikłać, choć zapewne nie do końca.

Drugi wątek książki, to Kukizowie współcześni. Autor, nie bez trudu zapewne, nawiązał kontakty z rodzinami o tym nazwisku, wywodzących się dziś – poza samym Kukizowem – ze Lwowa, z nieodległych miejscowości Lubycza, Uhnów, Mosty Wielkie. Znaleźli się też Kukizowie w różnych regionach dzisiejszej RP, a ponadto w Ameryce, w Niemczech...

To ogromna praca naukowa, ale myliłby się ten, kto *a priori* uważałby ją za nudną, przeznaczoną tylko dla specjalnie zainteresowanych lub fachowców. Sposób pisania Doktora Tadeusza jest szczególnie, przetyka-

Kazachstanu. Obecnie miasto jest jednym z ośrodków odradzającego się życia społecznego i religijnego Polaków mieszkających na Ukrainie. Mieszka tu wiele tysięcy Polaków (największe skupisko Polaków na terenie całej obecnej Ukrainy).

**Zabytki.** O polskiej przeszłości miasta mówią budowle sakralne i inne, a to: katolicka katedra św. Zofii (z lat 1737–46, przebudowana w 1801–05), obok neobarokowy pałac biskupi z 1. poł. XIX w. (tu zbiory Muzeum Krajoznawczego oraz kolekcja malarstwa europejskiego, pochodząca głównie ze zniszczonych siedzib magnackich), pobernardyński kościół św. Jana z Dukli zw. seminaryjnym (z 1828–41, w latach 30. XX w. zamieniony przez władze sowieckie na dom kultury, zrujnowany wrócił do wiernych w 1990), a także cmentarz katolicki, druga – po Łyczakowie – co do wielkości i znaczenia nekropolia polska na obecnej Ukrainie.

W Kuryłówce k. Żytomierza urodził się w 1860 r. Ignacy Jan Paderewski.

Hasła opracowała Anna Stengl

ŹRÓDŁA:

*Encyklopedia Kresów*, Kraków 2005.

A. Górską, *Kresy. Przewodnik*, 2005

Dane zawarte na stronach internetowych

## ERRATA

W CL 2/11, w artykule o Siostrach Miłosierdzia na str. 25 podano błędnie nazwisko Autorki: ma być s. Adolfiną **Dzierżak**, a nie **Dzierżek**. Siostrę Adolfinę przepraszamy.

W tym samym CL 2/11 na str. 41 (lewa szpalta) napisano, że Krynica leży w powiecie *muszyńskim*. To nieprawda, chodzi o powiat **nowosądecki**.

Wśród kilku błędów w numerze CL 3/11, ten na str. 5 – w tytule wspomnienia o śp. Władzie Majewskiej – żenuje nas najbardziej. Wiemy dobrze, że Pani Włada urodziła się w **1911 r.** – zmarła mając 100 lat. Tymczasem w tytule znalazł się rok **1921!** I zaraz poniżej prawidłowo: 1911.

Bijemy się w piersi – przepraszamy!

Na str. 34 (lewa szpalta) podano błędnie imię Pana Kwaśniewskiego. Ma być **Stanisław**, a nie **Adam**.

Na str. 61 (lewa szpalta) w artykule o Archiwum Blicharskich podano błędnie imię poety Kasprowicza (TMLiKPW Bytom): ma być **Bogdan Stanisław**, a nie **Bronisław**.



ny uwagami całkiem osobistymi, anegdota, wierszem. Historię objaśniają dodatkowo tablice genealogiczne, ubarwia duża liczba zdjęć ludzi, miejsc i wydarzeń.

Reasumując, nie tylko owa ostatnia (?) książka dra Kukiza, lecz cały cykl Jego prac poświęconych nazwisku, rodzinie i jej siedzibom, staje się ważnym ogniwem w historii Małopolski Wschodniej, ponieważ wyjaśnia tworzenie się społeczności polskiej na tamtej ziemi od średniowiecza.

\* W notce o tamtej książce pominieliśmy jej oficjalny (wytluszczony) tytuł oraz miejsce i rok wydania: Wrocław 2010. Przepraszamy Autora i Czytelników.



TADEUSZ KUKIZ urodził się w 1932 r. w Tarnopolu i tam w dzieciństwie mieszkał. 10 kwietnia 1940 r. jego ojciec, funkcjonariusz Policji Państwowej został aresztowany przez NKWD i 26 czerwca 1941 r. zamordowany w więzieniu Brygidki we Lwowie. Rodzina depor-

towana do północno-wschodniego Kazachstanu, powróciła do kraju w 1946 r. i zamieszkała na Śląsku Opolskim.

Szkołę średnią ukończył w Prudniku, w latach 1951–57 studiował medycynę (Uniwersytet w Ołomuńcu, Akademii Medycznej w Zabrzu, Lublinie i Warszawie). Prawie trzydzieści lat prowadził oddział chorób wewnętrznych w Niemodlinie i kierował tamtejszym Kołem Polskiego Towarzystwa Lekarskiego; ogłosił kilkanaście artykułów w profesjonalnej prasie medycznej.

Od początku działalności Związku Sybiraków oraz Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich współpracował w pracach organizacyjnych. Od kilkunastu lat popularyzuje historię i kulturę Kresów na łamach czasopism i w radiu. Szczególnie wiele starań włożył w zgromadzenie materiałów i opisanie losów kresowych obrazów sakralnych przywiezionych po II wojnie światowej do Polski w nowych granicach. Płodem tej pracy są liczne artykuły w prasie krajowej i emigracyjnej oraz seria sześciu książek pod wspólnym tytułem *Madonny Kresowe i inne obrazy sakralne z Kresów* wydana w latach 1997–2002, a także tom *Wołyńskie Madonny* (1998).

Zamierzeniem Tadeusza Kukiza było też opracowanie historii kresowych miejscowości, z którymi związana jest jego rodzina. [o pięciu książkach na ten temat pisaliśmy w kilku numerach CL, a także powyżej]

📖 W wydawnictwie Biblioteki „Wołanie z Wołynia” (jako 63. tom) w 2009 r. ukazała się książka: **Jan Fitzke – Z Wołynia 1936–1939** – fragmenty spuścizny piśmienniczej – zebrane i opracowane przez Andrzeja Gaczoła i ks. Witolda Józefa Kowalowa. Zasadniczym celem publikacji jest przekazanie współczesnemu czytelnikowi dorobku piśmienniczego i badawczego Jana Fitzke, archeologa, muzealnika, naukowca, absolwenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, pracującego w latach 1936–1939 w Łucku na Wołyniu.

Podstawowa część książki byłaby dla niefachowców mało zrozumiała bez obszernych objaśnień na początku i na końcu: wstępu ks. W. J. Kowalowa, rozdziałów A. Gaczoła z obszerną biografią Jana Fitzkego (1909–1940), wspomnieniowych artykułów muzealników ukraińskich oraz na końcu aneksu o uroczystościach w Łucku w maju 2009 r. Praca podzielona jest na kilka rozdziałów tematycznych, teksty opatrzone są odnośnikami podającymi źródła i objaśnienia, zawiera 91 ilustracji fotograficznych.

Jan Fitzke urodził się w 1909 r. w Gdowie, kształcił się w Krakowie w II Państwowym Liceum św. Jacka i na Uniwersytecie Jagiellońskim, studiując antropologię i prehistorię na Wydziale Filozoficznym. Magisterium uzyskał w grudniu 1932 r. Po studiach w latach 1933–1936 pracował dorywczo lub prowadził własne badania archeologiczne jako wolontariusz w rejonie Krakowa, a także w Wielkopolsce i koło Łodzi. Wyniki prac publikował. Aby mieć stałą pracę i wspomagać finansowo rodzinę, podjął pracę w Muzeum Wołyńskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Łucku, którego na początku 1937 r. został kierownikiem. Wkrótce doprowadził Muzeum do grona przodujących placówek na ówczesnych Kresach Wschodnich RP, a sam stał się niezapomnianym i szanowanym do dzisiaj badaczem przeszłości Wołynia. Z właściwą sobie pasją poznawczą prowadził badania archeologiczne na terenie Wołynia opisując szczegółowo każde odkrycie i publikując wyniki w prasie codziennej, popularno-naukowej i periodykach naukowych – m.in. w sławnym krakowskim Ilustrowanym Kurierze Codziennym. W omawianej książce przedrukowano 29 jego artykułów (wraz z rysunkami i szkicami) pogrupowanych w 3 rozdziałach:

- archeologia (16);
- muzealnictwo (9);
- historia i krajoznawstwo (4).


Jest to bogaty dorobek naukowy, pionierski na wołyńskim terenie, rokujący wspaniałą karierę młodego naukowca. Niestety po trzech latach przyszłość przerwana została przez wybuch II wojny i wkroczenie Armii Czerwonej do Polski. Jan Fitzke jako podporucznik WP dostał się do niewoli, znalazł się w obozie w Kozielsku, a następnie podzielił los oficerów zamordowanych w Katyniu. 19 czerwca 1943 r. „Goniec Krakowski” wymienił go pod numerem 2482.

W osobnym rozdziale omawianej książki zamieszczono listy J. Fitzkego z Łucka do rodziny w Wieliczce oraz do dra Tadeusza Reymana w Muzeum Archeologicznym w Krakowie, a także jedyny ostatni list do rodziny z Kozielska. Korespondencja z Krakowem względnie Wieliczką wskazuje na bardzo silne związki emocjonalne autora ze środowiskiem, z którego wyszedł, do którego tęsknił i nie zerwał kontaktów.

Ostatni rozdział w publikacji (aneks) jest sprawozdaniem z uroczystości 80-lecia Wołyńskiego Muzeum Krajoznawczego w Łucku i odsłonięcia tablicy pamiątkowej Jana Fitzke na budynku Muzeum. Uroczystość i sesja naukowa w dniach 18–20.05.2009 r. były zorganizowane przez obecnych ukraińskich pracowników Muzeum, ceniących wkład naukowy i organizacyjny swego poprzednika. Do współpracy i uczestnictwa w uroczystościach zaproszona była rodzina z Krakowa: bratankowie i siostrzeniec p. Andrzej Gaczoł.

Książkę „Z Wołynia 1936–1939” warto polecać także jako źródło dodatkowych informacji o ludziach pracujących na Kresach, a zajmujących się historią i archeologią.

DTS

 Literatura historyczna o dziejach Kościoła katolickiego na Kresach Południowo-Wschodniej Rzeczypospolitej wzbogaciła się o bezcenną wprost pozycję. Jest to praca Księdza Infułata **Teofila Skalskiego** pt. **Terror i cierpienie. Kościół katolicki na Ukrainie 1900–1932. Wspomnienia** (Lublin-Rzym-Lwów 1995). Jej autor był początkowo wykładowcą kilku dyscyplin liturgicznych w Seminarium Duchownym w Żytomierzu, później proboszczem kościoła św. Aleksan-

dra w Kijowie, a wreszcie administratorem apostolskim diecezji żytomierskiej w granicach państwa sowieckiego po 1921 r. Aresztowany w 1926 r. pod zarzutem szpiegostwa i działań kontrrewolucyjnych został osadzony w więzieniu w Kijowie, skąd przewieziono go na Butyrki do Moskwy. Tam w 1928 r. zaaranżowano proces poszlakowy, mający na celu zdyskredytowanie polskiego duchowieństwa katolickiego odciętego kordonami traktatu ryskiego 1921 r. od Ojczyzny oraz polskich placówek dyplomatycznych na Ukrainie sowieckiej. W mowie oskarżycielskiej prokurator domagał się dla ks. Skalskiego kary śmierci; ostatecznie wyrok złagodniono do kary 10 lat ścisłej izolacji więziennej, konfiskaty mienia i utraty praw obywatelskich na okres 5 lat po wyjściu na wolność. Osadzony w więzieniu na Butyrkach, a później w „politizolatorze” w Jarosławiu nad Wołgą, uzyskał wolność w 1932 r. na mocy wymiany polsko-sowieckiej więźniów politycznych. Po powrocie do kraju ks. Skalski pracował do 1939 r. w Łucku, a po II wojnie światowej w Mszanie Dolnej k. Rabki (archidiecezja krakowska), gdzie zmarł w 1958 r.

Praca ks. Skalskiego pisana wprawdzie ex post odznacza się wieloma walorami historyczno-dokumentalnymi. Przede wszystkim jest ona niezwykle wnikliwym zapisem narodzin *nowego porządku* rewolucyjnego, a co się z tym nierozłącznie wiąże świadectwem zagłady struktur społeczno-religijnych diecezji łucko-żytomierskiej oraz kamieniecko-podolskiej. Na kartach książki jawią się dziesiątki postaci duchowieństwa i katolików świeckich, których dramatyczna walka o wytrwanie przy wierze, beznadziejne niekiedy wręcz wysiłki o zachowanie przed profanacją przez rozjuszone hordy bolszewickie katolickich świątyń, czy wreszcie upominanie się o prawo do ojczystego języka i kultury w nowej rzeczywistości postrewolucyjnej, zostały ukazane przez autora w mistrzowskim wprost ujęciu. Szerzące się represje, ferowane wyroki do łagrów i więzień bez nadziei na uwolnienie stamtąd kiedykolwiek, zagłada bezcennych dóbr architektury i sztuki sakralnej oraz psychologiczne studium duszy funkcjonariuszy *nowej władzy* – to zarazem główne wątki, ale i walory omawianego dzieła. Miażdżąca machina sowieckiego reżimu nabierająca wprawdzie dopiero rozpędu, ale już nader operatywna i skuteczna spowodowała

wała niemało ran i ciosów w tkance duchowo-religijnej u wielu katolików, ale również w organizmie całego Kościoła za wschodnią polską granicą. Chociaż niektórzy łamali się psychicznie pod ciosami gróźb, szantażu czy wyrafinowanych represji, trzeba z całą odpowiedzialnością za słowa stwierdzić, iż rzeczywistych apostatów było niewiele. Opinia ta dotyczy także szeregów duchowieństwa, szczególnie mocno poddanego procesowi komunistycznej indoktrynacji. Chociaż grono kapłanów z każdym rokiem kurczyło się, wierni przechowywali wartości religijne w rodzinach, świadomi, że wiara i Kościół katolicki są bastionami obrony własnej tożsamości w obliczu ateistycznego komunizmu.

Interesującym wątkiem książki ks. Skalskiego są informacje podane z autopsji o ustanowieniu tajnej administracji kościelnej w Rosji sowieckiej w 1926 r. przez watykańskiego wysłannika bp. Michela d'Herbigny. Mianowani wówczas biskupi oraz administratorzy apostołscy, jak również erygowane nowe jednostki administracji kościelnej miały na celu – krótkotrwałą, jak się okazało, ale owocną – adaptację misji Kościoła do nieznanych dotąd warunków koegzystencji z wojującym ateizmem sowieckim. Niemało też informacji przynosi lektura pracy na temat losów duchowieństwa katolickiego w więzieniach i łagrach sowieckich, a przy tym czytelnik dowiaduje się o analogicznych dziejach hierarchów innych wyznań i religii represjonowanych po 1917 r.

Warto wreszcie wskazać na jeszcze jeden – a jest ich daleko więcej w całym dziele ks. Skalskiego – istotny walor książki, a mianowicie dokumentację niechlubnej roli Żydów w zaprowadzaniu i utrwalaniu nowego

porządku komunistycznego na ogarniętych pożogą rewolucyjną południowo-wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej. Wielokrotne spotkania ks. Skalskiego z nimi dowodziły, że stali oni zawsze u szczytu władzy sowieckiej. Wykazywali się niebywałą gorliwością w niszczeniu nade wszystko ludzi, ale nie gardzili też swoistą metodą miażdżenia wszystkiego – w tym wartości i dóbr religijnych, narodowych i kulturowych – o innej niż sowieckiej proveniencji. Autor książki nie czyni ze swych obserwacji w tej mierze propagandowego użytku – choć i tak pewne koła przywieszają mu etykietkę antysemita – ale z rzetelnością uczciwego historyka przekazuje fakty o jednoznacznej wymowie moralnej. Wątek ten z całą pewnością zasługuje na uwypuklenie, aby prawdziwie historycznej stało się zadość.

Cennym uzupełnieniem całości są aneksy o walorach źródłowych oraz wybór 107 fotografii przeważnie nigdy dotąd nie publikowanych, ukazujących sylwetki duchowieństwa oraz świątynie Podola i Wołynia w większości dziś już nie istniejące, z początków XX stulecia. Umieszczona zaś na wstępie przedmowa arcybiskupa metropolity lwowskiego obrz. łac. prof. dra Mariana Jaworskiego stanowi istotną rekomendację wartości omawianego dzieła. Warto na koniec dodać, iż praca ks. T. Skalskiego inauguruje serię edytorską pt. BIBLIOTEKA ARCHIDIECEZJI LWOWSKIEJ OBRZĄDKU ŁACIŃSKIEGO w ramach Wydawnictwa Bł. Jakuba Strzemię tejże diecezji.

Danuta Nespiak (DN),  
Danuta Trylska-Siekańska (DTS),  
Andrzej Chlipalski

---

## Wertując wydawnictwa

➔ Nowy numer „Zeszytów Tłumackich” (47) przynosi sporo ciekawego materiału. Wśród kilkunastu artykułów trzeba przede wszystkim zwrócić uwagę na *Opowieści z rodzinnego grodu* (tzn. Stanisławowa – Tłumacz leży w tym województwie) Tadeusza Olszańskiego, a także na historię ks. Ro-

mana Dacy, kapelana AK na okręg lwowski (ks. K. Bukowski). Za serce chwyta relacja 15-letniego gimnazjalisty Tomka Czyżyckiego z wycieczki po Ziemiach południowo-wschodnich. Dziękujemy jego Dziadkowi za wprowadzenie wnuka w tematykę kresową.

W numerze dużo doskonałych kolorowych zdjęć.

Tu pozwalamy sobie zasugerować, by wzorem Krakowa podjąć starania o zorganizowanie we Wrocławiu corocznych wyjazdów uczniów

gimnazjów (jeżeli jeszcze do tego nie doszło) na Ziemię Wschodnie od Wileńszczyzny po Karpaty i Kamieniec Podolski. Władze Krakowa zaakceptowały tę ideę i finansowanie.

➔ W najnowszym numerze „**Biuletynu Informacyjnego**” (61) TMLiKPW w Warszawie także sporo interesujących artykułów. Przede wszystkim *Wspomnienie o Władzie Majewskiej* (A. Kocan), o *Kadetach w III Powstaniu Śląskim* (J. Duda), wreszcie o *Odbiciu więźniów ze szpitala przy ul. Zamarstynowskiej w 1943 r.* (R. Piątkowski).

Na marginesie: czy warszawski TML nie chciałby obdarzyć swego pisma wdzięcznym tytułem? Bardziej lwowskim?

➔ Krakowski „Dziennik Polski” z 10 VI '11 opublikował doskonały **artykuł Teodora Gąsiorowskiego: Z polskich Kresów na „nie ludzką ziemię”**. Przedstawiona została historia podziału kraju przez Niemców i Sowietów, decyzja o „przesiedleniach” do republik azjatyckich i na północ, a także zakres i praktyka deportacji.

Pierwsza fala wywózek nastąpiła w nocy 9/10 lutego 1940, druga 13/14 kwietnia 1940, trzecia 28/29 czerwca 1940, czwarta od

22 maja 1941, zaś miesiąc później (14 VI) z Litwy, Łotwy i Estonii oraz tzw. zachodniej Białorusi.

Ciekawe, że nadal sporna jest liczba deportowanych. W latach wojny polskie władze szacowały ją na ok. 3 miliony ludzi. Pięćdziesiąt lat po wojnie Rosjanie udostępniili swoje archiwa, z których wynikałaby liczba nieco ponad 300 tysięcy. Byli Sybiracy skłaniają się do pierwszej liczby, a historycy (?) ku drugiej. Można dopuścić, że prawda leży gdzieś po środku.

➔ W tymże „Dzienniku Polskim” z 17 VI '11, w obszernym artykule **Ormianie we Lwowie**, G. Starzak omówił zarówno historię od średniowiecza poczynając po czasy ostatnie, a także znaczenie postaci i powtórny pogrzeb Arcybiskupa Józefa Teodorowicza.

➔ W „**Gazecie Lekarskiej**” 10/2011 przeczytaliśmy dwa listy nadesłane do Redakcji w związku z 70. rocznicą mordu Profesorów lwowskich, w tym 16 lekarzy. Autorzy listów zwracają uwagę na potraktowanie tamtego dramatu przez piszących artykuły w GL jako zwykłej prasowej informacji, i to z błędami, a nie jako opisu niemieckiego bestialstwa.

## LISTY DO REDAKCJI



Nasz Autor i Przyjaciel, pan Adolf Zabuski, rodem z Buska nad Bugiem, a dziś zamieszkały we Wrocławiu, nadesłał nam plik materiałów dotyczących Władysława Marynowicza, znakomitego artysty fotografika, a zarazem zawodowego fotografa wojskowego w przedwojennym pułku Ułanów Wielkopolskich (Busk 1920 – Londyn 1977). Materiały pochodzą z wystawy w krakowskim Muzeum Historii Fotografii w Krakowie, gdzie został również wydany specjalny album, a Pan Adolf na jego podstawie przygotował dla CL skróconą biografię Marynowicza – zamieszczamy ją w tym numerze.

Pan Adolf dołączył do przesyłki kopię ciekawego dokumentu: aktu lokacji Buska

na prawie magdeburskim, wystawionego przez Ziemowita, księcia płockiego i bełskiego w 1411 r. W bieżącym roku Busk obchodzi więc swoje 600-lecie!

Za te wszystkie materiały dziękujemy, a Buszczanom z okazji 600-lecia ich miasta serdecznie gratulujemy.

Od Pani Marii Mokrzykowej dostaliśmy ciekawe zdjęcie z komentarzem:

Zdjęcie przedstawia drużynę piłkarską „Pogoń” Lwów z wczesnych lat dwudziestych (XX wieku oczywiście – przyp.red.). Była to legendarna drużyna piłki nożnej ciesząca się wielką sympatią Lwowa i nie tylko. W drugim rządzie pierwszy z prawej to mój św. pamięci ojciec Stefan Trolka. Ojciec mój, jak i wielu jego kolegów z klubu, był uczestnikiem obrony Lwowa w 1918 roku. Wiem, że wśród jego kolegów z „Pogoni” byli słynni piłkarze Kuchar, Bacz i Garbień. Niestety nie znałam ich osobiście. Ojciec zaszczepił mnie bakcylem zamiłowania do piłki nożnej. Gdy kiedyś na studiach namówi-

dokończenie na s. 64

... „Ta druga zima w obozie była już trochę lżejsza dla zesłańców. W lecie większość zaopatrzyła się w suszone i marynowane grzyby, suszone ryby, jagody oraz nauczyliśmy się łowić ryby spod lodu, a także zakładać sidła na zwierzynę leśną. Wielu mężczyznom udało się schwytać zająca, lisa, kurapatwy, a nawet samy lub jelenia, oczywiście wszystko w ukryciu. Najgorzej było z odzieżą dzieciom, był jej całkowity brak. Mama umiała szyć, więc przerabiała ubranie z większych dzieci na mniejsze. Z watawanek dużych szyła małe. Tak też postępowali inni. Mama pomagała innym w szyciu. Pomagano sobie wzajemnie, aby tylko przeżyć ten ciężki okres. Dzieci nadal oficjalnie pozbawione były możliwości nauki. Było tylko potajemne nauczanie przez rodziców. Tak minęła zima 1941 roku przy jednostajnej, ciężkiej pracy leśnej. Wielu zesłańców zabiły różne choroby, gdyż był brak leków i lekarza. Jedyny dostępny środek to aspiryna i chinina, tabletki której zażywali wszyscy trzy razy dziennie przez cały rok, nie wyłączając dzieci. Malaria to straszna choroba. Chory dostaje bardzo wysokiej gorączki, trzęsie się z zimna w febrze, przy tym nie pomagają żadne okrycie.

W lipcu 1941 roku przyplłynął statek po tratwy drzewne i przywiózł wiadomości i gazetę, z której dowiedzieliśmy się o zawartej umowie pomiędzy Stalinem a gen. Władysławem Sikorskim, dotyczącej tworzenia Wojska Polskiego na terenie Rosji, oraz, że *Polacy są wolni*, co znaczyło, że *nie są łagiernikami, a wolnymi obywatelami!* Osoby, które pragną wstąpić do Wojska Polskiego, komenda obozu ma zwolnić i zaopatrzyć na 3 dni w żywność i dokumenty. Pracowaliśmy, jak pamiętam, przy sortowaniu i układaniu drewna i układaniu tratw. Zapanowała ogromna radość. Wszyscy zaśpiewali *Jeszcze Polska nie zginęła!*

Część załogi rzuciła pracę mimo prośb kierownika leśnego przedsiębiorstwa. Z gazetą udali się do naczelnika, donosząc, że *za dwa dni opuszczają obóz, kierują się do punktów zbornych, tj. do miejscowości Kujbyszew*. Naczelnik tłumaczył: – Ja nic nie wiem i nie mam żadnych rozporządzeń w tej sprawie! Po długich sporach i kilkakrotnym czytaniu gazety z rozkazem *wierchownoho Sowietu*, naczelnik zgodził się i przyrzekł: – Odchodzących wyposażyć w prowiant na trzy dni i rozliczyć zapłaty za pracę. Gazety rozchwytywano i czytano w całym obozie. Wszyscy chcieli zaraz jechać. Młodszy, samotni, w wieku poborowym rejestrowali się w komendzie na wyjazd, i opuszczenie obozu. Również moi bracia, Józef z roku 1920 i Jan z 1921, zgłosili się w komendzie na wyjazd. Rodzice nie zabraniali im i natychmiast, zwłaszcza mama, czyniła przygotowania do ich odjazdu. Z jednej strony panowała radość, a z drugiej strony smutek i lzy, że znów się rozłączamy.

W trzecim dniu wszyscy byli gotowi. Zebrali się w klubie i tam oficjalnie nastąpiło pożegnanie. Ojciec, Wojciech Lasek, powiedział: – Idźcie, bo

Ojczyzna Was wzywa, niech Pani Najświętsza ma Was w swojej opiece! Wszyscy zaśpiewali *Boże coś Polskę* i ze znakiem krzyża świętego odjeżdżający opuścili obóz Permogor (Zapad). Płacz i lzy towarzyszyły oddalającej się łodzi, aż znikła na horyzoncie. Tak wyjechali pierwsi, wolni łagiernicy w liczbie 12 samotnych mężczyzn, do tworzącego się Wojska Polskiego.

Rodzina nasza pozostała w obozie do końca lipca 1941 roku. Ojciec Wojciech wypowiedział pracę jako brygadzysta, oznajmiając kierownikowi, że *wraz z rodziną udaje się do Kirpicznowo Zawodu* (cegielnia) w Krasnoborsku. Komendant robót leśnych prosił, by jeszcze pozostał. Ojciec nie ustąpił i nazajutrz wyjechaliśmy do Krasnoborska, zatrudniając się w cegielni. Spotkaliśmy tam kilka rodzin z naszych kolonii. Praca była ciężka, ale lepiej płatna, a w miasteczku można było w kantorach kupić dla dzieci odzież i żywność, mleko, herbatę, cukier (tylko po 1/2 kg). W cegielni przepracowaliśmy 6 tygodni. W tym czasie mama robiła zapasy sucharów i innych produktów z otrzymanych przydziałów. Podjęta decyzja, aby zwolnić się z pracy w cegielni i wyjazd w nieznaną, z tak liczną rodziną małych dzieci, była wielkim błędem i tragedią. Wolność i możliwość wyrwania się z sowieckiego łagru było przesłanką do podjęcia tej decyzji.

Wyjazd nasz z cegielni nastąpił w pierwszych dniach października 1941 roku. Po załadowaniu się do pociągu, na który czekaliśmy 2 doby na stacji w Kołtasie, ruszyliśmy wraz z wieloma rodzinami polskimi (zesłańcami) oraz samotnymi z różnych łagrów syberyjskich. Kierunek do Kujbyszewa. Tam miał być punkt zborny zarówno dla wojska, jak i osób cywilnych.

Od chwili wejścia do wagonów towarowych przeznaczonych do przewozu ludzi (takich samych jak nas wywozili z Polski w roku 1940) wszy z miejsca nas obległy, wagony były brudne i zawszone. Pociąg co jakiś czas zatrzymywał się na bocznicach, przepuszczając pociągi wojskowe z wojskiem i uzbrojeniem. Nikt się nami nie interesował i nie troszczył o nasz los. Na wszystkich stacjach panował niesamowity tłok, pełno żołnierzy rosyjskich, cywili, uciekinierów, ludności cywilnej z terenów przyfrontowych. Nie zawsze udawało się dostać gotowanej wody.

Już po kilku dniach zaczęły nas atakować różne choroby: czerwonka, tyfus brzuszny. Tak po ośmiu dniach dojechalśmy do Kujbyszewa. Z wagonów nie wolno było wychodzić i opuszczać transportu. Przybyli przedstawiciele Polskiej Placówki i dokonali szczegółowych spisów: data i miejsce urodzenia, skąd i kiedy wywieziony, czym zajmował się w Polsce, z jakiej miejscowości przybywa. Oświadczyli, że po tej ewidencji przedstawiciel każdej rodziny uda się po prowiant gotowany. Wszyscy, którzy służyli w wojsku, mieli obowiązek podać stopień wojskowy, formację i miejsce jednostki, gdzie służyli. Obietnica Polskiej



Placówki spełniła się. Ojciec z siostrą udali się do stołówki, gdzie otrzymali wiadro zupy z kaszą jęczmienną oraz 10 porcji makaronu ze słoniną, a także herbaty z cukrem. Była to pierwsza w Rosji rodzinna uczta z polskiej kuchni. Otrzymaliśmy również suchy prowiant w ilości 5 kg chleba, paczkę kawy z cykorią i cukrem. Placówka Polska nie pochwałała decyzji o opuszczeniu miejsca pracy i zamieszkania, gdyż na taką masę ludzi nie byli przygotowani i zrobiło się duże zamieszanie, co spowodowało sprzeciw Sowietów, że to łamana jest umowa gen. Sokorskiego ze Stalinem. Zakładano, że będą zgłaszać się tylko młodzi mężczyźni zdolni do służby wojskowej, w wieku 20–55 lat, a nie całe rodziny.

Sytuacja była bardzo poważna. Front i ofensywa wojsk niemieckich szybko posuwała się w głąb Rosji, ewakuacja tysięcy ludzi ze strefy przyfrontowej, których trzeba zabezpieczyć i wyżywić, ponadto transporty wojsk rosyjskich stworzyły wielki chaos i bałagan na stacjach. W takich warunkach transport nasz został skierowany do Samarkandy. Transport poruszał się bardzo powoli i często miał postoje po 10–15 godzin na małych stacjach, gdzie można było dostać tylko gotowaną wodę. Znowu głód i choroby, zwłaszcza tyfus brzuszny i czerwonka (dysenteria), dziesiątkowały ludzi, a śmierć zbierała obfite żniwo. Ludzie, a zwłaszcza dzieci, padały jak muchy. Największą plagą były wszy, roznoszące zarazki chorób i brud. Ludzie nie myli się całymi tygodniami i wyglądałi jak cienie. Codziennie wynoszono po kilka trupów, następnie ładowano je na wozy, jak śmiecie i nikt nie wiedział gdzie bliska osoba z rodziny jest pochowana! Z Kujbyszewa do Farah jechaliśmy ponad 2 tygodnie. Farah to miasteczko położone przy samej granicy Afganistanu i Persji, nad wielką rzeką Amur-daria. Młodsze rodzeństwo wycieńczone chorowało na tyfus: brat Wojtuś i siostry Marysia, Stefcia i Róża, zaś mama Zofia w ciągłych atakach kamieni żółciowych. Gdy wysiedliśmy w Farapie z transportu, przybył lekarz wezwany przez kierownika transportu (oficera przydzielonego w Kujbyszewie). Po zbadaniu rodziny zlecił natychmiastowe przetransportowanie chorych do szpitala. Przebywali tam 3 tygodnie.

Nad brzegiem rzeki Amur-darii rozłożyło się ponad tysiąc osób pod gołym niebem. Kilkanaście osób samotnych, które przybyły wcześniej, zajęło dwa drewniane baraki i tam koczowali na gołej ziemi. Widok był straszny. Ludzie jak widmo, jak śmierć: głęboko zapadnięte oczy, szkielec obciągnięty skórą. Idąc ślaniali się na nogach. Wszędzie pełno odchodów ludzkich. Nie można było przejść. Ludzie leżeli prawie nago, lał się z nich kał z krwią. Boże, zlituj się nad naszą nieszczęsną dolą!

Zaczął się grudzień, przynosząc zimne deszcze, nierzadko ze śniegiem, które wykańczały schorowanych ludzi. Nikt nie myślał o przeżyciu, lecz w duchu o śmierci, która nad każdym krążyła i zaglądała w oczy. Młodsze rodzeństwo w szpitalu, ojciec cały

owrzdobiały (szkorbut) nie mógł się poruszać. Ja, Stanisław, bez przerwy musiałem pilnować dzieci i naszego skromnego bagażu przed złodziejami. Siostra, Anna, chodziła do odległych kolchozów, by coś kupić z żywności. Ceny nie mieszczące się w ludzkiej wyobraźni! Za parę nowych butów można było dostać 5 kg chleba, a raczej placków (lepieszek) z mąki pszennej i 1 lub 2 litry mleka. Ani ojciec, ani ja nie spaliśmy wcale. Trzeba było odwiedzić chorych w szpitalu, pójść do komendantury po przydział chleba. Drzemaliśmy chodząc jak lunatycy. Człowiek padał i podnosił się, by iść dalej. Pewnego wieczoru ojciec położył się na kufrze, przywiązując kufer do nogi, ja zaś na skrzyni. Po około 30 minutach ojciec obudził się, bo spod niego złodzieje zabrali kufer! Były tam metryki całej rodziny i różne pamiątki, dokumenty oraz 300 rubli. Kufer odnalazł się wśród samotnych w baraku, ale nie było w nim metryk i innych drobiazgów. Dziwne było to, że złodzieje nie zabrali rubli, chociaż miały dużą wartość. Nie można było uwierzyć i tylko Anioł Stróż uchronił je przed kradzieżą.

Głód i choroby nadal dziesiątkowały ludzi, toteż polskie kierownictwo obozowiska postanowiło ratować resztki nędzarzy i wywieźć ich do Taszkientu czy Czymkentu do kolchozów. Zalecali maksymalny pośpiech, gdyż za kilka dni Sowietci nie dadzą już transportu kolejowego dla rozładowania skupiska chorych ludzi na chorobę zakaźną. Granice zostały wzmocnione, aby uniemożliwić ucieczkę do Persji. Rodzeństwo młodsze w szpitalu, a wagony transportowe już zostały podstawione.

W tej sytuacji ojciec zdecydował się zabrać dzieci ze szpitala na własną odpowiedzialność. Po załadowaniu transportu ruszyli do Turkiestanu. Pięć dni jechaliśmy i na każdym postoju zabierano z wagonów po kilka zmarłych osób. W górach na przystanku kolejowym Sergo, do którego dochodziła również kolejka wąskotorowa, kazano wszystkim wysiąść, czego surowo dopilnowali enkawudziści. Brat Wojtuś w konwulsjach, trzymałem jego główkę na kolanach. Był w agonii. Modliliśmy się o jego śmierć lub wyzdrowienie, gdyż dziecko bardzo cierpiało. To obsługa kolejowa wraz z lekarzem stwierdzili, że zmarł (*uże pohyb*) i zostawili w wagonie. Takich dzieci, jak on i starszych było wiele. Podjechała arba – wóz dwukołowy – zaprzęgnięta w wielbłąda z dużym koszem, do którego wrzucono zwłoki na kupę i odwieziono w nieznanym kierunku w miejsce pochówku. Tam został mój braciszek – pierwsza ofiara w naszej rodzinie. Byliśmy nieprzytomni z bólu i żalu po stracie małego braciszka. Podjechały wagony wąskotorówki i kazano nam się załadować (wagony to *lory* do przewozu rudy i drewna).

Ruszyliśmy w dalszą tułaczkę w nieznaną. Płaczu już w wagonach nie słychać, bo większość ludzi była w gorączce, a ci co byli zdrowi, pomagali chorym, podawali wodę czy kawałki chleba. Boże zlituj się nad nami!...

## LISTY

dokończenie ze s. 61

łam mego św. pamięci męża by poszedł ze mną na mecz Cracovii i Wisły, a rozentuzjasmowani kibice wyrwali mu wszystkie guziki w płaszczu, czego on elegancki pan nie mógł w ogóle pojąć, skończyło się moje chodzenie na mecze. [...]

*A kto rozpozna in-  
nych piłkarzy na załą-  
czonym zdjęciu?*



## LUDZIE W „CRACOVIA-LEOPOLIS” (14) ROCZNIK 2011

Poprzednie listy zamieszczono w numerach:  
4/98, 1/2000, 4/2000, 4/01, 1/03, 1/04, 4/04, 4/05,  
1/07, 4/07, 4/08, 4/09, 1/11, 4/11.

<b>Andersowa Irena</b>	1/11	<b>Link, rodzina</b>	1–2/11
<b>Blicharski Czesław</b>	1/11	Łempicki Stanisław	4/11
Czekanowski Jan	4/11	<b>Machowska Romana</b>	1/11
Czerwiński Eugeniusz	2/11	<b>Majewska Włada</b>	3/11
Dolleczek (Doll)-Olpiński	3/11	Makuszyński Kornel	2/11
Dorowski Franciszek (Domnik)	4/11	<b>Marynowicz Władysław</b>	4/11
Fedorowicz, rodzina	3/11	Mościcki Ignacy	4/11
Gottfried Stanisław	3/11	Nikodemowicz, rodzina	1/11
Iwaszko Ludwik	1/11	Olszański Tadeusz	3/11
<b>Jordan Maria</b>	3/11	Rychlewska Ludwika	1/11
Juzwa Józef	1/11	Stafińska Krystyna	3/11
Klimczak Władysław	4/11	<b>Świstun Aleksander</b>	1–4/11
Kukiz Tadeusz	4/11	Świstun, rodzina	1/11
		<b>Twardowski Kazimierz</b>	3/11
		Włodek Przemysław	2/11
		<b>Wójcik Genowefa s.</b>	4/11
		Zachariewicz Alfred	2/11

## LISTA OFIARODAWCÓW (5)

na wspomnienie wydawnictwa kwartalnika CRACOVIA-LEOPOLIS

Mieczysław Deyneka, Bytom; Zofia Dudrówna, Kraków; Grażyna Golińczyk, Toruń; Bolesław Graszewski, Kraków; Bogdan St. Kasprowicz, Bytom; Tadeusz Kukiz, Wrocław; Teresa Musiała, Tychy; Kazimiera Paclawska, Kraków; Anna Pawlak, Toruń; Anna Wnukowa, Gliwice; Ewa Siemaszko, Warszawa; Maria Soja, Kraków; ks. Jan Sosnowski, Włosań; Jan Franciszek Szayner, Wrocław; Aleksander Zadorecki, Olsztyn; Wojciech Zbrożek, Przemyśl; Romana Żuk, Kraków; Darczyńca Anonimowy.

**Ofiarodawcom serdecznie dziękujemy.**

## WSPOMNIENIE SPRZED 21 LAT

Zdjęcie wykonane we Wrocławiu w listopadzie 1990 r. Od lewej: Zdzisław Pręgowski, architekt, absolwent Politechniki Lwowskiej, po wojnie mieszkał w Winterthur (Szwajcaria), dr Danuta Nespiak, dr Andrzej Kamiński, arch. Andrzej Chlipalski, prof. Czesław Cegielski (Politechnika Wrocławska).

Na spotkaniu, poświęconym pamięci o zamordowaniu Profesorów Lwowskich przez Niemców, omawiano sprawę podjęcia kroków o ukaranie sprawców zbrodni na Wulce w 1941 r.



### Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska  
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak, Romana Machowska, Anna Madej, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska

Strona internetowa CL: [www.cracovia-leopolis.pl](http://www.cracovia-leopolis.pl)

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: [info@cracovia-leopolis.pl](mailto:info@cracovia-leopolis.pl)

Informacje o kwartalnikach CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523  
Romana Machowska, tel. (12) 637 13 21

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, 294 15 28, e-mail: [fall@fall.pl](mailto:fall@fall.pl)

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzińskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Nakład 700 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiuścacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

# Spis treści

Słowo od Redakcji O tym i o tym	II	Wiersze Jerzy Michotek NA TEN NOWY ROK MOJA ZIEMIA	40
Przemyslenia WIELE DO ZROBIENIA	1	Proza Jan Parandowski WSPOMNIENIA OSSOLIŃSKIE	41
Boże Narodzenie Stanisław Świtniewski BOŻE NARODZENIE WE WSCHODNIEJ GALICJI	2	Sylwetki WŁADYSŁAW MARYNOWICZ	43
Bogdan S. Kasprowicz KOLĘDA	3	SIOSTRA GENOWEFA WÓJCIK	44
Ks. Włodzimierz Kuśnierz LIST OD PROBOSZCZA	4	Słownik geograficzno- -historyczny BAR ♦ GRÓDEK PODOLSKI ♦ KIJÓW ♦ PŁOSKIRÓW ♦ WINNICA ♦ ŻYTOMIERZ	45
Danuta Trylska-Siekańska POWRÓT DO ŹRÓDEŁ	5	Spotkania „Pod Gruszką”	46
Pamięć o złych latach Feliks Budzisz PATRIOTYCZNY OBOWIĄZEK PAMIĘCI	8	Z tamtej strony WYDARZENIA UCRAINICA	47 47
Jan Perkowski MOJE WSPOMNIENIA Z PIERWSZYCH MIESIĘCY WOJNY	10	W Krakowie i dalej Andrzej Chlipalski FUNDACJA INSTYTUT LWOWSKI	48
Archiwum ZAMEK W GRZYMAŁOWIE	13	Krzysztof Kołtun WOŁYŃSKI POMNIK W CHEŁMIE	49
Aleksandra Garlicka EX ORIENTE LUX (2)	14	Zenon Malik ŚWIĘTO KADETA W KRAKOWIE 2011	50
Przeczytane Stanisław S. Nicieja NIE TYLKO MARTYROLOGIA	17	NOTATKI Z ŻAŁOBNEJ KARTY	50 51
Zbigniew Jabłoński LWOWSKI TEATR J.K. KAMIŃSKIEGO W KRAKOWIE	18	Kultura ♦ Nauka ROCZNIK LWOWSKI MA 20 LAT KRONIKA UCRAINICA	52 52 52
Wspomnienia Aleksander Świstun WSPOMNIENIA PODOLSKIE (4)	21	Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA	53 60
Jolanta Flach LWOWIACY W ZAKOPANEM	27	Listy do Redakcji	61
Rozmowy Janusz Paluch ROZMOWA Z PROF. S. GRODZISKIM	28	Maria Jańczak, Stanisław Lasek FRAGMENT WSPOMNIEN Z SYBIRU	62
DOMNIK POSTAĆ I TWÓRCZOŚĆ NIEZNANA	35	Ludzie w CL 2011	64
Maksymilian Jamnicki NAJPIĘKNIJSZY SZPITAL KRAKOWA...	38	Lista Ofiarodawców	64
		Archiwum WSPOMNIENIE SPRZED 21 LAT	III